

Światowy bestseller dla miłośników
Dana Browna



DANIËLLE HERMANS

TULIPANOWY
WIRUS



DANIËLLE HERMANS

**TULIPANOWY
WIRUS**

Przełożyła

MAŁGORZATA WOŹNIAK-DIEDEREN

WYDAWNICTWO MARGINESY

Dla Taca

Alkmaar, 21 lipca 1636

Przegoniła muchę i patrzyła ze zmarszczonymi brwiami na puste półki. Zniknął chleb upieczony wczoraj. Dobrze wiedziała, gdzie jest: w żołądkach moczygębów, którzy przychodzili tu przepijać skromne wypłaty.

Wilgotnymi rękami wygładziła fartuch, rozwiązała troczki pod brodą i wymierzyła czepcem w muchę siedzącą na okiennicy. Niebieskozielony owad spadł na blat kuchenny i bezradnie machał nóżkami w powietrzu. Obiema dłońmi chwyciła moździerz, zacisnęła zęby i z całej siły uderzyła w blat. Odłożyła ciężki tłuczek, wytarła pot z czoła i wyszła z kuchni z nadzieją, że w szynku znajdzie jeszcze resztki chleba.

Szarpnięciem otworzyła drzwi. Zalała ją taka fala smrodu, że aż musiała się oprzeć plecami o futrynę. Zobaczyła ciało leżące przed szafą, chwyciła się futryny, żeby nie upaść.

– Panie Winckel?

Puściła ją z wahaniem i weszła do pokoju. Kiedy stanęła obok leżącego mężczyzny, jedną ręką zakryła usta, a drugą dotknęła brzucha. Odór moczu mieszał się z metalicznym zapachem krwi i wciskał do nozdrzy. Wzięła głęboki oddech, żeby powstrzymać odruch wymiotny. Skurcz był tak silny, że wymiociny ciekły jej wzdłuż palców i wychodziły nosem. Odwróciła się od ciała, położyła ręce na kolanach i zaczęła dyszeć. Skurcze ustały.

Koniuszką fartucha otarła ślinę. Odwróciła się powoli ponownie do niego. Zaciśnięwszy usta, popatrzyła z ukosa na podłogę.

Prawe oko zwisało z oczodołu i patrzyło na nią. Lewa strona czaszki była tak strzaskana, że

prawie nic z niej nie zostało. Czułość. Krew, okrucy kości i zmiżdżony mózg mieszały się na podłodze w różową masę. Wilgotna maź przesiąkała przez porowate fugi między kaflami.

Kiedy pochyliła się do przodu, muchy poderwały się i zaczęły zataczać kręgi nad jej głową. Opadła na kolana i niepewnie wyciągnęła dłoń w kierunku ciała, ale zaraz ją cofnęła. Kartki zwinięte w rulon wepchnięto Wincklowi w usta tak gwałtownie, że aż rozdarły kąciki.

Od tego odrażającego uśmiechu znowu zrobiło jej się niedobrze. Wzrok powędrował niżej. Rozdarta koszula ukazywała olbrzymi brzuch bezwstydnie sterczący do góry. Szukając punktu zaczepienia, śledziła linię kasztanowobrązowych włosów biegnącą wzdłuż, od piersi aż do spodni. Wokół krocza czarny materiał był o ton ciemniejszy. Zawstydzona spuściła wzrok.

Kiedy znowu na niego spojrzała, znalazło go słońce. Promienie przedostały się przez szpary

w żaluzjach i oświeślały srebrną klamrę prawego buta.

– O mój Boże, panie Winckel! – wyszeptała. –
Cóż oni z panem uczynili?

Potykaçąc się, wybiegła z pomieszczenia.

W ciszy wczesnego poranka muchy
hałasowały nieznośnie.

1

Odwrócił się z jękiem. Zapalił lampkę nocną i popatrzył na zegarek. Co za wariat przychodzi o czwartej rano? Opadł na poduszki i patrzył w sufit. Mógł narysować z pamięci każdy ornament, każdą rysę i nierówność. Przez ostatnie tygodnie nie zmrużył oka. A teraz to. Zamartwianie się nic nie pomoże, wiedział o tym dobrze. Zdawał sobie sprawę, że bezsenność sprawia, że wszystko ogromnieje i wydaje się prawie nieodwołalne. Ale nie umiał przestać o tym myśleć. Umysł miał zapchany problemami, które nie chciały się ułożyć w przejrzystą całość, w głowie kręciło mu się jak w betoniarce. Można było od tego zwariować.

Uporczywe dzwonienie przeplatało się teraz z waleniem do drzwi.

– *I'm coming, I'm coming!*

Spuścił nogi z łóżka. Wymacał na podłodze kaptcie i wsunął w nie stopy. Opierając się o materac, wstał i sięgnął po szlafrok. Z trudem go włożył, podszedł do okna i odsunął zasłonę. Dyszał.

Nie widział nawet własnej ręki przed twarzą. Szyba wydawała się matowa. Z wysiłkiem popatrzył na dwór. Z Cadogan Gardens, prywatnego parku przynależnego do sąsiednich domów, widział tylko zarys ogrodzenia i żywopłot. Znajdujący się po przekątnej Cadogan Hotel, zawsze rzęsiście oświetlony, zniknął. Sloane Street, której skrawek mógł widzieć z tego miejsca, też połąkła londyńska mgła.

Wyciągnął szyję, na ile się dało. Kiedy przycisnął policzek do zimnej szyby, wzdrygnął się. Popatrzył na dół. Dwie niewielkie kolumny ozdobiające wejście do osiemnastowiecznej kamienicy lśniły blado w świetle ulicznych latarni.

Zazwyczaj z tego miejsca dało się coś zobaczyć, nawet jeśli był to tylko cień osoby czekającej pod zadaszeniem na otwarcie drzwi. Ale nie teraz. Teraz nic nie było widać. Po raz setny przeklinał londyński magistrat, który jego zdaniem nie unowocześniał oświetlenia ulicznego od czasów rewolucji przemysłowej.

– Durni siorbacze herbaty, pewnie myślą, że nadal żyjemy w czasach Dickensa.

Starł parę z szyby. Pukanie i dzwonienie nie ustawało i wydawało się brzmieć coraz bardziej natarczywie. Ciężka zasłona ocierała się o plecy i tył jego głowy. Odsunął gruby materiał na bok i znowu, poirytowany, zasłonił okno. Na chwilę zapanowała cisza, jakby człowiek na dole usłyszał szuranie kółek zasłony o mosiężny pręt. Po kilku sekundach znowu się zaczęło.

Wzdychając, podszedł do drzwi sypialni. W progu mocniej związał pasek szlafroka. Ręką pomacał ścianę, zapalił światło. Odbicie

żyrandola w białych płytkach podłogowych w holu na dole oślepiło go na chwilę. Podeszedł do schodów. Przestało dzwonić. Martwa cisza. Przekrzywił głowę jak pies słyszający dźwięk, którego nie może zlokalizować. Nic. Zaklął pod nosem. W momencie, kiedy zdecydował się wracać, znowu dobiegło go walenie do drzwi.

– Panie Schoeller, jest pan tam? Panie Schoeller? – usłyszał przytłumione wołanie.

Z wahaniem zszedł kilka stopni.

– Kto tam?

– Policja. Proszę otworzyć, chodzi o pana bratanka.

– Alka?

Drżącą ręką chwycił za poręcz schodów. Schodził tak szybko, jak pozwalały mu na to sztywne nogi. Stopa poślizgnęła się na ostatnim stopniu. Przeklinając, machał rękami w powietrzu. Odzyskał równowagę, pospieszył

do stołu na środku holu i złapał pęk kluczy. Walenie do drzwi rozległo się na nowo.

– Idę, proszę poczekać – krzyknął zdyszany, otwierając szafkę obok wejścia. Wystukał numer alarmu i stanął na palcach. Popatrzył na zewnątrz przez szybkę.

Światło w holu odbijało się uspokajająco od metalowego emblematu na hełmie policyjnym. Włożył klucz do zamka i otworzył drzwi.

2

Alek, obudzony dźwiękiem telefonu, błędził ręką po podłodze w kierunku niebieskiego blasku. Popatrzył na ekran, skąd uśmiechał się do niego Frank na placu Świętego Marka z szeroko rozłożonymi ramionami uginającymi się od gołębi. Było wpół do szóstej.

– Frank?... Halo?

Telefon po drugiej stronie linii upadł z hukiem na ziemię, a potem Alka dobiegło skrobanie. Przycisnął aparat do ucha. Usłyszał czyjś ciężki oddech. Nagły okrzyk bólu rozległ się tak niespodziewanie, tak blisko i brzmiał tak nieludzko, że prawie upuścił komórkę. Podniósł się, przycisnął ją między ramieniem a uchem i sięgnął po ubranie.

– Halo, Frank? To ty? Słyszysz mnie?

– Musisz przyjechać... do domu.

Mówił tak cicho, że Alek z trudem rozpoznał jego głos.

– Co się stało? Jesteś chory? Mam zadzwonić po karetkę?

– Nie! – Głos zabrzmiał nagle mocno, potem zmienił się w niezrozumiały szept.

– Co? Co mówisz?

– Przyjedź. – Ostatnią sylabę mężczyzna wymówił silniej, jak małe dziecko znające tylko kilka słów.

– Jadę, zostaw telefon włączony, słyszysz, włączony!

Alek włożył buty i wybiegł z pokoju. W przelocie porwał z poręczy skórzaną kurtkę. Zbiegł szybko po schodach i otworzył drzwi.

Mgła otulała go jak welon i kłębiła się wokół stóp. Ledwie mógł dojrzeć przeciwną stronę ulicy. Wiktoriańskie latarnie nad brzegami

Tamizy rzucały upiorne światło. Smog tłumiał wszystkie dźwięki, ale wzmacniał zapachy miasta, wisiało w nim przeczucie nieszczęścia. Alek poczuł serce w gardle i przycisnął telefon do ucha.

– Jesteś tam jeszcze?

Usłyszał ciche westchnienie.

– Frank, wytrzymaj, wsiadam do auta, będę za pięć minut.

Puste ulice wzmagaly strach. Co się stało, na Boga? Dlaczego zabronił mu wezwać karetkę?

Nacisnął pedał gazu i samochód wystrzelił do przodu. Przez te wszystkie lata, kiedy stryj się nim opiekował, nic takiego jeszcze się nie zdarzyło. Panika nie wynikała tylko ze strachu, że Franka spotkało coś okropnego, ale i stąd, że nagle stał się za niego odpowiedzialny, po raz pierwszy w życiu. Frankowi nigdy nic nie dolegało. Zawsze to on, Alek, budził go rano

telefonem, kiedy w pijackim widzie próbował malować. Wyobrażał sobie, że rozmowa z nim będzie inspiracją do przełomowego dzieła sztuki, jakie miał nadzieję stworzyć. Więź między nimi nie osłabła od momentu, kiedy jako siedmiolatek stanął na lotnisku, a obcy mężczyzna, który na niego czekał, wziął go w ramiona. Przez wiele lat Alek wykorzystywał jego bezwarunkową miłość. Frank zgadzał się na wszystko. Uratował go, kiedy przez swoje wybryki zaczął się staczać. Nie robił żadnych wymówek, wykazał wiele zrozumienia.

Migające pomarańczowe światła uliczne pozwalały mu się jakoś orientować we mgle. Pędził przez Kings Road, wyminął grupkę pijanych turystów, przejechał przez Sloane Square i nie zmniejszając prędkości, mknął dalej Sloane Street. Skręcił w lewo i z piskiem opon zaparkował na chodniku przed domem numer 83 na Cadogan Place. Otworzył drzwiczki. Przeskoczył cztery stopnie do wejścia. W momencie, kiedy

chciał włożyć klucz do zamka, drzwi same ustąpiły.

Szedł ciemnym korytarzem. W półmroku wydawało się, że kobiety i mężczyźni z osiemnastowiecznych portretów patrzą na niego wyniośle i z wyrzutem.

– Frank?

Jego głos zabrzmiał nienormalnie wysoko i odbił się echem od ścian. Cisza. Ze wszystkich pomieszczeń wychodzących na hol otwarty był tylko gabinet. Światło z pokoju tworzyło trójkąt na terakocie. Ruszył w tę stronę wielkimi krokami i popchnął drzwi. Staął jak wryty.

Frank leżał przed kominkiem. Utkwił w nim małe, jasnyniebieskie oczy. Kiedy Alek podszedł, poruszył wargami. Jakimś cudem zdołał zerwać taśmę zaklejającą usta, zwisała mu teraz z policzka. Palce ścisnęły telefon. Alek otworzył dłoń. Aparat wyslizgnął się na parkiet, na którym zostawił ślady krwi.

Alek upadł na kolana. Ostrożnie odkleił taśmę i przesuwał wzrokiem po ciele stryja. Piżama była rozdarta. Na torsie zobaczył głębokie rany cięte. Krew zabarwiła na czerwono brzuch i pierś. Lewą rękę Frank przyciskał do podbrzusza, knykcie wbijał w książkę tak mocno, że zbieleły od wysiłku. Kiedy bratanek ujął go za rękę, krzyknął z bólu. Alek zobaczył krew spływającą z palców pozbawionych paznokci.

– O Boże, kto to zrobił?

Frank wolno poruszył głową. Dreszcz wstrząsnął całym jego ciałem. W oczach czaiła się rozpacz.

– Wszystko, wszystko zniszczą. Oni...

– Cicho, cicho. Poczekaj.

Alek pochylił się, sięgnął po poduszkę i wsunął ją pod głowę Franka. Kiedy wyciągnął rękę, zobaczył, że cała jest we krwi. Ostrożnie odwrócił głowę stryja do siebie. Na skroni ziała otwarta rana. Doskonale okrągła, jakby ktoś mocnym

uderzeniem wbił w głowę pręt i wepchnął miękką zawartość czaszki do środka.

Alek próbował wziąć się w garść i opanować emocje.

– Dzwonię po karetkę.

Frank pokręcił wolno głową.

– Nie... Zobacz, tutaj.

Powoli, z olbrzymim wysiłkiem, Frank włożył rękę do książki. Alek podniósł go ostrożnie. Dłoń stryja leżała płasko na żółtawym papierze. Palce poruszały się jak skrzydła motyla.

– Wszystko będzie dobrze, nie martw się.

– Nie, zobacz.

Ręka Franka zsunęła się ze strony. Alek zobaczył wyłaniającą się spod niej rycinę. Kwiat miał biało-czerwone płatki upstrzone smugami i plamami, czerwonymi jak ślady krwi z palców Franka. Łodyga ugiwała się pod ciężarem kielicha

tulipana w pełni rozkwitu, jakby nie potrafiła unieść własnej urody.

– Widzę, puść – odezwał się Alek miękko, delikatnie wyciągnął książkę i położył ją obok siebie. Pochylił się nad Frankiem, którego oddech stał się płytki. Oczy miał szkliste. Kiedy podniósł głowę i drżącym palcem wskazał książkę, jego ciałem wstrząsnął dreszcz.

– Tulipa, tul...

Ręka opadła ciężko na podłogę. Z jękiem opuścił głowę. Spojrzał przenikliwie na Alka, westchnął i wyszeptał:

– Książka. Musisz ją zabrać. Żadnej policji.

Powieki zamykały się powoli.

– Frank?

Alek patrzył, jak uchodzi z niego życie, jak unosi się z ciała i jak po kolei wiotczeją wszystkie mięśnie. Chwycił go mocno za ramię i potrząsnął.

– Słyszysz mnie jeszcze? – krzyczał. – Proszę, Frank, nie odchodź, nie zostawiaj mnie samego.

Przeklinając, chwycił telefon i wybrał numer alarmowy. Słowa więzły mu w gardle.

– Ratunku. Ratunku, mój stryj. Ciężko ranny. Cadogan Place osiemdziesiąt trzy. Szybko, szybko proszę.

Rzucił telefon. Łzy spływały mu po policzkach, ukrył twarz w dłoniach. Kiedy Frank chwycił go za łokieć, spojrzał na niego.

– Przepraszam za wszystko – wyszeptał Alek.
– Za wszystko.

– Bądź ostrożny... To niebezpieczne. Kocham cię...

Ból w oczach Franka odpłynął. Twarz się rozluźniła. Patrzył jeszcze na bratanka, ale oczy miał matowe i martwe.

Alek ze wszystkich sił próbował się opanować. Co mówił Frank? Coś o książce? Co mam z nią zrobić? Ukryć, żadnej policji, tak mówił.

Złapał ją, wybiegł i wskoczył do porsche. Na ślepo pociągnął dźwignię i otworzył przednią klapę. Kiedy kładł tam wolumin, usłyszał z daleka wycie syren. Kiedy zamykał klapę, dźwięk był już blisko. Wbiegł z powrotem i klęknął przy Franku.

3

Mężczyzna zaparkował samochód jak najbliżej mostu kolejowego. Wysiadając, wciągnął w nozdrza powietrze. Zapach rzeki, mieszanina miedzi i zgnilizny, wciskał się niebezpiecznie znajomo w jego przewrażliwiony nos. Zapiął płaszcz i schował twarz w szaliku.

Kliknięciem otworzył bagażnik. Słabe światło padało na torbę sportową, otworzył ją. Włożył do środka cegły leżące obok. Z torbą w ręce podszedł spokojnie do schodów prowadzących na Grosvenor Bridge.

Teraz było tu jeszcze cicho i spokojnie. Za godzinę ruch podmiejski osiągnie szczyt. Zatłoczone, śmierdzące wagony kolejowe zaczną przejeżdżać obok zabieganych pieszych, wszyscy będą maniacko gnali w kierunku biur i urzędów.

Do szefa, którego muszą zadowolić, do kolegów, których w większości nie cierpią, do swojego nudnego, ogłupiającego życia.

Prychnął. Ogarnął go podniosły nastrój, czuł, jak krew krąży w żyłach. Ciało wypełniało poczucie pogardy. Z niczym nie można porównać tej największej przyjemności, którą jest przyglądanie się ludzkiemu cierpieniu, patrzenie, jak życie uchodzi z ciała. Nigdy nie będzie miał tego dosyć, a jeszcze mu za to płacą.

W połowie mostu przechylił się przez poręcz. Wody Tamizy płynęły bardzo szybko. Po kilku sekundach otrząsnął się z hipnotyzującego obserwowania nurtu rzeki. Przez gęstą mgłę próbował wypatrzeć Koło Milenijne po drugiej stronie. Ledwo rozpoznawał kontury. Widział kiedyś scenę z filmu *Trzeci człowiek*, w której bohater Holly Martins stał z najemnym mordercą Harrym Lime'em w kabinie diabelskiego młyna w wiedeńskim parku Prater. W najwyższym

punkcie Martins spytał Lime'a, co myśli o ofiarach. „Ofiary?” – odpowiedział tamten z pogardą. „Popatrz na dół. Jeśli jeden z tych czarnych punkcików przestanie się ruszać, to będzie ci żal?”.

Jestem podobny do Lime'a, pomyślał. Nic mnie to nie obchodzi. Z daleka wcale, a z bliska jeszcze mniej. Niedobrze mu się robiło od smrodu, kiedy ludzie przechodzili obok niego, od dźwięków, które wydawali, nawet od ruchów.

Przejechał palcami po swoich krótko obciętych, brązowych włosach, teraz wilgotnych od mgły. Kiedy patrzył na dół, zastanawiał się, ile kilogramów ludzkiej materii, ile litrów śliny i krwi połknęła ta rzeka. Ile części ciała. Tułowie, głowy, ramiona, nogi. Jak kawałki puzzli. Ile napuchniętych niebieskofioletowych trupów wypłynęło na powierzchnię z rzeki-grobu i zostało wyrzuconych na jej oślizgłe brunatne brzegi.

Jeśli chodzi o niego, nigdy nie ma dosyć. Im mniej duszyczek, tym większa radość. Wziął się w garść. Zanim czarne punkciki zaczną się znowu ruszać i będzie zdany na ich przyprawiającą o mdłości obecność, musi stąd zniknąć.

Otworzył torbę. Jedną cegłę przesunął w róg. Drugą położył na hełmie policyjnym. Zasunął suwak i złapał za uchwyty, rozejrzał się dokoła, wziął rozmach i wrzucił torbę do Tamizy.

Daleko na dole plusnęła woda, mała biała plama zniknęła równie szybko, jak się pojawiła. Odwrócił się od barierki i nastawił uszu. Odgłosy miasta narastały. Smród spalin z każdą minutą stawał się silniejszy.

Włożył ręce do kieszeni. Schodził powoli z mostu, zastanawiając się, jak zareaguje zleceniodawca, kiedy usłyszy, że nie posunęli się ani o krok do przodu.

4

Przed wejściem do Metropolitan Police Service tablica z napisem „New Scotland Yard” szybko obracała się dookoła swojej osi, jakby urząd chciał zaanonsować, że w takim samym tempie walczy z przestępstwami. Srebrne litery błyszcząły na szarym kamiennym tle. Grupa Chińczyków kazała się sfotografować. Fotograf dawał im instrukcje, a oni, roześmiani, obracali się wraz z tablicą.

Piętnaście pięter wyżej inspektor Richard Wainwright bujał się na fotelu do przodu i do tyłu. W rękach trzymał kubek i patrzył na swoją podobiznę. *Wanted, dead or alive*^[1] – głosił napis na kubku do herbaty. Wiedział, że gdyby jego żona miała teraz wybierać, to wolałaby go widzieć raczej martwym niż żywym. Zdawał

sobie sprawę, że zachowywał się nieznośnie, ale nie był obojętny na ostatnie wydarzenia. Chrząknął. Dobrze by mu zrobiło, gdyby się dokądś wyrwał na chwilę. Na przykład na długi weekend nad morze, choćby do Blackpool, żeby wywietrzały mu z głowy odrażające sceny zgromadzone przez lata. Kurorty na wybrzeżu wpędzały go jednak w depresję. Wzdychając, poskrobał paznokciem słowa *or alive*.

Odstawił kubek i włączył komputer. Kliknięciem otworzył pocztę elektroniczną.

Patrzył z dezaprobatą na skrzynkę zapełniającą się wiadomościami, które napływały od jedenastej wczorajszego wieczoru do dzisiejszego poranka. Przesuwał myszką po sprawozdaniach ze wszystkich zebrań, których i tak nigdy nie przeczyta, wiadomościach prasowych oznaczonych czerwonym wykrzyknikiem, które musiał sprawdzić, zanim zostaną wysłane, biuletynach wewnętrznych, w których i tak nigdy nie było nic

nowego, i rozmaitych formularzach, które powinien wypełnić. Kliknął na przedostatni mejl, przysłany o 2.03 przez patolożkę przygotowującą raport z sekcji zwłok Franka Schoellera. Otworzył załącznik i nacisnął ikonę „drukuj”.

Po półgodzinie udało mu się przebrnąć przez wszystkie techniczne sformułowania. Zgon Schoellera nastąpił wskutek urazu mózgu i krwotoków wewnętrznych. Poza tym ofiara miała złamanych pięć żeber i paznokcie zdarte z trzech palców. Rany na tułowi były zbyt powierzchowne, żeby mogły być przyczyną śmierci.

– Czy on coś wiedział, miał coś ważnego? Co pan wyprawiał, panie Schoeller? – mruknął.

Dalej patolożka pisała w raporcie, że na dłoniach Schoellera odkryła mikroskopijne drobiny płatków złota, które zostaną poddane dalszym badaniom. Dodała, że złoto pochodzi najprawdopodobniej z książki, ponieważ ślady krwi utworzyły na dłoniach kąt prosty. Zakładała, że

ofiara trzymała w rękach książkę, ponieważ krwi nie było też na części palców. Biorąc pod uwagę, że znaleziono włókna papieru, doszła do wniosku, że właśnie papier ją wchłonął. Na ciele wykryto tylko odciski palców bratanka, Alka Schoellera, niczych więcej nie znaleziono.

Wainwright zszył kartki i patrzył przez okno. Wiatr zdmuchiwał krople deszczu ukośnie po szybie w kierunku wąskiej zardzewiałej rynny. Wiele metrów pod nim samochody poruszały się niemrawo w korku. Koła parasolek we wszystkich kolorach tęczy wydawały się unosić w powietrzu.

Popatrzył na zegarek i stanął. Wielka tablica zajmowała znaczną część lewej ściany. Krótkimi paznokciami zaczął wyciągać z niej pinezki. Pięć minut potem podłoga była usiana zdjęciami, mapami, schematami, zapisanymi karteczkami i kartkami. Schylił się, zgarnął wszystko razem i stertę papierysk położył na biurku.

Dziewczyna w szkolnym mundurku ze zdjęcia na wierzchu uśmiechała się, pokazując aparat na zębach. Głowę miała lekko przechyloną. Ciemnobrązowe włosy opadały na ramiona. Oczy były jeszcze lekko podpuchnięte od snu. Isabelle White.

– Izzy – szepnął.

Była pierwszą z sześciu dziewcząt, których straszliwie okaleczone ciała znaleziono w ciągu ostatnich dwóch lat nad brzegiem Tamizy. Potraktowano je jak śmieci, data ważności zależała od dnia, w którym sprawca postanowił je rozdziewiczyć. Potem wyrzucał je na śmietnik jak zepsute jedzenie.

W końcu udało im się schwytać mordercę. Mężczyzna wynajmował się do pisania harmonogramów lekcji w różnych szkołach. W każdej znajdował ofiarę. Mundurki uczennic wieszał w swojej szafie, uprane i wyprasowane, jakby nic się nie stało.

Wainwrighta najbardziej dotknęły zdjęcia, które sprawca robił im po zgwałceniu. Ozdabiał je makijażem, używając wodoodpornych flamas-trów. Czerwień wyjeżdżała daleko poza linię warg. Na powiekach malował grube niebieskie smugi. Domalowane rzęsy wystawały poza brwi i kości policzkowe.

Lalkowate spojrzenia dziewczyn w obiektyw, nie martwe, ale pełne przerażenia i bólu, budziły grozę.

Po raz pierwszy w życiu jakaś sprawa przyprawiała go o koszmary senne. „Przestań pracować” – powiedziała żona. „Idź na wcześniejszą emeryturę, jesteś za stary na takie rzeczy”.

Z głębokim westchnieniem otworzył akta sprawy Schoellera. Ułożył zdjęcia z teczki w stosik i pomyślał, że da sobie spokój z uprzejmością, jaką okazał Alkowi w nocy, kiedy zamordowano jego stryja. Był przekonany, że

bratanek ofiary coś ukrywa, i jeszcze tego samego dnia zamierzał się dowiedzieć co.

Ułożył zdjęcia we właściwej kolejności i wyszedł z pokoju.

Alkmaar, 21 lipca 1636

Do Niderlandów dotarł koniec małej epoki lodowcowej. Przez całe wieki zimy były długie i mroźne, a lata krótkie i wilgotne. Ten rok okazał się inny. Już od kilku tygodni panowały tu upały. W nocy temperatura prawie nie opadała. Zapach spoconych ciał wydobywał się przez okiennice na zewnątrz i wisiał nad ulicami, jakby ktoś rozłożył nad miastem cuchnący dywan.

Korneliusz ze złością spojrział do tyłu. Chłopak szedł coraz wolniej i teraz włókł się kilka metrów za nim. Musieli się spieszyć. Poza tym czuł się nieswojo na ulicy po tym, co się właśnie zdarzyło. Utrzymywał tempo marszu.

– Jakubie, pospieszaj, spóźnimy się.

Począł, aż chłopak zrówna z nim krok. Szli dalej razem.

– Myślisz, panie, że nie śpi? – zapytał Jakub. – Może już poszedł spać?

– Nie martw się, jeszcze nie poszedł.

– Tak myślisz, panie?

– Doprawdy sądzisz, że pójdzie spać, zanim się dowie, co się wydarzyło? Jako żywo zaczeka. No chodźże, ruszaj się. Trzeba się spieszyć.

– Rzecz jasna, że chce wiedzieć, ale ja...

Korneliusz popatrzył na profil swojego kompana gołowąsa. Do tej pory chłopak nie objawiał najmniejszego strachu. Teraz w jego głosie dało się wyczuć obawę. Sierociniec nie miał złej opinii, ale nigdy nie wiadomo, co działo się tam za zamkniętymi drzwiami. Korneliusz wiedział, że Adriaen Koorn, pryncypał, prowadził go silną ręką, że panowały tam dyscyplina i rygor.

– Objaśniać ci chyba nie trzeba, Jakubie? Pojmiesz przecież, że to jedyny sposób, żeby położyć temu kres?

Korneliusz zastanawiał się, czy się przypadkiem nie pomylili. Czy Jakub będzie zdolny milczeć o tym, co miał teraz na sumieniu? Gdyby się przyznał, konsekwencje byłyby ogromne. Nie tylko dla niego, ale i dla innych. Miał wątpliwości, czy Adriaen słusznie postąpił, wybierając na jego kompana właśnie Jakuba. Chłopak był niezbyt bystry, głupkowaty. Korneliusz zgodził się jednak, gdyż był on także rostry i silny jak niedźwiedź. Poza tym to nie miało znaczenia. Stało się i nie było już odwrotu.

– Tak, pojmuje – odpowiedział Jakub.

Pochylił głowę i wyciągnął dłonie przed siebie. Kiedy je odwrócił i rozcapierzył palce, zobaczył krew zgromadzoną w rowkach linii papilarnych. Chrząknął i próbował ją zetrzeć. Czerwony pył opadał niewidocznie na ziemię.

– Ręce, chciałbym ręce umyć.

– No to ruszaj się żwawiej. Im wcześniej przyjdziemy, tym wcześniej będziesz mógł je umyć.

Korneliusz przejechał ręką po włosach i odsunął kilka wilgotnych kosmyków z kołnierza. Pot lał mu się po twarzy. Coraz bardziej działało mu na nerwy cedzenie słów przez chłopaka. Pomasował brzuch w okolicy żołądka, do tej pory było mu niedobrze.

Zadanie było bardzo trudne. Z Wouterem Wincklem, swoim kuzynem, przyjaźnił się mimo różnic w poglądach. Kiedy cztery lata temu Elżbieta zmarła w połogu, to on pozostał przy Wouterze, pomógł mu znaleźć mamkę dla nowo narodzonego dziecka. Często się sobie zwierzali. Przeżył szok, kiedy pryncypał powiedział mu, czym zajmuje się jego krewny. Najpierw nie uwierzył, bo Wouteru uważał zawsze za mądrego człowieka. Ponadto myślał, że zna go na wylot,

że nie mają przed sobą żadnych tajemnic. Ale Adriaen pokazał mu dowody. Początkowo Korneliusz był bardzo rozczarowany, potem zaczęła go ogarniać coraz większa wściekłość.

Jak Wouter mógł tak nadużyć jego zaufania? Wieloletnia przyjaźń okazała się pomyłką, farsą opartą na kłamstwach. Teraz, po tych wszystkich rozmowach o religii, o swoich przekonaniach, szczerść słów kuzyna okazała się dyskusyjna.

Korneliusz westchnął. Wiedział, że prowadziła go boska ręka, że otrzyma przebaczenie, ale nie spodziewał się, że będzie mu tak ciężko. To nie okrucieństwo popełnionego czynu tak go poruszyło, nie, tu nie miał skrupułów. Chodziło o samego Wouterera. Będzie za nim tęsknił. Za jego żywotnością, niemądrymi żartami, jego honnością i dystansem do siebie. Poszedł do niego z sercem przepełnionym nienawiścią. Teraz wracał stamtąd z bólem w sercu.

5

Pachniało papierosami i smażonym boczkiem. Tygodniowy jadłospis ociekający tłuszczami nienasyconymi i węglowodanami wisiał za porysowaną plastikową szybką. Obok przycisków do windy ktoś powiesił klepsydrę. Alek przeczytał, że pogrzeb detektywa odbył się pięć tygodni temu, że żona i dzieci będą za nim tęsknili, że nie chciał kwiatów. Obok widniało ogłoszenie, że drużyna rugby Scotland Yardu pilnie poszukuje nowych zawodników, zainteresowanym podano numer telefonu.

Drzwi się otworzyły. Chciał się odsunąć, żeby kobieta, która właśnie zjechała, mogła wyjść. W tym samym momencie usłyszał „dzień dobry”. Kobieta z windy wyciągnęła do niego rękę.

– Dawn Williams.

Z uśmiechem wysiadła. Była tego samego wzrostu co on i miała skórę koloru mahoni.

– Przyszedł pan z wizytą do inspektora Wainwrighta?

– Tak, umówiłem się z nim.

Skinęła głową.

– Asystuję w dochodzeniu. W tę stronę proszę.

Szła tak szybkim krokiem, że musiał zwiększyć swoje normalne tempo. Na końcu korytarza zapukała do jakiegoś pomieszczenia.

– Sir, pan Schoeller do pana. – Przycisnęła plecy do lekko uchylonych drzwi, żeby mógł wejść.

Wainwright stał pod oknem, po prawej stronie wisiała tablica, która wyglądała, jakby była na wpół zjedzona przez korniki. Światło przeświecało jego odstające uszy, przez co miały barwę żywoczerwoną i wydawały się unosić obok głowy. W lewej dłoni trzymał pudełko pinezek.

– Panie Schoeller, dobrze, że pan przyszedł. Proszę usiąść. Napije się pan kawy czy herbaty?
– zapytał, patrząc na Dawn.

– Nie, dziękuję, na razie nic.

Alek usiadł. Wzrok skierował na tablicę.

– Jak pan widzi, właśnie chciałem zacząć.

Wainwright oparł się o biurko i zaczął coś pisać na skrawku papieru. Alek usłyszał, że drzwi za jego plecami zamykają się cicho. Pokój wypełnił ciężki zapach atramentu i skrobanie markera.

– A zatem... – Wainwright podszedł do tablicy i przypiął papierek pinezką.

Alek skrzywił się, kiedy zobaczył, co tam było napisane. Wstał.

– Sprawa Schoellera – przeczytał Wainwright i założył ręce na piersi. Razem patrzyli na tekst. Detektyw spojrział w bok i zobaczył, że Alek zacisnął zęby.

– Nie rozumiem, dlaczego pan chce jeszcze raz ze mną rozmawiać – odezwał się Alek poirytowanym głosem. – Powiedziałem panu wszystko, nic nie wiem poza tym, co już zeznałem.

– Mhm, ale mimo to chcę z panem jeszcze raz omówić wszystko krok po kroku. Na wypadek, gdybyśmy coś przeoczyli, ja albo pan.

– Traci pan czas.

– Lepiej będzie, jeśli pozwoli mi pan samemu decydować o tym, jak mam wykorzystywać swój czas. – Wainwright odwrócił się do niego i zrobił krok do przodu. Stał tak blisko Alka, że mógł dostrzec popękane naczynka na jego nosie. – Im szczegółowiej porozmawiamy ze wszystkimi, którzy są powiązani z tym zdarzeniem, tym szybciej będziemy mogli rozpocząć dochodzenie i zakończyć sprawę sukcesem. Zakładam, że i panu zależy na dowiedzeniu się, kto ma to morderstwo na sumieniu. Pewnie oglądał pan w telewizji dosyć kryminałów, żeby wiedzieć, że

najważniejsze są pierwsze godziny śledztwa. – Śledczy coraz bardziej podnosił głos. Podeszedł jeszcze bliżej.

Alek się cofnął.

– Wchodzę na pana terytorium? No, uraziła mnie pana uwaga o marnowaniu czasu. Więc jeśli pan pozwoli, to zaczniemy od razu. Proszę mi podawać po kolei te zdjęcia, będę je wieszał. – Wainwright wskazał stertę leżącą na biurku.

Alek podeszedł z wahaniem. Wziął zdjęcie z wierzchu: drzwi wejściowe do Cadogan Place. Detektyw kucnął i przeciągał pędzelkiem po klamce. Alek widział siebie w otwartych drzwiach. Wainwright wyjął mu zdjęcie z rąk. Przypiął je do tablicy i puknął w nie palcem.

– Dla porządku, panie Schoeller: drzwi były otwarte, kiedy pan wchodził?

– Tak.

– Zakładamy, że pan Schoeller wpuścił kogoś do środka. Nie ma śladów włamania.

Przypuszczamy nawet, że był to ktoś, kogo on znał. Zakładam, że pana stryj nie miał zwyczaju wpuszczać w nocy do środka byle kogo?

– Nie, oczywiście, że nie.

– Czy przychodzi panu na myśl, kto mógł wtedy przyjść?

Alek potrząsnął głową i wzruszył ramionami.

– Panie Schoeller, czy pana stryj... jak to ująć... spotykał się z różnymi osobami? Może do kogoś dzwonił, szukał towarzystwa tej nocy?

– Nie robił takich rzeczy. – Alek spojrzał na Wainwrighta ze złością.

– Okej, dobrze. Następne zdjęcie proszę.

Alek włożył fotografię w wyciągniętą rękę detektywa.

– Dobrze, to jest hol. Kiedy pan wchodził, światło było zapalone czy nie?

– Wyłączone.

– A potem?

Alek westchnął.

– Już mówiłem. Światło paliło się w gabinecie. Tam go znalazłem.

– Martwego?

– Tak. – Alek poczuł ucisk w gardle.

– Pana stryj był torturowany, sam pan to zauważył. Czy wie pan dlaczego? Czy zajmował się sprawami, które nie powinny ujrzeć światła dziennego?

– Skąd panu takie rzeczy przychodzą do głowy! Człowiek w wieku siedemdziesięciu pięciu lat zajmujący się nielegalnymi sprawami? Co pan ma na myśli, jeśli można zapytać? Niech zgadnę. Narkotyki. Faktycznie, już to widzę: mój stryj z walizeczką kokainy odwiedza po kolei wszystkie nocne kluby, szukając klientów. No nieee, wie pan co? A może zajmował się pornografią dziecięcą? Jeszcze lepiej, handlował dziećmi! Przemycał dzieci z Tajlandii, odbierał

im paszporty i kazał pracować w burdelach, dopóki nie padną.

– Panie Schoeller, ja...

– Nie, nie – przerwał mu Alek, wyciągając rękę. – Chwileczkę, jeszcze nie skończyłem. Nie mam zamiaru słuchać pana dalszych insynuacji. Ten człowiek cieszył się szacunkiem w najwyższych kręgach, miał przyjaciół wśród polityków i dyplomatów. To on nauczył mnie szacunku i miłości do ludzi, nauczył, co to znaczy być człowiekiem w tym zepsutym świecie. Pan chce mi udowodnić, że zajmował się podejrzanymi sprawami. Wydaje się panu, że kim pan jest?

– Wiem, kim jestem – odpowiedział Wainwright uspokajającym tonem. – A Tibbens?

Na chwilę zbił Alka z tropu.

– Co: Tibbens?

– Co może mi pan o nim powiedzieć?

– Przecież pan z nim rozmawiał.

– Oczywiście, ale chciałbym usłyszeć o nim coś więcej od pana.

– Jak to ode mnie? Już od trzydziestu lat jest na służbie u stryja. Znam go od momentu, kiedy tam zamieszkałem. Został kiedyś przyjęty na szofera i nigdy stryja nie opuścił. Jedyne, co o nim wiem, to że skoczyłby za nim w ogień. Wszystko by dla niego zrobił.

– Wszystko? Jak daleko mógł się posunąć?

– O co panu chodzi?

– O to. – Wainwright podszedł do parapetu i wziął brązową kopertę. Wyjął z niej zdjęcie i powiesił na tablicy. Tibbens patrzył ze stoickim spokojem przed siebie, trzymając w rękę tabliczkę z numerem.

– Co to jest? – Alek podszedł do tablicy i popatrzył na zdjęcie.

– Wilbur Tibbens ma przeszłość kryminalną. Był kiedyś aresztowany za znęcanie się.

– Znęcanie się? Niemożliwe. – Zdumiony Alek jeszcze raz rzucił okiem na zdjęcie. – On nigdy nikogo nie pobił.

– Kiedyś kogoś jednak pobił – odpowiedział Wainwright z dezaprobatą. – Nieładnie. Zastanawiam się, czy się nie pokłócili i sytuacja nie wymknęła się spod kontroli.

– Kłótnia między nimi? Gdyby tak było, toby mi powiedział.

– Hm. To może inaczej. Czy w ostatnim czasie zauważył pan u stryja jakąś zmianę? Co u niego było słyhać? Jak się czuł? Czy zachowywał się normalnie?

– Nie, nic szczególnego nie zauważyłem.

– Nic?

– No nic.

– Czy śmierć mogła mieć coś wspólnego z szantażem? Jak się zachowywał w ostatnim czasie? Czy był podniecony, szybciej wpadał

w roztargnienie, złościł się na coś, może był niespokojny?

– Nie musi mi pan tłumaczyć, rozumiem, o co panu chodzi.

– Więc?

– Więc co? – burknął Alek.

– Czy był szantażowany?

– Czym? Pewnie pan myśli, że ma to jakiś związek z jego homoseksualizmem. Niemożliwe, nie krył się z tym.

– Dobrze, proszę mi podać to zdjęcie, i jeszcze tamto – uciął Wainwright, wciskając Alkowi do rąk pudełko pinezek. Wziął następne zdjęcie, jedną ręką przytrzymał je na tablicy, a drugą wyciągnął po pinezkę. Nie odwracając się, rzucił: – Co pan zrobił po wejściu do gabinetu?

Wainwright przystanął na chwilę przed fotografią, którą właśnie powiesił, i odsunął się na bok. Alek westchnął. Kiedy patrzył na martwe ciało leżące na podłodze, poczuł na sobie wzrok

detektywa. Przełknął ślinę i potarł oczy czubkami palców. Potem spojrzał ze złością na Wainwrighta.

– To już też mówiłem. Leżał przed kominkiem. Podbiegłem do niego. Kiedy go zobaczyłem, zaraz zadzwoniłem na pogotowie.

– Czy przesuwiał pan ciało, dotykał czegoś?

– Oczywiście, że dotykałem, przecież pan widzi. Podłożyłem mu poduszkę pod głowę i zbadałem puls... Próbowałem go jeszcze... reanimować, ale było za późno.

– Jest pan pewien? – Wainwright podniósł głos i wskazał tablicę. – Niech pan spojrzy na tę twarz. Czy widać w niej strach? Czy to jest twarz kogoś, kto się boi? Czy to jest ktoś, kto patrzy w oczy mordercy? Proszę, to... i jeszcze to.

Rzucił na biurko zdjęcia z ciałem Franka sfotografowanym z różnych stron. Potem podszedł do Alka.

– Panie Schoeller, zagram z panem w otwarte karty. Mamy raport patolożki i zakładu medycyny sądowej. Są tam rzeczy, które nie zgadzają się z pana zeznaniami. Chyba nie powiedział nam pan wszystkiego. Co pan przed nami ukrywa?

Alek przełknął ślinę.

– Dlaczego miałbym coś ukrywać?

– No właśnie nie wiem dlaczego. – Puknął Alka palcem w pierś. – Ale pan dobrze wie, że różne rzeczy się nie zgadzają.

– Co na przykład?

– Na przykład to, że na półce z książkami znaleźliśmy ślady krwi pana stryja. Ale tylko w jednym miejscu. To oznacza, że coś z tej półki wziął już po tym, jak go torturowano. Prawdopodobnie książkę. Dziwne jest to, że na żadnej książce nie było śladów krwi. Nie znaleźliśmy ich.

– A więc zakłada pan, że ja to coś znalazłem, a nie morderca? Dlaczego nie on? Poza tym uważa pan, że stryj w takim stanie wstał, żeby wyjąć książkę z półki? Nie wydaje mi się to prawdopodobne.

– Może coś powiedział?

– Jasne, coś powiedział. Czy to są nowe metody śledcze Scotland Yardu? Pytać martwego, jak zginął? Był martwy, kiedy tam wszedłem. Ile razy mam to powtarzać? Podłożyłem poduszkę pod głowę, reanimowałem metodą usta – usta i robiłem masaż serca.

– Dlaczego podłożył mu pan poduszkę pod głowę?

– Słucham?

– Panie Schoeller, dlaczego podłożył pan poduszkę pod głowę? Wchodzi pan do pokoju, widzi, że pana stryj leży martwy. I pierwsza rzecz, jaką pan robi, to bierze pan poduszkę i podkłada mu pod głowę. To absurdalne!

Wainwright zauważył, że Alek zaczął mrugać.

– Niech pan posłucha, to była pierwsza myśl, jaka mi przyszła do głowy. Żeby Frankowi było wygodniej.

– Chciał pan, żeby martwemu człowiekowi było wygodniej? Ciekawe. A więc podłożył mu pan poduszkę pod głowę, zanim zaczął pan reanimować.

– Tak.

– Bo myślał pan, że on jeszcze żyje?

– Właśnie.

– Sprytne, najpierw podłożyć komuś poduszkę pod głowę, żeby potem reanimować usta – usta? Tego nauczyli pana na kursie? Najpierw podłóż poduszkę pod głowę reanimowanego?

– Nie wiem, nie mam żadnego doświadczenia...

– Zdaniem ratowników z pogotowia wiedział pan bardzo dobrze, jak się reanimuje. Szkoda, myślałem, że pan nam pomoże, ale niestety.

Alek wzruszył ramionami.

– Ostrzegałem pana, że traci pan ze mną czas.

– Panie Schoeller, pan coś ukrywa. Nie wiem co i nie wiem dlaczego. Umówmy się tak, że jeśli przyjdzie panu do głowy coś, co nam może pomóc, to się pan z nami skontaktuje. Niech pan to spokojnie przemyśli. Komu mogło zależeć na śmierci stryja, pomijając pana, oczywiście? Kogo wpuściłby w nocy do domu? Jeśli wpadnie pan na coś, co mogłoby być dla nas przydatne... – Wainwright wyciągnął pogniecioną wizytówkę z wewnętrznej kieszeni marynarki i wręczył ją Alkowi.

– Przed chwilą powiedział pan mimochodem, że miałbym skorzystać na śmierci stryja. – Alek włożył wizytówkę do kieszeni spodni. – Żeby wszystko było jasne: jeśli mnie o coś

podejrzewacie, to proszę mi to powiedzieć prosto w twarz. Zakładam, że prześledził pan moją przeszłość. W związku z tym wie pan, że nie potrzebuję pieniędzy stryja, sam potrafię się świetnie utrzymać.

Wainwright spojrział na niego. Rzeczywiście prosił Dawn o sprawdzenie wszystkich informacji o Alku. Rano przejrzał cały raport.

Alek miał siedem lat, kiedy jego rodzice zginęli w katastrofie lotniczej. Frank Schoeller, brat jego ojca, został wybrany na opiekuna chłopca i sprowadził go do Londynu. Alek studiował historię, ale jej nie skończył, bo poświęcił się pasji malarskiej. Dobrze na tym wyszedł. W tej chwili należał do najlepiej sprzedających się artystów Europy Zachodniej. Jego obrazy szły jak ciepłe bułeczki i przynosiły średnio dwieście tysięcy funtów za sztukę. Dawn zdołała też ustalić, że kilka lat temu Alek spędził sześć

miesiący w klinice, żeby wyleczyć się z uzależnienia od kokainy.

– Mówi pan: pieniądze, panie Schoeller? Niewielu ludzi ma ich dosyć. To oczywiście zależy od potrzeb – oświadczył Wainwright, patrząc znacząco na Alka. – Poza tym pieniądze nie są jedynym motywem popełniania morderstwa, wie pan o tym tak samo dobrze jak ja. Nawiasem mówiąc, wie pan, że ma pan już wstęp do domu? I ciało stryja też zostało zbadane. Rozumiem, że zostanie pochowany w Holandii, może pan zacząć załatwiać formalności.

Wyciągnął dłoń.

– No to do zobaczenia.

Kiedy zamknął za sobą drzwi, Wainwright podszedł do tablicy. Ostatnie zdjęcie, które powiesił, było fotografią Alka.

6

Pod zadaszeniem Scotland Yardu Alek zapiął płaszcz i wyciągnął rękę, żeby zatrzymać przejeżdżającą taksówkę.

Kiedy do niej wsiadł, ogarnęło go nagle silne uczucie osamotnienia, chciało mu się krzyczeć. Wbił paznokcie w dłonie i wcisnął się w fotel. Tylko spokojnie, tylko spokojnie. Kilka razy wciągnął głęboko powietrze. Przechylił się do przodu i zamknął okienko między szoferką a kabiną.

Poczucie bezsilności było prawie namacalne. Kłębiło się wokół niego jak ciężka chmura i było tak gęste, że nie mógł oddychać. Wróciła złość towarzysząca mu od najwcześniejszej młodości, złość na wszystko, co zostało mu odebrane, na ponurą samotność, na którą był skazany. Sugestia

Wainwrighta, że mógłby mieć coś wspólnego ze śmiercią Franka, pogłębiała bezsilność.

Nacisnął guzik. Szyba powoli się opuszczała. Zimny powiew powietrza gładził go po twarzy, zamknął oczy.

Pod powiekami przesuwały się obrazy przeszłości spędzonej z Frankiem. Pierwsze nielegalne lekcje jazdy samochodem, w środku nocy, w przedłużonym mercedesie, na pustym parkingu obok stadionu piłkarskiego. On senny za kierownicą, obok stryj tryskający energią. Frank idący przed nim w ciemności pod Bermondsey Market, oświetlający latarką stoiska z antykami, żeby znaleźć ten jeden przedmiot, rodzynek w cieście. Profil Franka, kiedy czytał mu bajki przy słabym świetle lampki nocnej. Wszystkie te razy, kiedy Frank go przytulał i pocieszał. Te momenty szczęścia wryły mu się w pamięć.

Otworzył oczy i czuł, że ciało krzyczy o znieczulenie. Zapomnieć o wszystkim. Ta potrzeba wykorzystwała jego słabość i bezwzględnie wypełniała pustkę, której sam nie potrafił wypełnić, tak że prawie bolało.

Telefon oznajmił, że przyszedł esemes. Alek wziął aparat i otworzył wiadomość. Damian. „Zadzwoń, jeśli mogę Ci w czymś pomóc, i zawiadom mnie, kiedy i o której będziesz. Wyjadę po ciebie” – pisał.

Alkmaar, 21 lipca 1636

Najpopularniejszą gospodą w Alkmaar była De Oude Schuttersdoelen. Zazwyczaj okiennice siedziby Towarzystwa Kuszowników z Alkmaar otwierano jak najszerzej. Zapach gorącej stawy przyciągał przechodniów. Teraz, głęboką nocą, gospoda była pusta.

Wouter Bartelmiesz Winckel przestraszył się stukania do drzwi. Zanim zamknął księgę rachunkową, robił jeszcze notatki. Schylił się, stękając, żeby podnieść z podłogi sakiewkę z pieniędzmi. Włożył do niej garść florenów i zszedł po schodach do komory. Przeszedł przez szynk do przedniej izby gospody. Odsunął zasuwę i otworzył lufcik.

– Kto tam? – zapytał, wysuwając głowę na zewnątrz.

Zobaczył sylwetki dwóch mężczyzn, jeden był wysoki i barczysty, drugi mały i krępy.

– Witaj, Wouterze, to ja, Korneliusz – odezwał się mniejszy, robiąc krok do przodu i zdejmując kapelusz.

– Aaa, Korneliusz, nie poznałem cię. Co tu robisz o tak późnej porze?

– Muszę z tobą pilnie pomówić, wiem, że pora późna, ale przychodzę z ważną sprawą.

– Dobrze, przyjdę zaraz, poczekaj chwilę, muszę coś skończyć.

Wouter zamknął lufcik i podszedł do otwartej szafy stojącej w głębi szynku. Półki opierały się o ścianę. Zdjęto z nich kufle, talerze i miski, które stały teraz na podłodze. Dał nura do szafy i włożył klucz do zamka dębowych drzwi w tylnej ścianie. Otworzył je.

Pomieszczenie miało półtora metra wysokości, półtora metra szerokości i było głębokie na dwa. Wsunął się do środka na kolanach, trzymając w jednej ręce lichtarz, a w drugiej sakiewkę z pieniędzmi. Półki z prawej strony ugiwały się pod ciężarem monet. Położył sakiewkę na najniższej półce i poświecił z lewej strony. Komoda składała się z kilkudziesięciu szuflad, na każdej z nich była przyklejona etykieta z tekstem i liczbami.

Uśmiechnął się. Wyciągnął tułów do przodu, ile się dało, i przycisnął nos do jednej z przegródek. Przez dziurki wywiercone w drewnie doszedł go zapach wilgotnej ziemi. Ostrożnie otworzył. Tkliwie popatrzył na małą cebulowatą bulwę.

– Zapach wolności, przyszłość świata w szufladzie – powiedział miękko. Delikatnie zamknął ją palcem. Wyczołgał się tyłem z kryjówki.

Zanim zamknął drzwi, pochylił się mocno i oświetlił lichterzem pomieszczenie. Przy tylnej ścianie leżały ułożone w stertę pamflety. Uśmiechnął się jeszcze raz.

7

– Emma, pospiesz się trochę. Musimy wychodzić. Zaczyna się o trzeciej.

Głęboki głos Damiana dudnił w długim korytarzu domu nad kanałem i odbijał się od ścian wykładanych marmurem.

– Już idę, jakieś dwie minutki – rozległo się z głębi domu.

– Dwie minuty? Boże drogi, co ona tak długo robi? Dlaczego kobiety zawsze potrzebują tyle czasu?

Wzdychając, popatrzył na zegarek. Odwrócił się do szofera stojącego obok z założonymi rękami i nieznacznym uśmiechem na ustach.

– Czemu się śmiejesz? Stało się coś?

– Nie, nic.

– Zaraz ci nie będzie do śmiechu, jak będziesz musiał dojechać na czas.

Martwił się. Alek przyjechał do Holandii wczoraj. Damian przestraszył się na jego widok, kiedy zobaczył go wchodzącego do hali przylotów. Jego najlepszy przyjaciel miał mocno podkrążone oczy, a nieogolone policzki okrywały twarz cieniem. Najbardziej jednak zmartwił go wyraz wściekłej determinacji w oczach Alka.

Wrócił myślami do momentu sprzed wielu lat, kiedy pierwszy raz spotkał go podczas dni zapoznawczych w angielskiej szkole z internatem, na dziedzińcu średniowiecznego zamku przekształconego w *finishing school*^[2] dla dzieci zamożnych rodziców, którzy marzyli o międzynarodowej karierze swoich pociech. Alek przyciągnął jego uwagę. Trzymał się poza błyskawicznie powstałymi grupkami. Ludzie o świeżych, młodych twarzach ubrani w jaskrawożółte

koszulki polo przypominali sfore ą młodych psów tej samej rasy wypuszczonych na dziedziniec.

Alek natomiast prawie tonął w szaroniebieskim płaszczu wojskowym. Podniesiony futrzany kołnierz zakrywał mu znaczną część twarzy. Z workiem żeglarskim leżącym u stóp wyglądał bardziej na rosyjskiego żołnierza w drodze na front niż na piętnastoletniego ucznia prestiżowej szkoły prywatnej.

– *Hello, I'm Damian Vanlint.*

– *Alek Schoeller.*

Podał mu rękę. Była szeroka, o szorstkiej skórze, poznaczona farbą.

– *Nice to meet you. Where are you from?*

– *From London, and you?*

– *From Holland.*

– O, to się dobrze składa, możemy rozmawiać po niderlandzku, jeśli nie będziemy chcieli, żeby ktoś nas zrozumiał. – Alek roześmiał się na

widok zdumionej twarzy Damiana. – Od siódmego roku życia mieszkam w Londynie, u stryjka – wyjaśnił. – Ale pochodzę z Holandii.

– Czy dobrze słyszę? Mówicie po niderlandzku? – rozległ się miękki głos, w którym można było wyczuć lekki akcent francuski.

Spojrzeni na nią zaskoczeni.

– Jeszcze ktoś z Holandii? – zdziwił się Damian.

– Tak, jeszcze ktoś, przynajmniej w połowie. – Dziewczyna się uśmiechnęła. – Miło was poznać. Jestem Emma. Emma Caen.

Odgłos kroków wyrwał Damiana z zamyślenia. Drzwi na końcu korytarza się otworzyły. Żona podeszła do niego, stukając obcasami o marmurową podłogę.

Spojrzał na nią z miłością. Przypomniał sobie wystąpienie Franka na ich ślubie.

„Droga Emmo, drogi Damianie, muszę się wam do czegoś przyznać. Jestem zawistny. Nie, poczekajcie, źle mówię, zazdrosny. Jaka jest różnica? Życzę wam najwięcej szczęścia na świecie, więc nie jestem zawistny, ale jestem zazdrosny, że sam nie mam tego, co was łączy. Życzę wam szczęścia z całego serca, ale sam też chciałbym je czuć. To mam na myśli. Miłość, którą do siebie czujecie, która z was promieniuje, nie zostawia nas obojętnymi. Popatrzcie dookoła, popatrzcie!” – Frank wyciągnął rękę w kierunku gości stojących przed podium. Setki twarzy patrzyły na niego z wyczekiwaniem. „Ale”, ciągnął, „trzeba być konsekwentnym. Musicie iść przez życie razem. Mam na myśli bycie naprawdę razem. Nie sprawiajcie sobie nawzajem zawodu. Dobre czasy same nadejdą, przyjmuje się je często za oczywistość. Nie zapominajcie jednak, że na pewno przyjdą też złe czasy. Wtedy trzeba będzie spojrzeć wstecz... pomyśleć o tym momencie, o teraz. I... o mnie”.

Frank podniósł kieliszek, uśmiechając się. „Teraz czas na toast. Niech żyje młoda para!”.

– Chodź, musimy się spieszyć. – Głos Damiana zabrzmiał smutno.

Emma spojrzała na męża i pogłaskała go po policzku.

– Martwisz się?

– Mhm.

– O Alka?

Skinął głową. Stała na palcach i pocałowała go. Nosem potarła jego brodę.

– Wszystko będzie dobrze – powiedziała miękko. – Da sobie radę.

Szofer otworzył boczne drzwi w holu. Wąskim korytarzem przeszli do garażu. Kierowca wziął kluczyki z szafki przy drzwiach i przycisnął guzik. Maserati quattroporte stojące obok srebrnoszarego astona martina otworzyło się z kliknięciem.

8

No, jeszcze ten Schoeller i na dzisiaj koniec, pomyślał przedsiębiorca pogrzebowy, idąc do toalety. Nie lubił pochówków w Zorgvlied. Wprawiały go w niepokój. Najczęściej wszystko szło zgodnie z planem, ale ostatnio był tutaj taki tłok, że czasem żałobnicy opłakiwali zmarłego, którego nigdy nie znali. Jakby weszli do sali kinowej i po jednej czwartej seansu zorientowali się, że to nie ten film.

Nic nie można było poradzić, to miejsce stawało się coraz popularniejsze. Miało to związek nie tylko ze starzeniem się społeczeństwa i pięknym położeniem cmentarza, ale i z tym, że nie robiono tu trudności w związku z dziwnymi życzeniami, wystawnymi pogrzebami ani nietypowymi pomnikami.

Na uroczystość zarezerwowano dwie godziny. Wśród zaproszonych było wielu dygnitarzy i dostojników państwowych, dlatego wcześniej trzeba było przejść całą trasę konduktu z agentami bezpieczeństwa. Szli za nim gęsiego w czarnych garniturach i ze słuchawkami w uszach. Kilkoro z nich stało teraz w pogotowiu przy otwartym grobie.

Zamknął drzwi toalety.

– Jesteś tam?

– Tak, stoję na parkingu, *over* – zatrzeszczał głos jego współpracownika.

– I co, mogą gdzieś zaparkować?

– No wiesz, wiele osób przyjechało z szoferami, więc powinno się udać, *over*.

– No to mamy szczęście, do zobaczenia za chwilę.

Schoeller też miał szczęście, że był jeszcze wolny grób, pomyślał przedsiębiorca, patrząc w lusterko. Poprawił krawat. Największy popyt

był na groby położone w części zaprojektowanej przez architekta zieleni Zochera. Była to najbardziej nastrojowa część cmentarza, z pięknymi drzewami i piaszczystymi ścieżkami wijącymi się między grobami.

Wyciągnął mankiety koszuli z rękawów marynarki. Przeszedł przez aulę do głównego wejścia. Obejrzał się przy drzwiach. Czerwona lampka przesuwiała się w tę i z powrotem po tylnej ścianie. Druga kamera wisiała w holu tuż nad wejściem, nad stołem, przy którym musieli mel-dować się goście.

Pół godziny później wszystkie krzesła w auli były zajęte. Pozostali żałobnicy tłoczyli się pod ścianami. Wszystkie oczy były zwrócone na trumnę zasypaną kwiatami. Obok na sztalugach stało czarno-białe zdjęcie Franka. Uśmiechał się z niego trochę drwiąco, jakby się zastanawiał,

czym sobie zasłużył na tyle uwagi. Z głośników płynęły dźwięki tanga.

Szum na sali ucichł, kiedy pierwszy mówca stanął przy mikrofonie. Pół godziny później, po trzech mówcach i kilkudziesięciu wygłoszonych superlatywach, głos zabrał Alek. Krótko rozprawił się z wizerunkiem doskonałego człowieka leżącego w trumnie.

Powiedział, że Frank się wymądrzał, był uparty jak osioł, wierny jak pies, energiczny i miał trochę przyciężkie poczucie humoru, dla niektórych zbyt cyniczne. Był bezgranicznym hedonistą, materialistą o wielkim sercu, twardym biznesmenem i kochającym stryjem. Na koniec popatrzył po sali przenikliwym, gniewnym wzrokiem.

– Wszyscy zgromadzeni tutaj wiedzą, że Frank wyjechał do Anglii, ponieważ rodzice nie chcieli zaakceptować go takim, jaki był. Nigdy nie żałował swojej decyzji, chociaż nie było mu

łatwo. Przez pierwsze lata prowadził samotne życie. Wytrwałością osiągnął w końcu to, po co wyjechał: rozpoczął piękne, wolne i szczęśliwe życie. Teraz muszę spłacić dług wobec człowieka, który wychowywał mnie w miłości od siódmego roku życia, był dla mnie jak ojciec. Z takim samym uporem, jaki cechował Franka, będę się starał dowiedzieć, kto ma tę zbrodnię na sumieniu. Nie spocznę, dopóki sprawca nie zostanie ujęty i postawiony przed sądem. – Przerwał na chwilę, po czym zwrócił się do ludzi w sali: – I biorę państwa na świadków.

Przeraźliwą ciszę przerwało po kilku sekundach niespokojne szuranie i pokasywanie. Na znak przedsiębiorcy pogrzebowego wszyscy zaproszeni wstali. Drzwi z tyłu auli otworzyły się. Sześciu mężczyzn podeszło do trumny, przesunęło ją na wózek i ostrożnie wyprowadziło na zewnątrz. Goście zmierzali powoli w kierunku wyjścia. W przejściu częstowali się szampanem

stojącym na stole przy drzwiach. Potem poszli za trumną na cmentarz.

* * *

Alek miał wrażenie, że ścisnął tysiące rąk. Jedynie, co sobie uświadamiał, to dotyk dłoni – niektóre były wilgotne i lepkie, inne mocne i suche. Czuł każdy odcisk, wilgoć i uścisk. Jak gdyby wszystkie zmysły skupiły się na tym jednym, na dotyku. Poza tym niewiele do niego dochodziło.

Nie potrafił wymazać z pamięci widoku Franka, jak leżał wtedy, w momencie, kiedy go znalazł. Alkowi było duszno i chciał stamtąd wyjść. Uciec od tych wszystkich ludzi i odurzającej mieszaniny rozmaitych perfum i wody kołońskiej unoszących się wokół niego. Uciec od ludzi, którzy go całowali, obśliniali mu policzki, chcieli pocieszać albo szukali pocieszenia u niego. Tego nie mógł im dać. Marzył jedynie

o tym, żeby pójść z powrotem z Emmą i Damianem do grobu Franka, pożegnać się z nim jeszcze raz, bez ludzi.

– Pan Schoeller?

Spojrzał.

– Panie Schoeller, przede wszystkim proszę przyjąć moje kondolencje – powiedział Wainwright sucho. – Bardzo mi przykro.

Dawn stała za nim, potakując głową.

– Dziękuję.

Wainwright zakaszłał.

– Wracam do tego, co pan przed chwilą powiedział. Ufam, że zostawi pan tę sprawę nam. Chyba pan rozumie, że nie powinien pan prowadzić śledztwa na własną rękę. My jesteśmy wyszkoleni w tym kierunku, to jest nasz zawód. Pewną rolę odegrały tu emocje, ale...

– Naturalnie – przerwał mu Alek. – To rzeczywiście były emocje. Nie mam zamiaru sam

prowadzić dochodzenia. Zostawiam to wyłącznie państwu. – Podkreślił swoje słowa machnięciem ręki.

– Doskonale, właśnie my po to jesteśmy, chciałem to wyraźnie zaznaczyć. Nie ma tu miejsca dla amatorów.

Wainwright udał, że nie widział spojrzenia Alka, i wyciągnął chusteczkę. W skupieniu wycierał nos.

– Chcę panu powiedzieć, że nagrania od razu zabierzemy ze sobą, zaczniemy nad nimi pracować.

Dawn mu przerwała.

– Lista – szepnęła.

– O tak, lista, czy miał pan czas sporządzić listę?

– Tak, mam ją tutaj.

Alek sięgnął do wewnętrznej kieszeni marynarki i wyciągnął cztery kartki złożone w pół.

Patrzył zamyślony za śledczymi, kiedy wychodzili z cmentarza.

– Kto to był? – zapytał Damian, który podszedł do niego z Emmą.

– Moi przyjaciele ze Scotland Yardu.

– Ze Scotland Yardu? – Damian spojrzał na niego zdumiony. – A co oni tu robią?

– Pytali, czy mogą przyjechać. Chcieli nagrać pogrzeb i wszystkich gości. I prosili o listę zaproszonych.

– Dlaczego? – zapytała Emma. – Co, myślą może, że kręci się tutaj morderca Franka? Przecież to był włamywacz. Sam mówiłeś.

Alek nic nie odpowiedział.

– Alek?

– Ja... eee... Jest kilka rzeczy, o których wam jeszcze nie mówiłem.

– Jakich rzeczy? – zapytał Damian.

– Opowiem wam, kiedy tylko wrócimy do domu. Dobrze? – Alek rozejrzał się dookoła. Ostatni goście opuszczali salę. – Chodźcie, pójdziemy pożegnać się z Frankiem.

Alkmaar, 21 lipca 1636

W momencie, kiedy Korneliusz zaczął się niecierpliwić, usłyszał brzęk kluczy. Potem jeden z nich zazgrzytał w zamku. Mężczyzna przyłożył na chwilę dłoń do uda, żeby wreszcie przestała drżeć. Pot spływał mu po plecach i przesiąkał przez koszulę. Korneliusz czuł, jak Jakub stojący tuż za nim poci się ze strachu.

Drzwi gospody się otworzyły. Pokażna postać Wouterera Winckla wypełniła wejście.

– Korneliuszu, przyjacielu, wchodź! – zadudnił. – Dobrze cię widzieć. Z kim przychodzisz?

– Witaj, Wouterze, ja także cieszę się, że cię widzę – odpowiedział Korneliusz, zbaczając z drogi. – To jest Jakub, Jakub Riemers.

Wouter spojrział przyjaźnie na młodego człowieka.

– Witaj. – Zapraszającym gestem wskazał im izbę i usunął się na bok.

Korneliusz prześlizgnął się obok jego dużego brzucha. Kiedy Jakub mijał Woutera, ten instynktownie pociągnął nosem. Ostra woń potu nie snuła się za chłopcem, ale wisiała w drzwiach, jakby nie chciała go opuścić i wyciągała na zewnątrz.

Jakub pierwszy wszedł do gospody. W izbie unosił się zapach tytoniu i zwietrzałego piwa. Przenikał do nozdrzy.

Popatrzył dookoła. Oczy prześlizgiwały się po licznych obrazach i rycinach: statki na morzu, pejszaże, portrety i martwe natury były porozwieszane na przemian. Ciemnobrązowe, czarne i złoczone ramy przylegały do siebie, ściany wydawały się uginać pod ciężarem obrazów.

Całą lewą stronę zajmował portret grupowy. Stali na nim strzelcy ubrani w swoje najpiękniejsze stroje.

Widać było, że każdy płacił za swoją podobiznę osobno. Bogatsi członkowie bractwa kazali się namalować od stóp do głów. Tych mniej zamożnych stać było tylko na portret twarzy. Kiedy Jakub przechodził obok obrazu, oczy wszystkich postaci zdawały się go śledzić.

– Proszę, siadajcie – powiedział Wouter, podchodząc do jednego ze stolików pośrodku. Machinalnie zdjął z blatu stołki. Potem wyciągnął dwa lichtarze i zapalił świece.

– Coś na ugaszenie pragnienia? – zapytał, podchodząc do lady.

Wrócił do gości z trzema kuflami w jednej ręce i dzbanem piwa w drugiej. Nalał do pełna i usiadł.

– Czym mogę służyć?

Jasnoniebieskie oczy gospodarza spoglądały na nich przyjaźnie. Miedzianorude loki spadały na ramiona i układały się falami na kołnierzu. Końce kasztanowych wąsów sterczały dumnie do góry. Broda była spiczasta, do czego sam się przyczyniał, kręcąc ją ciągle wokół palca.

Wouter Winckel należał do najbogatszych mieszkańców Alkmaar. Na pierwszy rzut oka jego ubranie nie różniło się od strojów innych karczmarzy z miasta, ale spodnie i kaftan uszyte z tkanin najwyższej jakości. Jego majętność podkreślały srebrne klamry przy butach.

Jakub nie odezwał się jeszcze ani słowem. Nie spuszczał oczu z Wouterera jak kot śledzący ofiarę, którą chce zaraz dopaść. Pot spływał mu strumyczkami po skroniach, krople błyszczały nad górną wargą pokrytą meszkiem zarostu i zatrzymywały się na wypryskach wokół ust.

Korneliusz spojrział na Jakuba i dostrzegł jego wzrok. Kopnął go w kostkę. Jeśli Wouter zacznie

ich podejrzewać już teraz, to wszystko przepadnie. Samo zadanie było dostatecznie ciężkie. Jego kuzyn nie mógł się niczego domyślać.

Korneliusz widział, jak twarz Jakuba się zmienia. Chłopak rozluźnił się trochę i z udawanym zainteresowaniem zaczął się rozglądać po pomieszczeniu. Jego oczy spoczęły na wielkiej szafie przylegającej do ściany w głębi szynku. Korneliusz jeszcze raz kopnął go w kostkę, patrząc jednocześnie na Wouterera.

– Na zdrowie, wielmożni panowie, witam w tę piękną, ciepłą, letnią noc! – odezwał się Wouter, upijając spory łyk piwa.

– Daruj, że cię tak późno nachodzimy, ale pragnę zapytać o coś ważkiego. Liczę na szczerą odpowiedź.

Wouter podniósł brwi.

– Tobie kłamstw nie opowiadam, Korneliuszu, proszę, pytaj.

Korneliusz skulił się nieznacznie. Wciąż miał nadzieję, że to nieprawda, że wszystko zostało wymyślone przez jakieś odrażające indywiduum, zazdrosne o fortunę jego kuzyna zgromadzoną w ostatnich latach. A może gdzieś zaszła pomyłka? Całym sercem miał nadzieję, że to była tylko plotka. Że nie Wouter miał to na sumieniu, ale ktoś inny, że nie będzie musiał wykonać misji.

– O pamflet idzie – powiedział cicho Korneliusz, patrząc mu prosto w oczy.

– Pamflet? Jaki pamflet? Co dnia jakieś wychodzą. Przynoszą ich po kilka naraz. Wiesz, jak to jest. Czasem głupstwa same głośzą, czasami bezczelne kłamstwa, ale czasem nawet mówią prawdę. O jaki pamflet ci chodzi?

– Wiesz przecież, o jaki pamflet mi idzie, nie udawaj durnia – odpowiedział ostrym tonem Korneliusz, przymykając oczy. – Mówię o pamflecie, o którym wszyscy teraz mówią, który

nikogo nie zostawia obojętnym. Pamflecie, któryś napisał i który ponoć rozdajesz. O nim mówię!

– Trudno mi zgadnąć, do czego zmierzasz, w twoich słowach brakuje jasności – odparł spokojnie Wouter.

– Ułożyłeś pamflet, w którym zaprzeczasz istnieniu Boga, w którym ogłaszasz, że nauka stoi ponad wszystkim. W którym na równi z Bogiem stawiasz naturę, czcisz ją jak samego Boga. I najgorsze: w którym twierdzisz, że człowiek sam zastąpić może Boga! – Korneliusz się przeżegnał. – Do tego zmierzam! Czy ten bluźnierczy pamflet naprawdę wyszedł spod twojej ręki, jak gadają?

Jego twarz wykrzywiła się w gniewie, a oczy ciskały iskry. Kiedy mówił, Wouter coraz bardziej pochylał się nad stołem, a twarz nabiegła mu krwią.

– Aha, teraz rozumiem, już wiem, o którym pamflecie mówisz! – odpowiedział. – Owszem, znam go, przeczytałem go wielkim zainteresowaniem. To przecież nie jest zabronione. Ale czemu twierdzisz, że zaprzecza istnieniu Boga? Może źle go przeczytałeś albo nie zrozumiałeś. Skąd ci przyszło na myśl, że mam z tym coś wspólnego, że to moje dzieło, że to ja napisałem?

Uspokoił się nagle i położył dłoń na dłoni Korneliusza.

– Przyjacielu, znasz przecież jak nikt inny moje zdanie na temat Kościoła, ale nasza przyjaźń nigdy na tym nie ucierpiała. Jeśli o mnie idzie, możesz myśleć, co chcesz, bo wolność ducha jest największym dobrem, którą posiada ludzkość. Zawsze uważałem, że co do tego całkowicie się zgadzamy.

Korneliusz wyrwał dłoń spod ręki Woutera.

– Czy mówimy o tym samym kraju? – wycedził znad stołu. – O tej samej Republice? Czy naprawdę jesteś tak nieroztropny? Nie widzisz, do czego to prowadzi? Już na nic nie możemy sobie pozwolić, przecież nie masz bielma na oczach! Niczego nam nie wolno. Nie można nam się swobodnie poruszać ani wyrażać swoich myśli, osaczają nas ze wszystkich stron. Nie możemy myśleć, pisać, być takimi, jakimi być chcemy. Kiedy się modlimy do naszego Pana, musimy schodzić im z oczu, by ich nie urazić. Chowamy się po ukrytych kościołach, w dziuplach wielkości szafy, na śmierdzących, zapleśniałych strychach, za zamkniętymi drzwiami. Traktują nas jak zwierzęta!

– Wiem o tym – odpowiedział Wouter pojedynczym tonem. – Nie da się temu zaprzeczyć. Rozumiem, z jakimi trudnościami musicie się borykać. Na pewno to musi niepokoić, ale z drugiej strony...

– Nie ma drugiej strony! Czego nie rozumiesz? Nie widzisz, że z dnia na dzień jest coraz gorzej? Niebawem nigdzie nie będzie dla nas miejsca. Nigdzie! A twój pamflet pogarsza sprawę. W ten sposób podajesz rękę wrogowi. Wiesz o tym bardzo dobrze, lepiej niż ktokolwiek!

– Ale co chcesz ode mnie usłyszeć? – zapytał rozemocjonowany Wouter. – Że ja to napisałem? Bardzo wysoko mnie oceniasz. Ja, prosty karczmarz, piszę pamflet, który wszystkich porusza, nieważne, czy się z nim zgadzają, czy nie. Bardzo wiele mi przypisujesz. To dla mnie zaszczyt, że tak myślisz, bo w treści pamfletu nie widzę nic złego, a nawet przychyliłam się do wielu spraw. Dziwi mnie, że dałeś się nakłonić do wizyty w moim domu. Nie mogli znaleźć nikogo innego? Kto cię do tego namówił? Co chcesz osiągnąć? A może sam się zgłosiłeś? Wstydz się!

Po tych słowach Wouter wstał i kopnięciem odsunął stół do tyłu. Uderzył pięścią w stół.

Ciężki pęk kluczy zawieszony przy pasie zadźwięczał, uderzając o krawędź.

– Jesteśmy rodziną, Korneliuszu, a zdawało mi się, że i przyjaciółmi. Widać się myliłem. A teraz proszę was, opuście moją gospodę.

Korneliusz i Jakub wstali. W nikłym świetle świec trzech mężczyzn przyglądało się sobie nawzajem.

9

Szli przez opuszczony cmentarz w kierunku grobu. Długie babie lato skończyło się w ciągu jednego dnia. Drzewa stały nagie. Liście utworzyły barwny mokry dywan. Grzyby wyrastały w najbardziej nieprawdopodobnych miejscach. Była szósta wieczorem, prawie ciemno. Mimo labiryntu ścieżek łatwo odnaleźli drogę, bo wysokie obcasy zaproszonych kobiet zapadały się w piaszczystej dróżce prowadzącej do grobu i wyznaczyły szlak małutkimi dziurkami.

– Dajesz sobie jakoś radę? – Damian popatrzył z boku na profil przyjaciela. Zastanawiał się, czy go to wszystko nie przerośnie.

Alek się odwrócił.

– Nie martw się, dam sobie radę.

– O co ci chodziło z tym, że sam wyśledzisz mordercę? Mówiłeś coś takiego w wystąpieniu. Naprawdę zamierzasz to zrobić? – zapytała Emma, biorąc go pod rękę.

– Tak. Jest wiele niejasności, policja nie wie wszystkiego, ale nie mogę o tym powiedzieć, jeszcze nie.

– Co ty opowiadasz! – Damian przystanął na środku ścieżki. – Poczekaj. Jak to nie możesz wszystkiego powiedzieć policji? Zakładam, że tobie też zależy na jak najszybszym złapaniu mordercy. – Chwycił Alka mocno za ramię. – Jeśli ukrywasz jakieś informacje niezbędne w dochodzeniu, to śledztwo w sprawie morderstwa Franka nie posunie się dalej, chyba to rozumiesz?

Kiedy Alek wyrwał się z uścisku, odezwała się Emma:

– On ma rację. Powiedz wszystko, co wiesz. Nie ma sensu tego przemilczać. Bo niby dlaczego miałbyś to robić?

Alek potarł ręką czoło.

– Byłbym wdzięczny za nieco więcej zaufania z waszej strony. Możecie teraz przestać? – odezwał się ponurym głosem. – Za mało wiecie, żeby móc ocenić sytuację. Nie chcę teraz o tym mówić. Pogadamy w domu, dobrze? Opowiem wam wszystko. Wtedy zrozumiecie. Zdecydujecie ze mną, co mam powiedzieć policji, a czego nie. Przecież o to wam chodzi, żeby decydować ze mną o każdym moim kroku, prawda? To wasza szansa, można powiedzieć.

– No to teraz ty mnie posłuchaj. Wszystko, co ja i Emma mówimy, wynika z troski o ciebie. Sam wiesz, do czego to może doprowadzić. Nie zgrywaj tu przed nami twardziela.

– Zastanawiam się, jak długo jeszcze mam tego słuchać. Jak długo będziesz mnie uważał za mięczaka? No, powiedz!

– Proszę was! – odezwała się Emma poirytowanym głosem. – Nie tutaj, kłócić się możecie potem, jeśli koniecznie musicie, zachowujecie się jak dzieci! Damian, nie włączaj mnie w swoje spory! Chodźcie, tędy.

Stali w milczeniu obok siebie. Wzdłuż krawędzi grobu leżały dziesiątki bukietów. Na nieregularnej powierzchni nagrobka zobaczyli krzywo poustawiane puste kieliszki po szampanie, jak w makabrycznym barze.

Damian poprawił kilka wstęg, potem Alek pochylił głowę i powiedział:

– Kochany Franku, przepraszam za wszystko, co ci zrobiłem. Za wszystkie kłopoty, które ci sprawiłem. Bardzo żałuję. – Podniósł głowę

i wywijając pięścią, dodał: – Dostanę cię, skurwysynu. Poczekaj, zobaczysz!

– Alek, przestań! Jak myślisz, co Frank by na to powiedział? Nigdy by nie chciał, żebyś znalazł się w niebezpieczeństwie. Niech policja się tym zajmie. Powiedz im wszystko, co wiesz, i niech wykonują swoją pracę.

Alek gwałtownie odwrócił głowę do przyjaciela.

– Damian, skończ, do cholery, z tymi ojcowskimi radami. Frank został zamordowany. Ja go znalazłem. Zadzwoił do mnie i prosił o pomoc. Przyjechałem za późno, po prostu za późno. Może by żył, gdybym przyjechał na czas, może mogliby go uratować, ale to wszystko za długo trwało. Gdybym z nim mieszkał, toby się to nigdy nie stało. Nigdy.

– Ja chcę tylko...

Emma podniosła rękę.

– Przestańcie obaj, już. Alek, naprawdę nie ma sensu tak myśleć, poza tym to nieprawda. Stało się i nic nie można zrobić, zupełnie nic. Frank nie byłby zachwycony twoim zachowaniem ani tym, co mówisz. Zrobiłeś, co mogłeś.

– Nie, no właśnie o to chodzi. Nie zrobiłem. Mogłem zrobić dużo więcej. – W głosie Alka brzmiała rozpacz, oczy mu zwilgotniały. – Gdybyście go widzieli... To było straszne. Jak tam leżał. Nie mogę o tym zapomnieć. Jeszcze nie skończyłem. Poza tym... on właśnie mnie prosił... to znaczy o pomoc.

Damian otworzył usta ze zdumienia.

– Prosił? On coś do ciebie mówił?

Alek pokiwał głową.

– Alek?

– Zaraz, jak będziemy w domu. Wtedy wszystko opowiem.

Widział, jak idą w kierunku grobu, i poszedł za nimi. Gruba warstwa liści tłumiła odgłos kroków. Kiedy przystanęli, ukrył się za nagrobkami. Słyszał każde słowo.

Teraz wycofał się bezgłośnie. Szybkim krokiem wszedł do auli. Wiedział dosyć, teraz musiał działać szybko. Alek Schoeller coś wiedział, ale co? Miał nadzieję, że nie jest za późno, że to, czego potrzebował, będzie tam jeszcze leżało.

10

Dawn podciągnęła się na siedzeniu pasażera.

– Alek nie ma nic wspólnego z morderstwem. Naprawdę. Przecież to widać. Ten człowiek ci-erpi, łatwo zauważyć. Nie, intuicja mówi mi, że...

– Ho, ho, ho, to nieprofesjonalne, nie przywykłem do tego u ciebie. – Wainwright spojrział na nią. – Nie, nie musisz tak na mnie patrzeć, na twarzy masz wypisane „jakoś to będzie”. Przejrzałem was. Możesz mi wierzyć lub nie, ale mam bezbłędną intuicję. To nie jest takie skomplikowane. Przejrzałem was.

– Nas? Jak to nas?

– Przepis jest następujący. Wybierasz mężczyznę. Słusznego wzrostu i szerokiego w barach. Dobrze umięśnionego i proporcjonalnie zbudowanego, nie za dużo, nie za mało, ale

w sam raz. Następnie dodajesz mu duże, ciemnobrązowe oczy i czuprynę bujnych brązowych włosów. Nie mogą być przerzedzone ani układać się tylko wokół głowy – wyjaśnił, przeciągając dłoń po czaszce. – Muszą pokrywać całą głowę. Piękne, gęste włosy. Dodajesz do tego łyzy w oczach i bingo! Wszystkie leżycie u jego stóp. A już na pewno, jeśli jest tak bogaty jak Schoeller.

– Tak, bo chociaż nauka udowodniła, że my, kobiety, mamy więcej empatii niż mężczyźni, nie potrafimy ich oceniać inaczej niż po wyglądzie – odparowała Dawn. – Hm. Nie posądzałam pana o tak uproszczony tok myślenia.

– Uproszczony? Powiem ci coś. Nawet się nie zorientowałaś, że przez czyjś wygląd zostałam wyprowadzona w pole, to jest dopiero uproszczenie. Nawet nie wiesz, ilu rasowych aktorów, którzy nigdy nie postawili stopy na żadnej scenie, chodzi po tym świecie. Uproszczony. No,

więcej się po tobie spodziewałem. Ile lat doświadczenia już masz? No, ile?

Wzruszyła obojętnie ramionami i wyjrzała przez okno. Przed oczami migąły jej holenderskie poldery. W oddali przez płaski krajobraz jechał żółty pociąg z szafirowymi paskami. Zmrużyła oczy. Żółty i niebieski pomieszały się i zniknęły w zieleni łąk.

Wainwright potarł nos. Zielona choinka, którą kierowca taksówki powiesił na lusterku, śmierdziała i irytowała jego delikatne błony śluzowe. Jeśli ktoś korzystał na śmierci Franka Schoellera, to właśnie Alek. Stryj zostawił mu fortunę.

Odwrócił się do niej.

– Masz te taśmy ze sobą?

– Tak, sir – odpowiedziała, patrząc nadal w okno i podnosząc plastikową torebkę.

– Będiesz się teraz dąsała? Chyba rozumiesz, co mam na myśli.

– Naturalnie.

– Dobrze. Zaraz po powrocie zaczniesz przeglądać te taśmy. Chcę, żeby przy każdej twarzy z taśmy stało nazwisko, i każde z tych nazwisk trzeba przepuścić przez nasz komputer.

– Naprawdę myśli pan, że morderca się tam kręcił? Ze wszystkich danych wynika, że mamy do czynienia z profesjonalistą. Każdy odcisk palca został zidentyfikowany. Po sposobie torturowania Schoellera widać – co zresztą wydaje mi się oczywiste – że...

– Zrób to, o co cię proszę. I masz uważnie obserwować gości. Zwracaj uwagę na ich reakcje, patrz na to, co robią. Najmniejsze detale mogą mieć znaczenie.

Dawn znowu wyjrzała przez okno. Wainwright miał doskonałe wyniki. Przez cztery miesiące pracy z nim nauczyła się więcej niż przez wszystkie poprzednie lata. Chłoneła wiedzę jak gąbka. Ale przez ostatnie tygodnie, właściwie od aresztowania seryjnego mordercy, miała

poczucie, że jego myśli krążą gdzie indziej. Był niespokojny, szybko się irytował, w każdym razie szybciej niż przedtem.

Kiedy w zeszłym tygodniu weszła do jego pokoju bez pukania, żeby zabrać teczkę z biurka, stał przy tablicy z pinezkami. Nie słyszał, że wchodzi, i stał, przeciągając palcem po zdjęciu pierwszej z zamordowanych dziewczynek.

– Może już czas zdjąć to wszystko ze ściany?
– spytała ostrożnie.

Nie odwrócił się, powiedział „nie trzeba”. Zrezygnowanym i zniechęconym tonem dodał: „Ich już nie ma”.

11

W ciepłym samochodzie z zaciemnionymi szybami było cicho. Emma patrzyła z tylnego siedzenia na profil Damiana. Odwrócił się.

– Jak tam?

– Dobrze.

Wyciągnął rękę do tyłu, ujęła jego dłoń.

– Nawet nie wiecie, jaki Frank był szczęśliwy, że się pobieracie – powiedział Alek cicho, wyglądając przez okno. Potem uśmiechnął się do Emmy. – Że w końcu się pobieracie.

Emma poczuła, że się czerwieni. Spuściła oczy i cofnęła dłoń. Ukłucie w żołądku. Nigdy nie przypuszczała, że będzie zdolna kochać dwóch mężczyzn. Tak intensywnie, każdego na swój, odmienny sposób. Od momentu, kiedy zobaczyła Damiana na placu szkolnym, wiedziała, że to ten.

Chłopak o okazałej, niemal arystokratycznej posturze wyglądał jak wyjęty prosto z jakiejś dziewiętnastowiecznej angielskiej powieści. Przedstawiła mu się. Odgarnął jasne włosy i wyciągnął rękę. Jasnoszare oczy patrzyły na nią z zaciekawieniem i sympatią. Miał spokojną, zamyśloną twarz, emanującą naturalną władczością. Kiedy spojrzała mu w oczy, całe zdenerwowanie związane z pierwszym dniem w szkole stopniało jak śnieg w słońcu. Poczuła, że razem mogą stawić czoło całemu światu. Uścisnęła jego dłoń i obróciła się do Alka. Wstrzymała oddech. Oczy miał tak ciemne, że wydawały się czarne. Jego wzrok dosięgnął jej duszy, odgadł wszystkie słabości i frustracje. Jednym spojrzeniem Alek przejrzał ją na wylot i wiedział wszystko. Kiedy się z nim witała, drżała jej dłoń. Emma czuła, że krew zaczyna jej napływać do twarzy.

No dobrze, ale wtedy miała piętnaście lat. Romantyczna nastolatka z głową pełną angielskich powieści, które pożerała, i bohaterów, w których

natychmiast się zakochiwała. Heathcliff, Mister Darcy, Mister Rochester. Dlaczego przez tyle lat nie udało jej się wybić go sobie z głowy? Za każdym razem, kiedy wiedziała, że go spotka, stawała się nerwowa i czuła skurcz w żołądku. Mijał dopiero, kiedy Alek wyjeżdżał. Przeszkadzało jej to. Stało między nią i Damianem. Nie mogła sobie wyobrazić, że miałyby trwać całe życie. Im mniej go widzi, tym lepiej. Za każdym razem, kiedy go widzi, ma szczerą nadzieję, że to minie.

Samochód lawirował między słupkami. Kierowca czasem zmniejszał prędkość, żeby przepuścić pieszych i rowerzystów. Popatrzyła na drugą stronę kanału Herengracht, przed jej oczami przesunęło się trzysta lat historii architektury fasadowej. Auto zwolniło jeszcze bardziej i zatrzymało się przed domem otynkowanym na biało. Kierowca przycisnął pilot. Drzwi garażu otwierały się powoli.

Kiedy chwilę potem weszli do salonu połączonego z kuchnią, Alek usiadł na jednym z dwóch krzeseł przed kominkiem i zdjął buty. Na stole stały półmiski z przekąskami i srebrne wiaderko z lodem. Wystawała z niego szyjka butelki.

– No to opowiadaj, co się dokładnie zdarzyło tego wieczoru – odezwał się Damian, podchodząc do stołu i nalewając wino do trzech kieliszków.

Alek patrzył na podłogę. Emma wstała i siadła na oparciu jego fotela.

– Przecież wiesz, że jeśli będziemy mogli, to ci pomożemy. – Poglaskała go po plecach, czuła, jak mięśnie poruszają się pod jej dłonią. Cofnęła rękę. – Ale tylko wtedy, kiedy nam wszystko opowiesz.

– Tak, macie rację. Najpierw chciałem wszystko przemyśleć. – Odchrząknął. – Obawiam się, że to, co wiem, może wam zagrozić. Chociaż z drugiej strony... może mi się tak tylko wydaje.

Wiem, że coś się nie zgadza, że jest w tym coś dziwnego. Tylko, hm, nie rozumiem co. Sam tego nie rozwiążę.

Alek oparł łokcie o kolana i powiedział:

– To, co powiem, jest przeznaczone tylko dla waszych uszu. Umówmy się, że będziecie milczeć i nic nikomu nie powiecie. Proszę o to nie tylko dlatego, że Frank mnie do tego zobowiązał, ale również dlatego, że ktoś na niego polował, on miał coś, co ten ktoś chciał mieć. Jest duża szansa, że ta osoba poluje teraz na mnie.

– Dlaczego tak myślisz?

– Bo Frank coś mi dał.

12

Kiedy Alek opowiedział, jak znalazł Franka i jak bardzo go zmalretowano, zapatrzili się przed siebie. Milczeli.

– Musiał bardzo cierpieć – przerwała ciszę Emma.

– Jak on to wytrzymał...?

Alek spojrzał na przyjaciela.

– Tego nie wiemy, nie wiemy, czy wytrzymał. Może nie wytrzymał i coś powiedział. Pytanie tylko co.

Wstał i dorzucił drewna do ognia. Pogrzebaczem gmerał w kominku.

– Kilka tygodni wcześniej poszliśmy do restauracji. Zauważyłem, że czymś się martwi, nawet zapytałem, czy coś go gnębi, powiedział,

że nie. – Alek znów popatrzył na Damiana. –
A może tobie powiedział?

Damian zaprzeczył ruchem głowy.

– Zastanawiam się, co za śmierdzący tchórz
mógł się tak znęcać nad starym człowiekiem.
Dlaczego do nas od razu nie zadzwoniłeś?
Wtedy...

– Nie, chciałem najpierw sam pomyśleć,
ułożyć sobie wszystko w głowie. – Usiadł. –
Policja i karetka przyjechały w ciągu kilku minut.
Jeszcze próbowali go reanimować, ale było za
późno – westchnął głęboko. – Potem zaczął się
cały cyrk. Zabrali go kilka godzin później.
W pewnym momencie przyszedł Wainwright ze
Scotland Yardu i zaczął mnie o wszystko wypy-
tywać. Czy coś widziałem, słyszałem, czy
podejrzewałem kogoś, dlaczego. Myślałem, że
zwariuję, bo pytał i pytał. Około ósmej pojawił
się Tibbens, jego też wzięli w krzyżowy ogień
pytań.

– Co im powiedziałaś?

– Wszystko, co wiedziałem, więc niedużo.

– Kiedy wróciliśmy z cmentarza, mówiłeś, że Frank ci coś dał.

Alek wstał. Wziął torbę stojącą obok krzesła i postawił ją na stole.

– Trzymał to kurczowo. Spójrz. – Rozsunął zamek błyskawiczny. – Frank kazał mi to zabrać i nie pokazywać policji. Schowałem w samochodzie. Nie wiem, co chciał przez to powiedzieć. Nic z tego nie rozumiem.

Damian rozwinął gazetowy papier.

Introligator puścił wodze fantazji. Na każdym rogu oprawy z czerwonego safianu widniały dwa połączone liście. Ich łodygi stykały się w połowie długości. Wokół okładki biegła nieregularna, zakrzywiona linia przerywana złożonymi arabeskami. Pośrodku złotymi stemplami wytłoczono wieniec z kwiatów. Zawijasy, kwiaty

i girlandy tworzyły doprawdy piękną kompozycję.

– O mój Boże! – zawołała Emma, kiedy zobaczyła krew na okładce, i zasłoniła usta dłonią.

– Trzymał tę książkę tak mocno, że z trudem mu ją wyrwałem – powiedział Alek zmęczonym głosem.

W drodze do pracowni Damian czuł, jak wali mu serce. Wiedział, że to nie tylko dlatego, że przestraszył się widoku krwi Franka na oprawie. Już sama książka wzbudziła w nim emocje. Wiedział, że jest wyjątkowa. Frank miał bezbłędny smak i nauczył go miłości do antyków. Podczas licznych wizyt w Londynie wychodził w środku nocy razem z nim i z Alkiem na łowy na giełdę staroci. Każdy z nich brał do ręki latarkę i mogli zaczynać. Frank od razu zauważył, że Damian ma do tego nosa. Potrafił wyławiać ładne przedmioty z góry

śmieci. W targowaniu się o ceny też był dobry. Alek chodził za nimi zawsze trochę roztargniony i nieobecny, ze słuchawkami od walkmana w uszach.

Gdyby nie poznał Franka, nigdy nie zacząłby się zajmować handlem antykami i nie byłby teraz właścicielem dwóch dobrze prosperujących salonów. Książki nie były jego specjalnością, ale coś niecoś o nich wiedział. W każdym razie dosyć, żeby wiedzieć, że ten wolumin ma kilkaset lat.

Podszedł do biurka i otworzył szufladę. Wyjął parę białych bawełnianych rękawiczek i klinowatą podpórkę. Alek i Emma pochylali się nad tomem.

– Kwas z naszych palców może ją uszkodzić – powiedział, nakładając rękawiczki. Ostrożnie wziął książkę w ręce.

– Nie uważasz, że i tak jest już uszkodzona? – spytał Alek, patrząc na krew na okładce.

Damian nie zareagował. Trzymał książkę luźno, patrząc, pod jakim kątem najlepiej ją otworzyć. Otworzyła się sama. Kiedy zobaczył ilustrację, natychmiast pojął, z czym ma do czynienia. Ostrożnie położył starodruk na podpórce, rozsuwając ją do odpowiedniego rozmiaru. Znowu go zamknął. Trzymając prawy górny róg między palcami, podniósł okładkę. Coś zatrzęszczało, pierwsza strona się przykleiła. Ostrożnie chwycił róg i zaczął ją delikatnie odklejać. Alek, klnąc, pochylił się do przodu i chwycił książkę z podpórki tak gwałtownie, że pierwsza strona prawie się rozerwała.

– Jezus Maria, Alek, co ty robisz? – krzyknął Damian. – Opanuj się wreszcie!

– Opanuj się! A co mnie ta książka teraz obchodzi? Myślisz, że w tym momencie interesuje mnie jej wartość? Tutaj! – powiedział, pukając palcem w stronę. – Tutaj, masz. Tę

stronę pokazywał Frank, według mnie o to chodzi.

Patrzyli na stronę poplamioną krwią.

Alkmaar, 21 lipca 1636

Na znak Korneliusza Jakub wysunął się do przodu, chwycił Woutera za brodę i pociągnął nad stołem do siebie, tak że ich nosy prawie się zetknęły.

– Słyszałeś, Winckel. Wiemy, czegoś się dopuścił. Tacy jak ty bluźniercy zasługują na los, jaki cię wkrótce spotka.

Wouter wpił ręce w rogi stołu i próbował się wyrwać. Broda paliła go nieznośnie. Jęknął. Skierował wzrok na Korneliusza, który stał obok stołu. Z jego oczu biło przerażenie, ale nie ruszał na pomoc.

– Korneliuszu... – Wouter słyszał własny głos, z otwartych ust wydobywały się głuche, prawie niezrozumiałe dźwięki. – Aaaach... Pomóż mi...

Korneliusz zacisnął wargi.

– Wybacz mi, proszę, Wouterze, lecz nie rozumiem, co mówisz.

Wouter spojrzał na Jakuba. Twarz chłopaka, który oburącz trzymał go za brodę, wykrzywiła się od wysiłku. Nagle jedną ręką chwycił go za ramię i wykręcił je do siebie. Karczmarz upadł płasko na stół. Kiedy chciał chwycić Jakuba wolną ręką, ten puścił brodę i złapał go za drugą rękę, złączył jego nadgarstki i związał je sznurem podanym przez Korneliusza.

Wouter próbował się zaprzeć o śliską podłogę. Kiedy jego stopy się od niej oderwały, Jakub pociągnął go dalej na stół. Podszedł z drugiej strony i rozsunął nogi Woutera. Kostkę przywiązał do nogi stołu, wokół której owinął sznur. Potem w ten sam sposób unieruchomił drugą.

Wouter próbował się opierać, czuł jednak, jak sznury ostro wpijają mu się w nadgarstki i kostki. Nagle czyjeś ręce ujęły jego głowę i przekręciły na bok z taką siłą, że myślał, że to już koniec, że skręcą mu kark. Jakub mocno przyciskał ją do stołu. Kątem oka Wouter zobaczył jakiś ruch. Nie minęła chwila, a poczuł w uchu krople gorącego wosku. Zacisnął oczy, otworzył usta, żeby krzyczeć. Zanim zdołał wydobyć jakiś dźwięk, wciśnięto mu w usta szmatę, tak głęboko, że sięgnęła gardła. Próbował rozluźnić mięśnie, spokojnie oddychać nosem, ale wpadł w panikę. Płuca mu pękały.

Szaleńczy chichot rozlegał się blisko, ale brzmiał, jakby dobiegał z daleka. Wouter czuł wargi Jakuba przyciśnięte do ucha. „Kto nie chce słuchać, musi poczuć” – syczał chłopak.

Znowu obrócono mu głowę mocnym szarpnięciem. Wosk wlany do drugiego ucha uciszył wszystkie dźwięki. W czaszce szumiała mu krew.

Czuł bicie serca. Widział, że Korneliusz przygląda mu się prawie ze zdziwieniem. Jego własny jęk dochodził do niego przytłumiony. Wouter próbował powiedzieć wszystko oczami. Korneliusz powoli pokręcił głową i spojrzał na Jakuba. Karczmarz widział, jak jego usta się poruszają. Szarpnął sznurami, które jeszcze mocniej zacisnęły się wokół nadgarstków i kostek.

Jakub chwycił go za włosy, owinął je wokół dłoni i przycisnął jego głowę do blatu stołu. Wzniósł lichtarz, zamachnął się mocno i opuścił go na jego skroń.

13

Damian czytał powoli tekst wydrukowany podobnymi literami na pierwszej stronie:

KOLEKCJA TULIPANÓW WSZELAKICH
PODŁUG NATURY SPORTRETOWANYCH,
NAZWY I CIĘŻAR
PODŁUG ROZPRZEDAŻY PUBLICZNEY
W ALKMAAR, ROKU PAŃSKIEGO 1637
PODANE.

Podniósł wzrok. Oczy mu błyszczwały.

– Jak Frank ją zdobył?

– Nie mam pojęcia, nigdy wcześniej jej nie widziałem.

– Niewiarygodne, co za piękna książka, wyjątkowa, okaz muzealny. Znanе mi egzemplarze leżą właśnie w muzeach albo przechowuje

się je w archiwach w specjalnych warunkach. Jest warta fortunę. – Damian pogładził stronę. – Drukowano je w siedemnastym wieku, w czasach handlu tulipanami. Były przeznaczone dla kupców, miały pomóc ożywić handel cebulkami.

– Rodzaj katalogu? – domyśliła się Emma.

– Tak. W tym okresie na aukcjach oferowano nie kwiaty, ale cebulki. – Ostrożnie odwrócił kartkę. – Tutaj, popatrz, jak to jest pięknie wykonane.

Barwna strona przyciągała wzrok. Tulipan był biały, na płatkach miał czerwone smugi przypominające płomienie, łodyga wyginała się lekko. Jeden z trzech zwiniętych płatków był postrzępiony u góry, jakby pogryzł go jakiś owad. Pozostałe dwa miały ostre końce, jeden skierowany prosto w górę, drugi elegancko wywinięty na zewnątrz. Ilustrator narysował kwiat tak dokładnie i tak pewną ręką, że można było niemal policzyć jego włókna.

– Rysunki wykonywali prawdziwi artyści, niektórzy z nich są dzisiaj bardzo znani – ciągnął Damian. – Handlarze chcieli zwiększyć sprzedaż cebulek i zlecali rysownikom wykonanie rycin swoich kolekcji. Kosztowało to dużo czasu i pieniędzy, ale wysiłek się opłacał, bo w ten sposób reklamowali towar. Na aukcjach handlarze mogli pokazać potencjalnym kupcom, jaka odmiana tulipana kryła się w oferowanych cebulkach. Już same ryciny są bezcenne.

– Czyżby chodziło o tę książkę?

– Możliwe.

Tulipan na otwartej stronie stał w kopczyku ziemi. Wystawała z niego tabliczka z nazwą.

– Popatrz. – Damian wskazał na nią. – Tutaj masz nazwę tulipana. Admiraal van der Eijck. Kwota wypisana na tabliczce to suma uzyskana ze sprzedaży. Patrz, tutaj jest inny charakter pisma. Jeśli cebulka została sprzedana, kupiec notował później jej ostatnią cenę. Wiedział

dokładnie, ile zapłacono za cebulkę poprzednio i jakiej ceny może żądać następnym razem.

– Tu się chyba coś nie zgadza? – Alek ze zdumieniem patrzył na kwoty.

– Zgadza się – odpowiedział Damian. – To jeszcze nic, popatrz na to.

Kwiat następnego tulipana był bardziej okrągły i pełniejszy niż poprzedni. Jego płatki też miały ogniste smugi. Kolor zaczynał się u podstawy ciemnofioletową plamą i rozchodził do góry jak wachlarz, jakby na białych płatkach odcisnięto piórka umaczane w farbie. Na górnej części płatków widać było tylko cienkie fioletowe smużki.

– Popatrz tu. To jest viceroy, pod spodem masz dwie kwoty. Pierwszy raz sprzedano go za trzy tysiące florenów, a drugi raz za cztery tysiące dwieście.

– Cztery tysiące dwieście guldenów^[3]! – zawołała Emma. – Mój Boże, takie pieniądze, ile to jest teraz?

– Nie da się tego dokładnie wyliczyć. Ale można nakreślić ogólny obraz sytuacji. Roczny dochód rzemieślnika wynosił około trzystu florenów. Teraz taki człowiek zarabia mniej więcej dwadzieścia jeden tysięcy euro netto. Trzeba te trzysta florenów pomnożyć przez siedemdziesiąt, żeby uzyskać taki sam dochód. W przeliczeniu cebulka kosztująca cztery tysiące dwieście florenów byłaby dzisiaj warta... chwileczkę... dwieście dziewięćdziesiąt cztery tysiące euro.

– Dwieście dziewięćdziesiąt cztery tysiące euro za cebulkę?! To szaleństwo! – Alek założył ręce i ze zmarszczonym czołem patrzył na książkę. – To wszystko jest bardzo interesujące, ale co Frank chciał przez to powiedzieć? Dlaczego musiałem ją zabrać? I dlaczego policja

nie może o niej wiedzieć? Nic z tego nie rozumiem.

Damian popatrzył na niego.

– Co Frank dokładnie zrobił, wskazywał na coś?

– Dłoń miał pod okładką, na stronie tytułowej.

Damian zamknął książkę i znowu ją delikatnie otworzył. Strona była zamazana rdzawymi smugami i plamami. Pod datą znajdował się odcisk zakrwawionego palca, tak wyraźny, że nawet było widać linie papilarne.

– Tysiąc sześćset trzydziesty siódmy rok – przeczytał Damian.

– Jedyne, co mi przychodzi do głowy, to że Frank chciał dać do zrozumienia, że jego śmierć ma związek z handlem tulipanami – powiedziała Emma. – A może z siedemnastym wiekiem? Alek, Frank nigdy z tobą o tym nie rozmawiał?

– Nigdy. Jak tylko zjawi się Tibbens, zapytam go, czy coś wie. Może z nim Frank kiedyś rozmawiał?

– Miejmy nadzieję. Dostałeś ją nie bez powodu. – Damian ostrożnie przewracał kartki książki. – Coś w niej musi być. Jaki związek miał Frank z siedemnastym wiekiem?

Alek stanął przed kominkiem i włożył ręce do kieszeni. Z onieśmieleniem popatrzył na Damiana i powiedział:

– Przepraszam, że tak na ciebie naskoczyłem. Wiem, że chcesz mi pomóc, że masz dobre chęci. Cenię to, nie miej wątpliwości. Nigdy w życiu nie czułem się tak bezsilny jak teraz, ale tym razem przebrnę przez wszystko i zachowam zdrowy rozsądek. Chcę, żebyś mi uwierzył, żebyś mi zaufał.

Damian podszedł do niego i go uściskał. Potem pokleпали się trochę niezręcznie po plecach.

Kiedy Emma zobaczyła ich stojących razem, uśmiechniętych jak nastolatki, przeklinała się w duchu i nie po raz pierwszy pomyślała, że może powinna zniknąć z życia ich obu. Wiedziała, że nieporozumienia między Alkiem i Damianem miały związek z nią. Przez wszystkie lata znajomości już miewali konflikty, ale ich przyjaźń nigdy nie była jeszcze tak krucha jak teraz.

Chrząknęła znacząco.

– Ja wiem, jaki jest związek między Frankiem a siedemnastym wiekiem.

Spojrzeli na nią zdziwieni.

– Chociaż oczywiście nie wiem, czy to nam coś da.

– Ale co masz na myśli? – zapytał Damian.

– Dick Beerens.

– Cholera! – Alek plasnął się w czoło. – Naturalnie, Dick, głupio, że o tym nie pomyślałem. Widziałem go nawet na pogrzebie. On, oczywiście, wie wszystko o tym okresie...

– ...i handlu tulipanami – dodał Damian.

Emma kiwnęła głową.

– Też tak myślę.

14

Tara włączyła światło i kopnięciem zamknęła za sobą drzwi. Energicznym ruchem zgarnęła jasne włosy do tyłu i związała je gumką. Spojrzała na swoje odbicie w lustrze apteczki. Ściągnęła koński ogon tak mocno, że opuchnięte oczy wydawały się skośne. Poluzowała gumkę. Końcami palców potarła skronie i zmasała ślady maskary spod zaczerwienionych oczu.

Odkręciła kran i spryskała twarz zimną wodą. Kropelki spływały po policzkach. Obiema rękami oparła się o umywalkę, która zatrzeszczała pod jej ciężarem. Przeklinając, chwyciła ją za boki i zaczęła szarpać, aż między wykafelkowaną ścianą a umywalką powstała szpara. W końcu, dysząc, puściła.

– Z tym się nie liczyłeś, co, Frank? – powiedziała, przesuwając dłoń pod nosem. – Miałeś wszystko pod kontrolą? I co teraz? Co mam robić? Pomyślałeś o tym? Co mam robić, kiedy stało się coś takiego?

Zerwała ręcznik z kaloryfera. Mocno wytarła nim twarz. Potem wzięła kosmetyczkę i zsunęła do środka kosmetyki z półki. Zanim wyszła, spojrzała jeszcze raz w lustro. Zimne niebieskie oczy pod brwiami ciemnoblon, doskonale prosty nos, wystające kości policzkowe i wąskie, blade wargi. Wskazała palcem swoje odbicie i przyrzekła sobie: znajdziesz jakieś rozwiązanie.

Wyszła z łazienki i podeszła do łóżka, kosmetyczkę wrzuciła do torby. Leżąca obok gazeta była otwarta na trzeciej stronie. Tara kolejny raz czytała tytuł wypisany grubymi literami nad artykułem, który opatrzone zdjęciem Franka w smokingu: **HOLENDER ZAMORDOWANY W LONDYNIE**. Prasa nie zostawiła czytelnikom

miejsca dla wyobraźni, nawet tortury były dokładnie opisane. Z artykułu wynikało, że policja nie ma pojęcia, kto stoi za zabójstwem. Motyw też nie jest znany, z domu nic nie zginęło. Oczywiście gazeta pisała też o Alku Schoellerze, jego zdjęcie również zamieszczono. Spekulowano na temat rzekomego spadku, jaki miał otrzymać, i pisano o jego karierze artystycznej.

Tara upadła na kolana przed łóżkiem. Położyła ręce na gazecie i patrząc na zdjęcie Franka, mamrotała: „Co ty powiedziałaś, Frank? Co im powiedziałaś? Powiedziałaś im coś o mnie? No, jak to było?”.

Podczas spotkania dwa tygodnie temu omawiali postęp w pracach. Doszli do wniosku, że budżet powinien wystarczyć przynajmniej na dwa lata badań. Wszystko było załatwione. Mogła zaczynać. Pieniądze w końcu przyszły, a teraz to. Przeklinając, uderzyła dłonią w zdjęcie Franka. Zabronią jej prowadzenia prac? Odkąd

jej to zasugerowano, była tak przejęta, że nie mogła myśleć o niczym innym.

Wstała, podeszła do szafy i wrzuciła ubrania do torby podróżnej. Zanim ją zamknęła, zapakowała jeszcze laptop. Na szczęście wszystko w nim było. Po tym, co stało się z Frankiem, nie odważyła się iść do laboratorium. Miała wrażenie, że wszyscy przyglądają się jej na ulicy. Że jest bez przerwy obserwowana, jakby wiedzianno, że ma związek z tą sprawą.

Nie, niezależnie od tego, co się stanie, będzie prowadziła badania. Nie może przepuścić szansy, żeby wszystkim, całemu światu pokazać, co potrafi, pokazać, że jest niezastąpiona w swoim fachu. Niemożliwe, żeby cała energia, którą włożyła w ten projekt, poszła na marne. Będzie prowadziła badania bez względu na koszty.

Wyprostowała plecy, chwyciła torbę i wyszła z pokoju. Zatrzasnęła drzwi i bojaźliwie

rozejrzała się dookoła. Szybko przeszła przez ulicę i wsiadła do samochodu.

15

Alek i Damian weszli na wydział. Wybudowano go ze szkła, stali i betonu w latach osiemdziesiątych. Zameldowali się w recepcji i mogli przejść dalej. Kiedy doszli na drugie piętro, do gabinetu Dicka Beerensa, Alek zapukał do drzwi i pchnął je.

Zdumieni patrzyli na Dicka stojącego na krześle biurowym. Próbował otworzyć kijem wąskie okienko pod sufitem. Z jego ust zwisał papieros.

– Dick?

Profesor, specjalista w dziedzinie historii Holandii, obrócił się do nich. Krzesło zaczęło się chwiać, a jego krótkie nogi drżały. Potem przechylił się niebezpiecznie do tyłu, wymachując wolną ręką w powietrzu.

Kiedy Alek chciał skoczyć mu na pomoc, niewysoki i gruby Dick wykonał kilka nieprawdopodobnie zgrabnych ruchów i krzesło wróciło do równowagi.

– Aaa, to wy. Alku, Damianie, witam was, panowie, witam. Chwileczkę, już schodzę.

Papieros poruszał się w ustach przy wymawianiu słów, na podłogę spadł stożek popiołu. Dick oparł kijek o ścianę i zaczął ostrożnie schodzić, dopóki nie stanął na siedzeniu tyłem do nich. Chwycił się oparcia i zszedł z krzesła. Końcem buta wtarł rozsypany popiół w dywan i podszedł do swoich gości. Jego zaczerwieniona od wysiłku twarz była smutna.

– Straszne to wszystko, nieprawdaż? Co za sytuacja, panowie, co za sytuacja.

W milczeniu podszedł do Alka. Wziął go w ramiona i uścisnął mocno.

– To musi być dla ciebie straszne, chłopcze. Wszystkim nam będzie go bardzo brakowało.

Alek zobaczył, że oczy Dicka są wilgotne, i przygryzł wargę.

Profesor odsunął go trochę od siebie i spojrzał na niego.

– Jestem szczęśliwy, że mogę pomóc, mam nadzieję, że mi się uda. – Potem wyciągnął rękę do Damiana. – U ciebie wszystko dobrze?

– Tak, dziękuję.

– A u Emmy?

– Też wszystko w porządku.

– Dobrze, dobrze.

– Dick, cieszę się, że mogłeś się z nami spotkać tak szybko.

– Oczywiście, Alku, nie ma sprawy. Hm, mam nadzieję, że cię tym pytaniem nie urażę, ale powiedz mi, czy dochodzenie przyniosło jakieś rezultaty?

Alek pokręcił głową.

– Z tego, co wiem, to nie. Nikogo jeszcze nie zatrzymali. Według mnie do tej pory nie wiedzą, kto za tym stoi.

– Nie mogłem uwierzyć, kiedy się dowiedziałem – powiedział poruszony Dick. – Jeszcze to do mnie nie dochodzi. Codziennie na niego patrzę. Tutaj, zobacz.

Podszedł do biurka i wręczył Alkowi zdjęcie w ramce.

– Widzisz go tu?

Alek skinął głową. Damian patrzył przez ramię razem z nim. Grupa młodych mężczyzn siedziała przy zastawionym stole. Światło świec z wielkich lichtarzy odbijało się w srebrze i białych talerzach. Fotograf musiał stanąć u szczytu stołu, żeby kadr objął wszystkich. Studenci pochylali się do przodu i trzymali w dłoniach kieliszki. Frank był najszczuplejszy z nich. Siedział całkiem z przodu i uśmiechał się wesoło do obiektywu.

Zadowolony Dick Beerens w młodszej wersji zajmował miejsce naprzeciwko.

– Klub z naszego roku – mruknął teraz, patrząc na zdjęcie. Odstawił je z powrotem i zakasłał. – Alku, kiedy zadzwoniłeś wczoraj, mówiłeś, że coś znalazłeś przy Franku i potrzebujesz mojej pomocy. Powiesz mi, o co chodzi?

– Tak... przypuszczamy, że jego śmierć miała jakiś związek z tulipanami. Wiem, że to dziwnie brzmi, ale...

– Frank? Poczekaj chwilę, Alku, Frank i tulipany? – Brwi Dicka uniosły się ze zdumienia. – Dlaczego tak myślisz?

– Przepraszam, ale chcemy to na razie zachować dla siebie. Niewykluczone, że wskazuje to na związek jego śmierci z handlem tulipanami w siedemnastym wieku lub z czymś pokrewnym.

– A więc sprawa jest, naturalnie, związana z tym, co przy nim znaleźliście? – Dick próbował coś z niego wyciągnąć. Kiedy Alek mu nie

odpowiedział, pokiwał głową. – Słuchajcie, chłopcy, wydaje mi się, że to bardzo mało prawdopodobne, żeby istniał jakiś związek między śmiercią Franka i handlem tulipanami. Gdybyśmy żyli w siedemnastym wieku, to może tak, ale teraz? Poza tym gdyby Frank interesował się tą kwestią, to na pewno by mi o niej wspominał. Bo jeśli chodzi o ten okres historii, to wcześniej czy później wszyscy trafiają do mnie, rozumiecie, o co mi chodzi?

– Dlatego pomyśleliśmy o tobie. Przyszło nam do głowy, że może cię o coś prosił albo że rozmawialiście na ten temat. – W głosie Alka brzmiała nadzieja.

– Tak, rozmawialiśmy o tym czasem w związku z moją pracą, ale nigdy nie prosił mnie o żadne szczególne informacje. A o czym miał ze mną rozmawiać?

– Nie możemy nic więcej powiedzieć, ale mamy wrażenie, że jest jakiś związek. Nie

wiemy jaki i nie wiemy, o co chodzi. Mieliśmy nadzieję, że ty nam pomożesz.

– Co chcecie dokładnie wiedzieć o tym okresie? Można opowiedzieć mnóstwo historii. Jeśli mi powiecie, o jaki związek chodzi, to mogę bardziej szczegółowo odpowiedzieć na pytanie.

– Masz rację, ale musimy to zachować dla siebie.

– Dobrze – westchnął. – Uszanuję waszą decyzję i nie będę więcej pytał. Jedną rzecz powiem od serca. Mówię to w imieniu Franka, jako jego przyjaciel. Zostawcie to policji. Znałem Franka dobrze. Wiem z całą pewnością, że nie chciałby, żebyście się tym zajmowali. – Podkreślał swoje słowa kiwaniem głową. – Wiecie na pewno, że nie chcecie mi nic powiedzieć? Znacznie ułatwilibyście mi sprawę.

Alek pokręcił głową. Dick poklepał go po ramieniu.

– Wiecie co, opowiem wam to, co wiem o handlu tulipanami. Może znajdziecie jakiś punkt zaczepienia. Dobrze? Siadajcie.

Szli slalomem między chwiejnymi stosami książek wyrastającymi z podłogi jak stalaktyty. Regały były wypełnione po sam sufit, a na książkach leżały stosy luźnych kartek, teczki z dokumentami, gazety, czasopisma. Siedli na rozkładanych krzeselkach naprzeciwko biurka, na którym bałagan był taki sam jak wszędzie w pokoju. Obok stała mała lodówka, Dick, jak kierownik stołówki, stanął za nią.

– Zorganizowałem coś do jedzenia. – Popatrzył na nich z dumą.

Na lodówce leżała taca z kilkoma bułkami zapakowanymi hermetycznie w celofan. Tu i tam liść sałaty próbował wyrwać się z uścisku pocącego się sera i zwiniętych plasterków wędliny.

Cudownie, taki prawdziwy holenderski lunch biurowy, pomyślał Damian, patrząc na półmisek i zastanawiając się, gdzie się podziały krokiety.

– Krokiety zaraz będą – powiedział Dick. Wcisnął się za biurko. Małe brązowe oczy biegały po biurku, wziął z niego paczkę papierosów. Przypomina świnikę morską, pomyślał Damian. Miał tak krótką szyję, że głowa wydawała się wychodzić wprost z ramion. Gęste, rudobrązowe włosy powiększały czaszkę dwukrotnie.

– Frank i handel tulipanami – mruczał do siebie Dick. Zapalił papierosa. Między krzaczastymi brwiami pojawiła się głęboka zmarszczka. Zamyślony dmuchnął dymem w kierunku czujnika przeciwpożarowego. Otworzyły się drzwi i weszła dziewczyna ubrana w fartuch kelnerki.

– A, krokiety. – Położył papierosa na krawędzi biurka i zatarł ręce. – Dziękuję, dziękuję, postaw tutaj. Częstujcie się, panowie, częstujcie. – Sam

chwycił jednego i ugryzł. – Dobrze, zaczynajmy
– dodał z półotwartymi ustami, próbując ostudzić
nadzienie z ragoût.

Alkmaar, 21 lipca 1636

Palce wbijały się boleśnie w pachy. Czuł, jak obcasy ślizgają się po kafelkach, podskakują na każdej fudze. Poprzez rzęsy patrzył na dół. Ręce leżały złożone na brzuchu i kołysały się przy każdym szarpnięciu, kiedy ciągnięto go po podłodze. Widział czubki palców tego, kto go ciągnął, paznokcie miał grube i nierówne, zakrwawione. Poplamione jego krwią. Poruszył głową i jęknął.

Kłucie pod pachami nagle ustało. Mężczyzna upadł do tyłu i uderzył potylicą o podłogę. Z gardła wyrwał się krzyk. Powoli odwrócił głowę na bok i dotknął policzkiem zimnej posadzki. Mocnym szarpnięciem wyrwano mu

szmatę z ust. Wziął głęboki oddech i przesunął językiem po spękanych wargach.

– Korneliuszu, jesteś tam?

– Oczywiście, że tu jestem, Wouterze.

Głos tłumiliy woskowe czopy, ale Wouter poczuł gorący oddech blisko ucha. Słowa brzmiały zimno i obojętnie. W tonie Korneliusza pobrzmiwało jednak coś jeszcze, co dawało mu nadzieję. Trudno było to wyczuć, lecz głos troszeczkę drżał. Zdradzał strach? A może współczucie?

– Korneliuszu, uwolnij mnie, wszystko ci wytłumaczę – dyszał karczmarz. Zaczął wierzgać nogami, próbując usiąść prosto, ale upadł z jękiem. – Musiałem – powiedział cicho. – Nie mogłem inaczej. Przecież chcemy postępu. Kościół próbuje nas powstrzymać. Słyszysz mnie, słyszysz, co mówię, Korneliuszu, o Kościół, o instytucję idzie.

Powoli przewrócił się na brzuch i podwinął nogi. Pięściami odepchnął się od podłogi i wyprostował plecy.

– Musimy protestować, nie można się na to godzić. Jeśli się poddamy, cofniemy się w czasie. Postęp nauki ustanie. Chyba rozumiesz dlaczego? Jeśli nauka za dużo wyjaśni, to Bóg stanie się niewiarygodny. Oni chcą, żebyśmy wierzyli, bo inaczej stracą władzę. Rozumiesz to, Korneliuszu? Rozwiąż mnie, a wszystko ci wytłumaczę. Zrób to.

Wyciągnął związane ręce do góry.

– Proszę, Korneliuszu, pomóż mi. Nie rób tego. Błagam.

Usłyszał za sobą szuranie. Kopnięcie w tył głowy było tak silne, że usłyszał chrzęst pękającej czaszki. Wszystko ogarnął mrok.

16

– Tulipany, sery, drewniaki, wiatraki. – Przy każdym słowie Dick stukał ręką w biurko. – To są symbole Holandii, prawda? Nieprawda. Tulipan na pewno do tej wyliczanki nie należy. Większość ludzi sądzi, że pochodzą skąd?

– Z Turcji – odpowiedział z wahaniem Alek.

– Aha, na pewno. Błąd, błąd, błąd. Z Turcji pochodzi Święty Mikołaj. Tulipan, najśłynniejszy symbol naszego kraju, pochodzi z Dalekiego Wschodu, a mianowicie z Chin. Właśnie stamtąd.

Dick patrzył na nich z triumfem.

– Widzę zdumienie w waszych oczach. Tak patrzą zawsze moi studenci, kiedy to słyszą. Czy to nie komiczne? Chińczycy przyjeżdżają tu z tak daleka, żeby zobaczyć kwiaty pochodzące z ich

własnego kraju. Całymi samolotami! Piękne, prawda!

Okruszki chleba pryskały z jego ust i lądowały na ekranie komputera. Wytarł je rękawem.

– Tak, panowie, z Chin. Dokładniej z zachodnich Chin, na północ od Himalajów. Poczekajcie.

Wyciągnął atlas, położył go przed sobą i wskazał obszar Chin tuż przy granicy z Rosją.

– Patrzcie tutaj, to jeden z najmniej nadających się do życia terenów na świecie. – Powoli zataczał kręgi palcem na mapie. – Nic nie chce tam żyć, nic nie chce rosnąć, nikt nie chce tam mieszkać. Dlaczego miałyby chcieć? Musiałyby być szalony. Lata są suche i gorące, a zimy trwają wiele miesięcy. Śniegu leży tyle, że trudno się przedrzeć. Stąd właśnie pochodzi nasza ojczysta дума, z gór Tien-szan.

Kiedy zdjął palec, na mapie została mała tłusta plamka.

Kolebka naszego tulipana oznaczona tłuszczem z krokiet. Co za symbolika, pomyślał Damian.

– Ale – ciągnął Dick – nawet na tym nienadającym się do życia obszarze znajdują się miejsca, których ekosystem jest trochę inny – ciut więcej słońca albo odrobinę więcej wody. Dotyczy to również tego obszaru. Na tym złowrogim dla ludzi terenie, w dolinach u podnóża gór, leżą skrawki żyznej ziemi, a tam, gdzie ziemia jest żyzna, jest i życie. Tam, gdzie jest życie, są ludzie.

Zamknął atlas i odłożył go dokładnie na to samo miejsce na stosie, z którego wziął.

– Odkryli je nomadzi stepowi. To oni, kiedy wypasali bydło, po raz pierwszy zobaczyli tulipany. Nie, co ja mówię, nie tylko je zobaczyli, te kwiaty podbiły ich serca. Wyobraźcie sobie. Idziecie za stadem bydła. Jest koniec zimy, ale ciągle jeszcze trzyma silny mróz. Jesteście

przemarznięci do szpiku kości. Wspinacie się na kolejne skały, szukając kawałka łąki dla zwierząt. Macie nadzieję, że uda wam się coś znaleźć, zanim zrobi się ciemno. Słońce nie grzeje, promienie są zbyt nikłe. I nagle... Nie wierzycie własnym oczom. Przecieracie je i znowu patrzycie. Tak, to, co zobaczyliście, istnieje naprawdę. Zbocza wzgórz, tam, daleko, nie są szare i ponure, ale czerwone, jasnoczerwone!

Dick opadł na krzesło. Przechylił tors do tyłu i rozłożył ramiona w teatralnym geście, na jego twarzy malowały się radość i zdziwienie.

– Potraficie sobie to wyobrazić? To morze kolorowych kwiatów pośrodku straszliwie surowego krajobrazu? To musiał być wspaniały widok. Po prostu cudowny.

Patrzył przez chwilę gdzieś daleko i dodał:

– Ten kwiat zapowiadał koniec surowej zimy. Kiedy tylko nomadzi go zobaczyli, wiedzieli, że

nadchodzi lato, że najgorsze mają już za sobą. A tym kwiatem był właśnie tulipan.

Popatrzył na nich triumfalnie.

– Nigdy nie słyszałem, że tulipan stamtąd pochodzi – odezwał się Alek.

Dick skinął głową.

– Nie tylko ty. W ciągu kilkuset lat tulipan dotarł do Turcji, ponieważ niektóre plemiona koczownicze zdecydowały się tam osiedlić. Ludy te przybywały ze Wschodu, podbijały miasta na Zachodzie i zakładały księstwa.

Dick podparł się łokciem o biurko i podniósł palec wskazujący.

– Pamiętajcie, nie mówimy o barbarzyńcach. Ci koczownicy mieli wielowiekową kulturę i byli znakomitymi ogrodnikami. Zasiedlili cały Półwysep Bałkański i zabrali ze sobą tulipany. Traktowali je nie tylko jako dekorację – były dla nich święte. Nie bez powodu nazywali ten kwiat *lâle*. Tych samych liter używa się po arabsku do

napisania imienia Allah. Mocny i elegancki *lâle* był więc symbolem wieczności, siły i doskonałości. Był symbolem życia wiecznego, potwierdzeniem, że raj na ziemi może istnieć. A także symbolem uległości piękna wobec boskości – bo tulipan pokornie schyla główkę przed Allahem.

– Ładna myśl – mruknął Damian.

– Pewnie, że ładna. Tulipany mają naprawdę wspaniałą historię. Przynosiły wielu ludziom szczęście. Ale spowodowały też dużo złego. Z ich powodu walczono... i zabijano.

Alkmaar, 23 lipca 1636

Jaśnie Wielmożny Panie,

w nocy z dwudziestego na dwudziestego pierwszego lipca nasz zamysł został wprowadzony w życie. Tą drogą pragnę donieść, że poczyniono już pierwszy krok. Jeśli zaś o Korneliusza idzie, to Wielmożny Pan miał rację. Łatwo przyszło go przekonać i dobrze się nam przysłużył. Ażeby być pewnym pomyślnego zakończenia sprawy, posłałem z nim jednego z naszych chłopców. Wszystko przebiegło zgodnie z planem.

Korneliusz zaś w niczym nas nie podejrzewa. Przekonany jest, że pozbawiając życia Winckla, przyczynił się do zachowania wiary i Bóg łaskawie go za to wynagrodzi. A nuż to prawda,

kto to wie... Jest zupełnie nieświadom naszych planów tyczących bulw tulipana, które w krótkim czasie, jeśli Bóg pozwoli, zostaną wprowadzone na rynek.

Wielmożny Pan wie, że to pierwszy krok naszych poczynań. Dużo pracy jeszcze przed nami. Sprawy zmierzają ku dobremu, azaliż jedna rzecz wciąż niezmiernie mnie trapi. Oby Bóg miłosierny uchronił nas i nie pozwolił, by sieroty Winckla zabrała rodzina. Jeśli tak się stanie, nasze zamiary mogą spełznąć na niczym. Znając wagę tego zadania i moje więzy z opiekunami, będę starał się sprowadzić do nas wszystkich siedmioro sierot.

Mniemam, że czas rozpocząć przygotowania. Powiadom mnie, Panie, kiedy będziesz gotów, a i tutaj to i owo mogę przedsięwziąć.

Opis tulipanów wyślę jak najprędzej, najpierw sam muszę je dostać. Wielmożny Pan może już

rycinnikom wydać dyspozycje i objaśnić im sprawy.

Osoba, która ten list z pieczęciami Wam odda, jest godną zaufania. Gdyby pieczęć była jednak złamana, poszukamy innego sposobu wysyłania informacji. Tymczasem będziemy się trzymać tego.

A.K.

17

Dick chwycił się obiema rękami krawędzi biurka. Podciągnął się i pochylił do przodu.

– Kiedy Turcy podbili Konstantynopol po tysiąc czterechsetnym roku, zmienili nazwę miasta na Stambuł. Nowy sułtan uważał Stambuł za serce imperium, kazał tam zbudować piękne meczety, pałace i zakładać ogrody. Mieszkańcy naśladowali go i również zakładali ogrody: wiszące, warzywne, kwiatowe i tak dalej. – Dick patrzył przed siebie rozmarzonym wzrokiem. – Prawdziwa uczta dla oczu. Raj dla oczu.

– Ogrody ozdobne? – zapytał Damian. – W tym okresie w Europie mieliśmy tylko ogrody warzywne, owocowe lub ziołowe, prawda? Wydaje mi się, że kwiaty wtedy albo jedzono, albo używano ich do przygotowywania lekarstw.

– Zgadza się. U naszych osmańskich przyjaciół było inaczej. Chcieli cieszyć się przyrodą, rozkoszować cieniem drzew, ciszą, spokojem, zapachami – ciągnął Dick. – Z czasem tulipan stał się symbolem imperium osmańskiego. To właśnie tu Europejczycy po raz pierwszy zetknęli się z tym szczególnym kwiatem.

Dick rozparł się na krześle i założył ręce na brzuchu.

– Przyjechaliśmy zapoznać się z największą potęgą nad Morzem Śródziemnym. Czegoś takiego jak w ogrodach Stambułu – takich kwiatów – jeszcze nigdy nie widzieliśmy.

Wyjął papierosa z pomiętej paczki i zapalił go.

– Kształt i piękne kolory tak nas zachwyciły, że zabraliśmy je ze sobą. Widzieliśmy tam bardzo dużo odmian tulipanów, wiele różnych gatunków. W owych czasach stanowiło to wyjątek i dlatego tulipany uważano za kwiaty nadzwyczajne, przewyższające inne. Poza tym

świetnie nadawały się do transportu, były wytrzymałe, rosły dobrze w zimnej i mokrej ziemi.

Dick przechylił się do przodu i wrzucił niedopałek do plastikowego kubka z niedopitą kawą. Papieros zgasł z sykiem.

– Popularność tulipana miała też związek ze statusem społecznym. W renesansie, okresie rosnącej popularności nauki, zwiększyło się też zainteresowanie botaniką. Ogród stał się symbolem statusu. Wskazywał, że właściciel miał dosyć pieniędzy, żeby wydawać je na całkiem niepotrzebne rzeczy. To trochę tak jak dzisiaj, kiedy ludzie kupują samochody terenowe do jeżdżenia po mieście. A przecież nie mieszkają na bagnach ani nie zamierzają uczestniczyć w rajdzie Paryż – Dakar, prawda? Gdzie się znajdują Dutch Mountains? Ale oni chcą nam pokazać, że stać ich na wóz terenowy. W renesansie nie było inaczej. U nas ważną rolę odgrywał też rozwój

nauki, pragnienie zdobywania wiedzy i zachowania jej dla potomności. Hodowała tulipanów pozwoliła otrzymać nowe odmiany: duże, średnie i małe kwiaty z trzema, czterema lub pięcioma okrągłymi lub spiczastymi płatkami, na grubych lub cienkich łodygach. Gdyby nie zapisano, w jaki sposób je uprawiano, byłyby stracone na zawsze. Tylko jedna osoba mogła się podjąć tego zadania: Karol Kluzjusz, bardzo ważny botanik. Był doradcą władców europejskich i arystokratów, był w samym środku grona miłośników roślin, którzy dzielili się wiedzą, wymieniali roślinami, cebulkami i nasionami.

– Kiedyś coś o nim czytałem. Był dyrektorem Hortus Botanicus na uniwersytecie w Lejdzie? – upewnił się Damian.

– Owszem. Hodował tulipany z cebulek, które zbierał od przyjaciół botaników z całego świata. Studiował je i pisał o nich. Tulipany stały się tymczasem tak popularne, że złodzieje regularnie

wdzierali się do ogrodu w Lejdzie i pustoszyli grządki. Dziwna sprawa, ale miało to też swoją zaletę, gdyż w ten, co prawda nielegalny, sposób cebulki wysokiej jakości rozeszły się po całym kraju. Prawdopodobnie byli to przodkowie tulipanów, które potem przyniosły tyle pieniędzy. Uchodźcy zabierali, oczywiście, cebulki tulipanów ze sobą.

– Chodzi ci o ludzi, którzy uciekali przed hiszpańską dominacją katolicką? – domyślił się Alek.

Dick spojrział na niego rozbawiony i odpowiedział:

– Tak, widzę, że się czegoś nauczyłeś na studiach. Wiele osób prześladowanych za wiarę uciekło w tym czasie na północ i znaleźli się w naszej wolnej Republice^[4], gdzie byli bardzo mile widziani. Zdarzało się, że miasta walczyły o takich uchodźców, w sensie przerośnym, oczywiście.

– Walczyć o to, żeby móc przyjąć uchodźców, co za czasy – mruknął Alek.

– Można tak powiedzieć. Uchodźcy byli często zamożnymi ludźmi. Wielu z nich, w podziękowaniu za gościnne przyjęcie, finansowało na przykład budowę kościoła lub ratusza.

– A więc nie miało to nic wspólnego z tolerancją? – zapytał Alek.

– Moim zdaniem miało to niewiele wspólnego z tolerancją. Nie byliśmy tak szlachetni ani wtedy, ani nigdy. W każdym razie właśnie w ten sposób powstało tyle odmian tulipanów. I rozwinęło się coś jeszcze, ale to zupełnie inna kwestia.

Holandia, 4 lutego 1637

Zaczął się sztorm z północnego wschodu. Silny wiatr szalał po równinach Holandii Północnej, marszczyła się powierzchnia wody w kanałach melioracyjnych przecinających łąki i pola. Deszcz zamarzał przy zetknięciu z ziemią.

Ostry, lodowaty wiatr uderzał w bramę miejską Alkmaar i wpychał podróżnych do środka. Przybywali ze wszystkich stron świata, nawet z bardzo daleka, spoza granic Republiki.

Podróż nastęrczała wielu niebezpieczeństw, drogi do Alkmaar okazały się bardzo śliskie. Ale oni prawie tego nie zauważali, byli jak znieczuleni i dlatego postępowali tak lekkomyślnie.

Spojrzenie mieli twarde i zdecydowane. Niezależnie od przeszkód dotrą do miasta na czas. Już jutro czeka ich dobrobyt i bogactwo. Jutro w Alkmaar pójda pod młotek najcenniejsze cebulki tulipanów. I oni wezmą w tym udział, byli więc gotowi na wszystko.

Dick wstał i podszedł do lodówki. Otworzył drzwiczki i zaczął w niej grzebać. Zamknął ją wyćwiczonym ruchem prawej nogi.

– Chcecie colę? – zapytał i rzucił każdemu z nich puszkę. Nożem do otwierania listów podważył blaszkę i wypił duży łyk. – Tulipan był symbolem statusu. U nas to nie arystokracja, jak we Francji, zajmowała się tulipanami, ale nowa elita, kupcy. Ludzie ci budowali na wsiach duże domy, letnie rezydencje, im były większe, tym lepiej świadczyły o właścicielach. Szukali jeszcze czegoś, co pozwoliłoby im popisać się przed innymi. I osiągnęli to nie tyle dzięki ogrodom, ile, mówiąc ściśle, dzięki wielkości i zawartości grządek z tulipanami. Nie potrafili ich, oczywiście, sami uprawiać, musieli więc robić to

dla nich utalentowani ogrodnicy. Popyt na ten nowy rodzaj rzemiosła szybko rósł, wielu ogrodników zakładało własne hodowle tulipanów. Za niewielkie pieniądze kupowali jałowe, pi-
aszczyste poletka, przede wszystkim w Holandii Północnej. Ziemia nie nadawała się do uprawy innych roślin, ale była idealna dla wdzięcznych tulipanów, rosły na niej wspaniale, doskonale wręcz.

– Aha, więc w ten sposób powstał sławny Bollenstreek, region cebulkowy – domyślił się Alek.

– No właśnie, Bollenstreek.

– To znaczy, że w tym okresie podaż tulipanów wciąż rosła – dodał Damian.

– Tak, ale rynek się zmienił. Problemem nie była już zbyt mała podaż, ale zbyt skromny wybór odmian. Typowe tulipany taniały coraz bardziej, a więc i mniej zamożni zaczęli się nimi interesować. Podaż rosła, ale rynek zbytu też się powiększał, bo tak kosztowne kiedyś rośliny

stały się dostępne dla wszystkich. Jednocześnie rósł popyt na rzadkie, unikalne okazy, na *limited edition*. – Dick zachichotał, przechylił głowę do tyłu, łyknął coli i beknął.

– Przepraszam panów. – Wytarł usta rękawem.
– Słuchajcie. Dzięki profesjonalizacji ogrodnictwa wyhodowano niezwykle okazy tulipanów, ale ich cebulek było niewiele. Najwięcej kosztowały pstre tulipany, te z kolorowymi wzorami na płatkach. Za niektóre płacono tysiące florenów. Poczekajcie, pokażę wam.

Przebierając nogami, Dick przysunął krzesło na kółkach do biblioteczki.

– Tutaj, popatrzcie. To są ryciny tulipanów. Zobaczcie, jakie piękne, spójrzcie na te kolory, na te wzory. Niewiarygodne, co? – zachwycał się Dick, kartkując katalog i pokazując im ryciny. Nie zauważył porozumiewawczego spojrzenia Damiana i Alka. – Jest tutaj kilka unikalnych egzemplarzy, ten na przykład. – Wskazał tulipana

z ciemnofioletowymi smugami na delikatnych białych płatkach. – To były bardzo rzadkie okazy.

– Na wagę złota – wtrącił Damian.

– Dosłownie, bo płacono za nie tyle złota, ile same ważyły. Coraz więcej ludzi dostrzegało, że na handlu tulipanami można zarobić krocie. Inwestując w kilka cebulek, można było szybko się wzbogacić. W pewnym momencie nastąpiła eskalacja. Wszyscy chcieli więcej i więcej. Więcej cebulek, więcej pieniędzy, więcej handlu.

– Ale, oczywiście, jest jakaś granica – odezwał się Alek.

Dick skinął głową.

– Oczywiście. I wtedy już prawie ją osiągnięto.

19

Było wół do pierwszej i w restauracji panował tłok. Mężczyźni w garniturach siedzieli przy stołach. Ich ciemne ubrania pochłaniały skąpe światło. Przyciszone rozmowy przerywały sporadyczne wybuchy śmiechu. W City, biznesowej dzielnicy Londynu, była właśnie pora lunchu.

Coetzer siedział w rogu. Płaszcz powiesił na oparciu krzesła. Gazeta otwarta na stronie z wiadomościami finansowymi leżała na pustym talerzu. Niczym się nie wyróżniał. Wiedział z doświadczenia, że to niezwykle ważne, żeby wszędzie, gdzie był, całkowicie przystosować się do otoczenia. W ten sposób stawał się niewidoczny.

Odsunął od siebie talerz i złożył gazetę. W momencie kiedy kelner stawiał przed nim espresso, zadzwonił telefon. Kelner pokręcił głową, położył palec na ustach i wskazał tabliczkę na ścianie. Telefon komórkowy przekreślony grubą czerwoną kreską. Coetzer przytaknął. Odebrał i wyszedł na zewnątrz.

– Tak?

– To ja. Szczerze mówiąc, spodziewałem się telefonu wcześniej – usłyszał nosowy głos. – Ponieważ nic nie słyszałem i notabene z gazety musiałem się dowiedzieć, co się stało z Schoellerem i jak się z nim rozprawiłeś, pomyślałem, że ci się wymknął.

– Właśnie miałem zamiar się z tobą skontaktować, żeby ustalić, co...

– Zakładam, że nie masz dla mnie wiadomości, inaczej byś zadzwonił. Dziwne. Myślałem, że wynająłem zawodowca. Gdybym chciał go po prostu zabić, mógłbym wziąć kogoś

innego. Płacę ci za fachowość w technikach przesłuchiwania, a nie za to, żebyś rozwał komuś mózg bez uzyskania informacji, które miałeś zdobyć. Masz połowę kwoty, ale nie myśl sobie...

– Czekaj – przerwał Coetzer. Przeszedł kilka metrów od szklanych drzwi restauracji, poza zasięg słuchu klientów palących papierosy. – Ja też sobie to inaczej wyobrażałem – powiedział przyciszonym głosem. – On by mi nigdy nic nie powiedział, niezależnie od tego, co bym z nim zrobił. Był twardy. Nie potrzebuję spędzać z kimś wielu godzin, żeby to zrozumieć.

– Więc go po prostu zabiłeś.

– A czego chciałeś?

– Żeby ci powiedział, gdzie to jest, idioto. Gdzie to ukrył.

Dopiero kiedy się zdenerwował, Coetzer usłyszał lekki akcent. Tak jak on, jego rozmówca nie używał prawdziwego nazwiska, ale z jakiegoś

powodu Coetzer zawsze zakładał, że ma do czynienia z Anglikiem. Zapadła cisza. Potem tamten powiedział:

– Zawiodłeś.

Coetzer przełknął złość. Rosnąca złość zawsze się przydawała, mógł z niej czerpać dodatkową siłę, której czasami potrzebował, była jak dawka adrenaliny.

– Niektórzy nigdy nic nie zdradzają – powiedział.

– To on był osiã. Wszystko obracało się wokół Schoellera. Teraz zostaliśmy z pustymi rękami. Jak masz zamiar to naprawić?

– Przez jego bratanka.

– Co? Masz na myśli tego faceta, co go znalazł? To chyba nie przeczytałeś dokładnie gazety. Znalazł swojego stryja, kiedy ten już nie żył. Dzięki twoim błyskotliwym metodom Schoeller nie mógł mu nic powiedzieć.

– Nie o to mi chodzi. Całkiem możliwe, że coś mu zostawił. Był przecież jego jedyną rodziną, prawda? Tylko on po nim dziedziczył?

Milczenie.

– To rzeczywiście jest możliwe.

– W każdym razie się dowiem.

– I wkrótce będziemy mieli więcej zwłok na karku?

– To zależy, jakie zadanie mi wyznacysz.

– Żeby wszystko było jasne. Chyba rozumiesz, że nie ma mowy o kwocie, którą uzgodniliśmy. Znalezienie bratanka uważam za część pierwszego zadania, nie myśl, że dostaniesz więcej. Tak to się kończy, jak ktoś działa po swojemu. Znajdź go i mnie informuj. Mam nadzieję, że tym razem będziesz mądrzejszy i dowiesz się, do cholery, gdzie Schoeller to schował. Nie wracaj z pustymi rękami, bo wtedy możesz zapomnieć o reszcie pieniędzy.

Coetzer zamknął klapkę telefonu. Jeszcze trochę i zbierze wystarczającą sumę. Wtedy żaden z tych dupków nie będzie go poniżał i będzie mógł wyjechać na zawsze na swoją farmę w pobliżu Kapsztadu. Z uśmiechem wszedł do restauracji.

* * *

Dawn przekroczyła próg pomieszczenia medialnego.

– Jezu, Tim, co ty jadłeś? – Zatykając nos przed oparami czosnku wiszącymi w dusznym pokoju, chwyciła krzesło, które stało obok, i odsunęła je jak najdalej od niego.

Spojrzał na nią z rozbawieniem.

– Nie przesadzaj. Zdarzało ci się chyba wąchać gorsze rzeczy. Nie mów, że masz większą awersję do lekkiego zapachu czosnku niż do smrodu trupa?

– Zależy, co jadł.

Przechylił głowę i patrzył na nią. Na okularach widać było kropelki tłuszczu. Kiedy się zastanawiała, czy Tim coś jeszcze przez nie widzi, pochylił się i dmuchnął jej w twarz.

– Naprawdę?

Zmarszczyła nos.

– Oglądałeś je?

Nad nimi wisały ukośnie dwa monitory z nieruchomymi kadrami z pogrzebu Schoellera.

– Nie, przewinąłem szybko, żeby zobaczyć, czy nagrała się cała uroczystość. Jest wszystko, od początku do końca.

– Dobrze. Zaczynamy.

Tim przycisnął kilka klawiszy. Na jednym monitorze ukazał się obraz holu w Zorgvlied. Druga taśma pokazywała nagrania z auli.

– Możesz przewinąć od początku, masz dźwięk?

– Kobieto, ale jesteś niecierpliwa, przecież widzisz, że nad tym pracuję.

Dotknął kilku przycisków i przesunął suwak. Szum głosów wypełnił pokój. Zatarł rękę.

– No, gotowe. Czego szukamy?

– Jeszcze nie wiem.

– Jeszcze nie wiesz?

– Nie, nie wiem. Po prostu to włącz.

Kamery zarejestrowały cały pogrzeb, od przybycia gości do opuszczenia sali po kondolencjach. Po dwóch godzinach zobaczyli, jak wychodzą ostatni goście, a za nimi, chwilę potem, Alek, Damian i Emma.

Tim zatrzymał nagranie.

– I co? – Założył ręce za szyję i przechylił się do tyłu. – Zauważyłaś coś?

Dawn pokręciła głową.

– Nie, zupełnie nic. Wszyscy zachowują się normalnie.

– Wainwright chyba nie myśli, że morderca gdzieś tam się kręci. To mit, że mordercy zawsze wracają na miejsce popełnienia przestępstwa albo chodzą na pogrzeby ofiar. Oczywiście bzdura. Chyba naoglądał się za dużo seriali kryminalnych i nie odróżnia fikcji od rzeczywistości.

Dawn spojrziała na niego.

– Nie zapominaj, że to on inspiruje twórców wielu z tych seriali. On i zdarzenia, w których uczestniczył. Nie masz pojęcia, ilu scenarzystów przewinęło się przez jego gabinet, żeby z nim porozmawiać!

Tim wzruszył ramionami.

– Chcesz zabrać taśmy czy mam je zarchiwizować?

– Możesz je przegrać na DVD? Wezmę ze sobą. Chcę to jeszcze kilka razy przejrzeć w spokoju.

Alkmaar, 4 lutego 1637

Lodowaty podmuch wiatru zamknął za nimi ciężkie drzwi. Dziewczyna, która im otworzyła, szła naprzód szybkim krokiem. Zatrzymała się w połowie korytarza.

– Zaczekajcie panowie tutaj, pójdę zawiadomić pryncypała, żeście przyszli.

Skostniali z zimna Lauris Bartelmiesz i Filip de Klerck stali w lodowatym korytarzu sierocińca. Milcząc, zdjęli przemoczone kapelusze i strząsnęli z nich śnieg. Topniejące płatki kapały z ich rond i brzegów płaszczy na podłogę.

Lauris spuścił wzrok, czubek buta zanurzył w kałuży topniejącego śniegu i powiedział cicho:

– Ciekaw jestem, jak się mają.

Filip odwrócił wzrok i wzruszył ramionami.

Jego towarzysz skinął głową i mocno ścisnął rondo kapelusza. Nie mógł znieść myśli, że dzieci Wouteru Winckla znalazły się w końcu tutaj. Kiedy Wouter prosił jego i Filipa o opiekę nad nimi, na pewno nie to miał na myśli. Niestety, nie było wyjścia.

Z daleka usłyszał coraz bliższe kroki, próbował się więc otrząsnąć z poczucia winy. Drzwi, za którymi zniknęła dziewczyna, otworzyły się i stanął w nich Adriaen Koorn, pryncypał sierocińca w Alkmaar.

– Witam, panowie, rad jestem was widzieć – powiedział, podchodząc do nich. Był niewysoki, a jego szczupłe nogi wystawały z zaokrąglonego tułowia jak patyki. Żuchwa była silnie wysunięta, dlatego małe, żółtawe dolne zęby zachodziły na przednie górne. Skóra miała niezdrowy kolor, a wypukłe oczy biegały na prawo i lewo.

– Witam, witam.

Wyciągnięta dłoń była miękka i wilgotna. Lauris wytarł rękę w płaszcz i instynktownie odsunął się kilka kroków do tyłu.

– Proszę za mną. – Adriaen obrócił się na swoich małych stopach i otworzył drzwi do pomieszczenia w głębi.

Unosiła się tam woń torfu. Przy stole pośrodku skromnie urządzonego pokoju siedział Willem, najstarszy syn Wouterera. Kiedy tylko ich zobaczył, na jego ponurej twarzy pojawił się uśmiech.

Wstał.

– Wujku Laurisie, wujku Filipie, jak dobrze was widzieć!

Podszedł do nich. Uściskali się.

– Witaj, chłopcze, jak się masz? Co z innymi? Czy zdrowi wszyscy? – pytał Lauris, patrząc mu prosto w oczy. Było bardzo zimno, i zdrowie sierot często pozostawiało wiele do życzenia.

– Wszyscy zdrowi, zdrowi – odpowiedział Willem.

– Rzecz jasna, że zdrowi. – Adriaen stanął obok Willema i objął go ramieniem. – Dobrze dbamy o wszystkie sieroty, przecież to oczywiste, nieprawdaż? A po jutrzejszym dniu, jeszcze lepiej będziemy mogli się o nie troszczyć.

Pryncypał zatarł ręce. Na jego twarzy malowało się takie samozadowolenie, że Lauris i Filip spojrzeli na siebie znacząco. Obaj wiedzieli bardzo dobrze, że ta aukcja daje mu szansę na zebranie dużej sumy. Sierociniec musiał sobie radzić sam i był całkowicie zależny od darów osób prywatnych.

Reakcja pryncypała świadczyła o jego małej wrażliwości. Choćby dlatego, że obok niego stał Willem, w końcu chodziło o spadek po jego ojcu, Wouterze Wincklu. Lauris czuł się zażenowany.

– Chodźcie, panowie, spocznijcie, możemy zacząć – powiedział Adriaen.

Podeszli do stołu i usiedli.

– Willem prosił, abym panom wyjaśnił, jak taka aukcja się odbywa. Rozumiem, że jesteście nieobcyi w tych sprawach. Słowami jego mówiąc, chcę, aby moje wyjaśnienia pozwoliły panom obserwować, czy wszystko przebiega zgodnie z zasadami. Oczywiście, że i ja na wszystko będę zważać, ale to panowie są opiekunami sierot i dlatego wy zwłaszcza musicie dbać na dobro dzieci.

Lauris, w poczuciu winy i zdenerwowany arogancką postawą pryncypała, powiedział:

– Tak, tak, my ręczymy za dobro dzieci, a ponadto ich ojcu złożyliśmy obietnicę i pragniemy dotrzymać słowa.

I on, i Filip dali się przekonać pryncypałowi, żeby po śmierci Wouterera nie zabierać dzieci do swoich domów. Siedmioro dzieci. Naprawdę zbyt wiele. Filip chciał zabrać dziewczynki, a on chłopców. Ale pryncypał podkreślił, że lepiej

będzie, jeśli rodzeństwo zostanie razem w sierocińcu. „Mają tylko siebie” – zaznaczył. Po kilku miesiącach razem z Filipem postanowili jednak zabrać je stamtąd. Kiedy pryncypał zawiadomił ich, że aukcja odbędzie się w lutym, a potem dzieci będą miały własne środki na utrzymanie, zrezygnowali z tego planu. Tymczasem minęło siedem miesięcy.

– Obietnicę? – zapytał Adriaen. Lauris zobaczył, że jego lewa powieka drży. Spiczaste jabłko Adama poruszało się niespokojnie w tę i z powrotem.

– Tak – odpowiedział Lauris. – Obietnicę, że będziemy się troszczyć, aby po jego śmierci dzieciom niczego nie zabrakło, a jego scheda w uczciwy i sprawiedliwy sposób zostanie podzielona.

– A, o tej obietnicy pan mówi. – Lauris zobaczył błysk gniewu w wyłupiastych oczach Adriaena. – Co do tego mogą panowie być

spokojni. Nad wyraz cenię sobie uczciwość i sprawiedliwość, każdy, kto mnie zna, może to potwierdzić. Wytłumaczę wam wszystko, abyście mogli spokojnie wracać do domu.

Cyniczny ton nie uszedł uwagi Laurisa. Otworzył usta, żeby coś powiedzieć, ale poczuł na ramieniu lekki uścisk. Spojrzał na Filipa, który prawie niezauważalnie pokręcił głową i powiedział:

– Jeśli pan łaskaw, to bardzo prosimy.

Godzinę później Lauris i Filip wychodzili z bramy sierocińca. Po zawietrznej stronie zachodniej fasady Wielkiego Kościoła okryli się szczelnie wilgotnymi pelerynami i założyli kapelusze.

– I co o tym sądzisz? – zapytał Filip.

– Nie ufam mu. Musimy przybyć na tę aukcję i uważać, jakie ceny oferuje się za poszczególne partie. Tak jak pryncypał mówił, spadek po

Wouterze jest teraz własnością sierocińca. Dopiero kiedy pieniądze wpłyną, dzieci mogą otrzymać swój udział.

– Jak mówiłeś? Ile pójdzie na sierociniec?

– Jedna dziesiąta.

– Im więcej pieniędzy przyniesie aukcja, tym większą dostanie sumę sierociniec – zauważył Filip.

– Dlatego musimy zrobić wszystko, żeby aukcja przebiegła sprawnie. To będzie także z pożytkiem dla dzieci. Pryncypał ma już przed oczami strumień złota płynący do jego kieszeni, więc dołoży wszelkich starań, aby powiadomić wszystkich zainteresowanych.

– Zatem ostatecznie wszystko się obraca na naszą korzyść.

Lauris skinął głową, ale twarz miał zamyśloną.

– Musimy uważać, Filipie. Willem nie bez powodu prosił nas na rozmowę z pryncypałem. Jeśli chłopak mu nie ufa, to my też nie powinniśmy.

Skręcili. Kościół zasłaniał ich od wiatru, który teraz wiał im mocno w twarz. Śnieg kłuł w skórę jak ukąszenia pszczoły.

Podczas gdy Lauris i Filip szli pochyleni, chroniąc się przed wiatrem, i wchodzili w ulicę Gasthuisstraat, Adriaen Koorn przemierzał szybkim krokiem długie, surowe korytarze północnego skrzydła sierocińca. Zatrzymał się przed drzwiami swojego pokoju i podniósł pięść. Zmienił jednak zdanie i wszedł do środka bez pukania.

Gość stał dokładnie w tym samym miejscu, gdzie zostawił go godzinę temu, obok kominka, odwrócony do niego plecami. Nie zdjął peleryny. Wciąż miał kaptur na głowie. Powoli odwrócił się do Koorna.

Ten machinalnie potarł ramiona. Kiedy wyszedł na spotkanie z opiekunami, pokój był ciepły od ognia płonącego w kominku. Ogień

nadal się palił, ale w pomieszczeniu panował chłód. Jakby gość pochłaniał całe ciepło.

– Darujcie, panie, nie wiedziałem, że rozmowa tak długo potrwa. Gdybym zawczasu wiedział, że wielmożny pan przyjdzie, to...

– Czy wszystko przygotowane? – Głos dochodzący spod kaptura był miękki i zachrypnięty.

– Tak, dopełniłem wszelkich swoich powinności.

Mężczyzna włożył rękę pod fałdy peleryny. Wyciągnął spod niej książkę. Adriaen podszedł do niego i wziął ją w ręce.

– Czy to ta?

– Tak.

– Czy opisy okazały się wystarczające? – zapytał Adriaen, wpatrując się w wolumin. Nagle się zawahał. Gość nie spuszczał z niego wzroku ani na moment. Spojrzenie miało zimne, wdzierające

się do mózgu, było tak intensywne, że prawie bolało. Zamknął oczy.

– Wątpicie?

– Nie, nie, oczywiście, że nie. – Adriaen słyszał, że głos go zawodzi.

– Wątpicie.

Mężczyzna wyrwał mu książkę z ręki i zaczął ją kartkować kościstymi palcami. Co kilka stron podnosił palec do ust, ślinił czubek i znowu przewracał strony. Patrzył pogardliwie na kolorowe akwarele. Potem zamknął ją i oddał Adriaenowi.

– Więc te obrazki mają wzbudzić zainteresowanie?

Adriaen skinął głową.

– Chciwość i głupota idą ze sobą w parze. – Mężczyzna nieco odwrócił głowę, spojrzął na Adriaena i powiedział: – Dotrzymałem warunków ugody. W mieście jest tłoczno. Wszystkie gospody zajęte, listy i pamflety zrobiły swoje.

Adriaen ze zdziwieniem przyglądał się licznie przybywającym kupcom. Wiedział, że zainteresowanie jest duże, ale tego, że przy takiej pogodzie na aukcję przyjadą setki ludzi, się nie spodziewał. W całym mieście nie było wolnego łóżka. Niektórzy mieszczanie odstąpili nawet własne miejsca do spania.

– Do zobaczenia jutro w De Nieuwe Schuttersdoelen – powiedział mężczyzna. Nasunął kaptur na głowę i wielkimi krokami wyszedł z pokoju.

Pokój od razu wypełnił się ciepłem. Adriaen z westchnieniem podszedł do krzesła obok kominka i usiadł. Patrzył na książkę leżącą na kolanach. Płomienie oświetlały złocenia i stemple na okładce. Blask odbijał się w jego oczach. Wyciągnął rękę i z uśmiechem pogładził miękką, czerwoną skórę.

Dick przez moment obgryzał kciuk.

– Wszystko zaczęło się od tego, że przedłużono sezon sprzedaży cebulek. To były letnie miesiące, bo wtedy wyciąga się cebulki z ziemi i można je sprzedawać. Ale handlarze zaczęli szukać nowych sposobów na zysk. Chcieli zarabiać przez cały rok. I co zrobili? Włączyli do sprzedaży cebulki przybyszowe, malutkie, wyrastające z cebulki matki. Kiedy tulipan przekwitnie, wyjmuje się go z ziemi i je oddziela. Mogą z nich wyrosnąć duże cebulki, z których znowu wyrastają cebulki przybyszowe. Te małe cebulki trzeba jednak hodować kilka lat, zanim wyrosną z nich kwiaty. Mimo to zaczęto nimi handlować. – Dick potrząsnął głową. – Nigdy nie powinni zaczynać tego handlu. Jeśli zaufanie

w biznesie zaczyna odgrywać zbyt dużą rolę, można być pewnym, że coś pójdzie nie tak.

– To znaczy mówisz, że ci ludzie nie wiedzieli, co kupowali? – zapytał Alek.

– Zgadza się. Sprzedawca wypisywał kupcowi weksel, promesę, obietnicę na papierze. W liście notowano, jaka odmiana została zakupiona. Pisano też datę, kiedy cebulka zostanie przekazana nowemu właścicielowi.

– Powstał więc rynek spekulacyjny – zauważył Damian.

– Owszem. Handel nie zależał odtąd od sezonu. Można było prowadzić interesy przez cały rok. Jaki dobrobyt, jakie bogactwo miało to przynieść! Tak przynajmniej myślano. W niektórych przypadkach się to, oczywiście, sprawdziło, ale wynikł jeden duży problem, od którego zaczęły się wszystkie kłopoty.

Dick wstał. Z zatroskaną miną zaczął chodzić w tę i z powrotem po dusznym pokoju.

– Nie było żadnej gwarancji, że te małe cebulki będą tak samo silne jak cebulki matki i że wyrosną z nich tak samo piękne tulipany. Mimo dużego ryzyka handlowano nimi coraz intensywniej. Gorzej, sprzedawano je, zanim zostały oderwane od cebulki matki. I – dodał Dick, podnosząc palec do góry – bardzo ważne: waga. Ładna, ciężka, wyrosnięta cebulka produkuje więcej cebulek przybyszowych niż lżejsza. Cebulki sprzedawano więc według wagi mierzonej w azach, jeden az liczył około czterdziestu ośmiu tysięcznych grama. Handel weksłami wymknął się całkowicie spod kontroli. Kupiec właściwie nic nie wiedział na pewno. Nie miał pojęcia, jaki kwiat wyrośnie z cebulki, czy sama cebulka jest dobrej jakości. Nawet nie wiedział, czy ta cebulka istnieje i sprzedający naprawdę ją posiada!

– Właściwie za wielkie pieniądze kupowano papierek, który na koniec okazywał się nic niewart. Pustą obietnicę – podsumował Alek.

– Handlowano powietrzem – dodał Damian.

– Racja, handlowano powietrzem. Kupujący spekulowali na dwóch rzeczach. Po pierwsze na przyszłej cenie cebulki. Mieli nadzieję, że w czasie między zakupem weksla a przekazaniem cebulki cena wzrośnie na tyle, żeby uzyskać duży zysk. Po drugie spekulowali, że waga cebulki wzrośnie w czasie, kiedy ta będzie zakopana w ziemi. Mogło się zdarzyć, że cebulka ważąca czterdzieści osiem azów przez rok osiągnie wagę dwustu azów. Czysty zysk. Czteryście procent w ciągu roku. Sprzedawca też ryzykował. Kupujący co prawda od razu płacił za weksel pewien procent ceny zakupu. Umowa na papierze zobowiązywała go do odebrania cebulki, ale nigdy nie wiedziano na pewno, czy rzeczywiście zostanie kupiona.

Alek skinął głową. Starał się zapamiętać każdy szczegół opowiadania Dicka. Jednocześnie próbował szukać związku ze sprawą swojego

stryja. Wszystko mogło być ważne. Ale co? Na razie nie potrafił wykryć żadnej zależności między wywodem Dicka a tym, co spotkało Franka. Zaczęło mu się kręcić w głowie. Czyżby Frank powierzył komuś znaczną część swoich pieniędzy i źle to oszacował? Może zażądał zwrotu pieniędzy i musiał przypłacić to życiem? Co naprawdę wiedział o jego sytuacji finansowej? Nigdy nie zastanawiał się nad tym, jak Frank zdobył swój majątek. Opowieść, której słuchali, nie dostarczyła do tej pory żadnej odpowiedzi. Siedzieli tutaj, tracąc czas. Westchnął. Dick spojrzał na niego.

– Przydaje ci się na coś ta historia?

– Jeszcze nie, ale dokończ. Muszę się nad tym wszystkim zastanowić.

Dick skinął głową.

– Dobrze, przez handel wekslami ceny cebulek ogromnie wzrosły w latach tysiąc sześćset trzydzieści pięć – tysiąc sześćset trzydzieści sześć.

Zmienił się rynek odbiorców. W błyskawicznym tempie został przejęty przez kupców żądnych zysku. Co ważne, pochodzili oni ze wszystkich warstw społecznych, zdarzało się więc, że byli na przykład rzemieślnikami. Żeby zainwestować, sprzedawali krosna, bydło, piece chlebowe, kowadła.

– Słyszałem, że te opowieści o rzemieślnikach, którzy rzucili się do handlu cebulkami, są mocno przesadzone – zaoponował Damian.

– Prawdopodobnie zależało to od miejsca zamieszkania. Można zakładać, że w miastach takich jak Alkmaar, Haarlem i tutaj, w Amsterdamie, gdzie handel tulipanami kwitł, zwykli ludzie też chcieli na nim skorzystać.

– Jeżeli sprzedali swoje narzędzia pracy, nie mieli potem z czego żyć.

– I to właśnie był błąd. W ostatnich miesiącach tysiąc sześćset trzydziestego szóstego roku handel osiągnął szczytowy punkt. Płacono

irracjonalne kwoty. Liczba handlarzy i popyt na tulipany rosły, a więc rosły i ceny. Nie mogło to długo trwać.

Dick podszedł do krzesła i usiadł. Patrzył zmartwionym wzrokiem.

– Rok tysiąc sześćset trzydziesty siódmy okazał się dla kupców i handlarzy katastrofalny. W Alkmaar odbyła się duża aukcja. To był początek końca, potem wszystko uległo zmianie. Handel załamał się z dnia na dzień i ludzie zostali bez środków do życia.

Alkmaar, 5 lutego 1637

Poprzedniego dnia sztormowy wiatr oczyścił niebo. Mokre ulice Alkmaar lśniły w porannym słońcu. Większość lodu stopniała. Tylko w cienistych zakątkach ulicy Doelenstraat leżała warstwa lodu.

Schodkowa fasada De Nieuwe Schuttersdoelen, siedziby straży obywatelskiej z Alkmaar, odcinała się ostro na tle niebieskiego nieba. Złoty wiatrowskaz na szczycie wieży – łucznik z napiętym łukiem i ze strzałą – obracał się wolno wokół osi, zastanawiając się, skąd wieje wiatr.

Dużo niżej, przy wejściu, czekała grupa mężczyzn. Po otwarciu drzwi zaczęli się tłoczyć

do środka i spieszyć do niewielkiego pomieszczenia. Tam zostali zatrzymani. Wpuszczano ich parami.

Adriaen Koorn był zadowolony. Kolejka jeszcze się nie skończyła, a wszystkie miejsca w sali aukcyjnej były już zajęte. Pierwsi goście zameldowali się o siódmej rano. W specjalnie przygotowanym pomieszczeniu mogli obejrzyć katalog tulipanów zamówiony wcześniej u miejscowego artysty.

Doprawdy dobrześmy wykorzystali czas od lipca, pomyślał Adriaen. Zlecili namalowanie stu sześćdziesięciu ośmiu akwarel przedstawiających kolekcję Winckla. Szczególnie wiele uwagi polecili poświęcić stu dwudziestu czterem tulipanom. To one miały przynieść największy zysk. Aby nadać aukcji rozgłos, przygotowali i wysłali listy do najbardziej znanych handlarzy w Holandii.

Powstały także broszury, rozprowadzane przez znajome osoby w całej Republice.

Wszystko to zabrało dużo czasu, ale czas działał na ich korzyść. Winckel zmarł w lipcu zeszłego roku. Teraz był luty. W ciągu minionych miesięcy ceny większości gatunków tulipanów podwoiły się. Część dochodu przypadająca na sierociniec była wielokrotnie większa, niż początkowo myślano. Adriaen zacięrał ręce. Tak, mógł być zadowolony.

Willem Winckel nie czuł się dobrze. Jaskrawe słońce świeciło przez okno. Z gęstego tłumu ludzi unosiła się para. Było ciepło i duszno, w zamkniętym pomieszczeniu wisiały wyziewy cebuli i alkoholu.

Potarł twarz rękami. Mdłości powodowało nie tylko śmierdzące powietrze wdzierające się przez nos do gardła. Wywoływał je też inny chorobliwy zapach unoszący się w sali. Każdy ką

pomieszczenia, wszystkie szczeliny między deskami, każdy kawałek materiału przesiąknięty był żądzą pieniądza, otaczała ona wszystko mgiełką, którą tylko on widział, a która gęstniała tym bardziej, im bardziej sala wypełniała się ludźmi.

Jakoś to wiązać się ze sobą musi, pomyślał. Kiedy poprzedniej nocy leżał w łóżku i nie mógł zasnąć, zdał sobie sprawę, że los jego rodziny zależy od chciwości tych ludzi. Oznaczało to, że tę chciwość należało pielęgnować, żeby rosła przez następne godziny. Dopiero po aukcji mógł zagwarantować rodzeństwu beztruską przyszłość. Jego ojciec pracował na to całe życie.

Wiedział, że celu ojca nie stanowiły tylko pieniądze, dzięki którym jego dzieci będą mogły cieszyć się niezależnością. Był jeszcze inny rodzaj wolności, o którą ojcu chodziło. Wolności, o której często rozmawiali w ostatnich miesiącach jego życia: wolności człowieka,

wolności słowa i działania. Słyszał jeszcze jego słowa: „Wolność bezcenna jest, niezależnie od posiadanego majątku. Lepiej żyć w biedzie i być wolnym, niżli żyć w bogactwie, ale zarazem w ubóstwie ograniczeń, które nam inni nakładają”.

Willem spojrzał na salę. Wszyscy już zajęli miejsca. Jak złodzieje cmentarni czyhali na tulipany jego ojca, tak to odczuwał. Siedzieli stłoczeni, owinięci czarnymi pelerynami. Głowy spuszczone, oczy skierowane na listę towarów trzymaną w rękach. Nie była to tylko lista różnych odmian tulipanów z majątku Wouter'a Bartelmiesza Winckla, byłego karczmarza z Alkmaar. To była lista nadziei, perspektywy dobrobytu, ogromnego bogactwa, ponieważ kolekcja składała się z najcenniejszych tulipanów, jakie można było znaleźć w kraju. Rzadki admirael van Enckhuyzen, dwa tulipany Viceroy, admirael van der Eijck, admirael

liefkens, bruyn purper i paragon schilder. Oprócz tego kilkadziesiąt innych ulubionych rodzajów.

Willem patrzył na siostry i braci siedzących obok niego w pierwszym rzędzie. Był przekonany, że w każdym razie kwota uzyskana na aukcji wystarczy, żeby kupić dom i wynająć służbę. Jedno wiedział na pewno: chciał jak najszybciej opuścić sierociniec. Potrzebował swobody działania. Jego ojciec nie zginął na próżno. Przysiągł to z ręką na sercu przy grobie ojca. On, Willem Winckel, będzie kontynuował jego dzieło.

Przestraszył się szczęku zamykanych drzwi i spojrzał za siebie. Wszyscy ludzie pochylali się nad listami. Wszyscy oprócz jednego. Siedział prosty jak świeca na krześle i patrzył zadumany przed siebie. Miał tak cienką i długą szyję, że głowa wydawała się dla niej za ciężka. Trzymał Biblię, którą mocno przyciskał do serca. Jego

usta się poruszały. Nagle spojrzał Willemowi prosto w twarz, nawet nie mrużąc oczu.

Uderzenie młotka odwróciło wszystkie twarze w stronę prowadzącego licytację. Wzrok wszystkich zebranych zaledwie prześlizgnął się po Willemie, tylko ten jeden mężczyzna patrzył na niego bez przerwy. Chłopak czuł, jak krew przestaje krążyć w jego żyłach. Oderwał od nieznajomego oczy i się odwrócił.

21

Alek spojrział na Dicka.

– Mówisz, że tysiąc sześćset trzydziesty siódmy rok?

– Tak, tysiąc sześćset trzydziesty siódmy, a co?

– Nic – odpowiedział i popatrzył na Damiana.
– Nie byłem pewien, czy dobrze usłyszałem.

W głowie kłębiły mu się różne domysły. Czy Frank, wskazując palcem datę, chciał coś powiedzieć? Może spotkało go coś podobnego? Albo zdarzyło się coś jeszcze, o czym Alek prawie nie odważał się myśleć? Czy Frank był geniuszem zła, mózgiem operacji, przez którą ludzie stracili wielkie pieniądze, i dlatego przypłacił to głową? Nie, to niemożliwe.

Alek wstał i podszedł do okna. Patrzył zamyślony przed siebie. Miał dosyć. Był wykończony i czuł, że nie posunęli się ani o krok do przodu. Jak długo mieli się jeszcze opierać na przypuszczeniach? Odwrócił się.

– Przepraszam, Dick, przykro mi, że muszę to powiedzieć, ale nie posuwamy się naprzód. Chiny, Turcja, sułtan, kwiaty, cebulki, azy, li-cytacje. Już nic z tego nie pamiętam. Wśród tych informacji nie było żadnej istotnej dla nas.

Czuł, że zaczyna go ogarniać złość, i nie mógł jej powstrzymać.

– Jaki to ma związek z Frankiem? Może mi powiecie? Nie, ja wam powiem: żadnego. Co ten głupi siedemnastowieczny handel tulipanami może mieć wspólnego z facetem twardo stąpającym po ziemi, tutaj, współcześnie? Gównu. Wiecie co, mam dosyć, i tak się niczego nie dowiemy. Niech policja się tym dalej zajmuje.

– Alek, wszystko będzie dobrze. Jestem pewien, że wreszcie odkryjemy, co Frank miał na myśli – uspokajał go Damian.

– Nic nie będzie dobrze. Straciłem Franka, był moją rodziną. Patrzcie, co za frajer ze mnie. Nawet nie umiem mu się odwdzięczyć!

Alek popatrzył na przyjaciela, Dick podążył za jego wzrokiem. Kiedy Damian potrząsnął głową, gospodarz z westchnieniem wrócił na swoje krzesło.

– Szczerze mówiąc, szkoda, że nie chcecie mi zaufać i powiedzieć, o co chodzi.

– To nie tak, Dick. Ja... jak by to powiedzieć... ja rozmawiałem z Frankiem przed jego śmiercią.

Dick otworzył usta ze zdziwienia.

– Rozmawiałeś?

– Tak, przez chwilę, bardzo cierpiał i... wtedy coś mu obiecałem i chcę dotrzymać słowa.

Dick skinął głową.

– Rozumiem, chłopcze. Dobrze, ale wiecie co, dokończę tę historię, nigdy nic nie wiadomo, prawda?

Alek pokiwał głową i usiadł na parapecie.

– Cebulki na aukcji w Alkmaar stanowiły część spadku siedmiorga dzieci, które po śmierci ojca znalazły się w sierocińcu. Ponieważ to sierociniec wystawiał towar, część uzyskanej kwoty przypadała właśnie na tę instytucję. Taki panował zwyczaj w tamtych czasach. Po dwóch emocjonujących godzinach licytacja się zakończyła. Licytator pracował w pocie czoła. Cała kolekcja została sprzedana. Przyniosła olbrzymi dochód. Macie pojęcie, ile pieniędzy zebrano? Nie? Oczywiście, że nie możecie tego wiedzieć. Poczekajcie, gdzie ja to położyłem?

Przechylił się w prawo, pogrzebał w szufladzie biurka i wyciągnął z niej zeszyt. Zaczął go zapamiętale kartkować. Zatrzymał się na jednej ze stron.

– O, mam. Zobaczcie, za jaką sumę je zlicytowano.

* * *

Licytator oficjalnie zapowiadał kolejne przedmioty aukcji. Willema rozpieęła duma, kiedy usłyszał nazwisko ojca. To on stworzył tę kolekcję. Rozpoczął handel cebulkami bez jakiegokolwiek wiedzy na ten temat. Zaczął studiować, poznał rynek i śledził go uważnie. Wiedział dokładnie, w którym momencie cena była zanizona lub zawyżona, i tak gromadził swój zbiór.

Willem słyszał plotki. W Alkmaar mówiono, że Wouter Winckel został zamordowany z powodu tulipanów, że rabusie nie mogli znaleźć kolekcji. Znał prawdę. Wiedział, jaki był prawdziwy motyw zabicia ojca. Za dochód uzyskany z tej sprzedaży mógł się zemścić na mordercach. Te pieniądze miały zasadnicze znaczenie, nie tylko dla niego i rodzeństwa, ale

i dla całego świata. O tym musiał pamiętać. Tak było. Atmosfera chciwości w sali nie powinna go rozpraszać. W końcu to wszystko przyjęło korzystny dla niego obrót.

Rozpoczęła się licytacja. Pierwszą cebulką, która poszła pod młotek, był boterman, okaz w biało-czerwone paski. Ważył pięćset sześćdziesiąt trzy azy, a sprzedano go za dwieście sześćdziesiąt trzy floreny. Drugą był scipio. Ważył osiemdziesiąt dwa azy, ale sprzedano go za czterysta florenów. Czterysta florenów! To niewiarygodne, pomyślał Willem. Nie wierzył własnym uszom. Następna, paragon van delft, ulubiona cebulka ojca, została sprzedana za sześćset pięćdziesiąt florenów.

Kiedy licytator zapowiedział kolejną cebulkę, de bruyn purper, w sali zapanowała cisza. Wielu czekało na tę chwilę, tulipan miał wyjątkowe odcienie fioletu i brązu. Willem miał wrażenie, że jego licytacja nigdy się nie skończy. W końcu

tulipan sprzedano za dwa tysiące dwadzieścia pięć florenów. Chłopak spojrzał na pryncypała sierocińca, siedzącego z błogim uśmiechem na twarzy obok podium dla licytatora.

Po godzinie zarządzono przerwę. Niespodziewanie opadło napięcie panujące w sali, ustąpiła nerwowa atmosfera wywołana ciszą podczas licytacji. Wszyscy zaczęli mówić jednocześnie. Niektórzy mężczyźni byli w dobrych nastrojach i gratulowali sobie nawzajem. Inni wyglądali na przygnębionych. Willem wstał, kiedy zobaczył, że podchodzi do niego pryncypał.

– Licytacja idzie dobrze, tego się wszakże spodziewałem. Czyż to nie wspaniałe? Ten dzień na długo pozostanie w naszej pamięci.

To akurat jest prawdą, pomyślał Willem i uprzejmie skinął głową.

Po przerwie przyszła kolej na dwie cebulki odmiany Viceroy: jedna ważyła sześćset

pięćdziesiąt osiem azów, druga czterysta dziesięć. Willem widział ich podobizny w książce, pięknie namalowane, z granatowymi smugami na płatkach. Ku jego ogromnemu zaskoczeniu pierwszą sprzedano za cztery tysiące dwieście florenów, a drugą za trzy tysiące. Najbardziej zdumiewająca była cena, którą zapłacono za dziwacznie ubarwiony tulipan odmiany Admiraal Liefkens. Cebulka ważyła niewiele, ale była tak rzadka, że sprzedano ją za tysiąc pięćnaście florenów.

Licytacja zakończyła się po dwóch godzinach. Stało się coś niewyobrażalnego. Jeszcze nigdy wcześniej w historii handlu tulipanami dochód z aukcji nie był tak wysoki.

* * *

Dick zsunął okulary na czoło.

– Potraficie sobie wyobrazić to napięcie w sali? Cebulki, jedna po drugiej, osiągały rekordowe ceny.

Podniósł brwi. Okulary opadły mu na nos, znowu pochylił się nad zeszytem.

– Tutaj wszystko jest. Wszystko się zachowało, sami popatrzcie.

Podał zeszyt Damianowi. Była tam kopia listy cen z aukcji. Strona została podzielona na dwie kolumny. Drobnym pismem w równych rzędach zanotowano wszystkie cebulki wraz z ich wagą i uzyskanymi cenami.

– Nie do wiary – wyszeptał Alek.

– Faktycznie, nie chce się wierzyć. Od tego zaczęły się problemy – ciągnął Dick. – Wysokie oferty na aukcji spowodowały podwyższenie cen wywoławczych za każdą następną cebulkę. Między licytującymi powstał niepokój. Im wyższa cena, tym bardziej pożąдали posiadania takiej cebulki.

– Jaki był ostateczny wynik? – zapytał Damian.

– Dziewięćdziesiąt tysięcy florenów. Patrz. – Dick wskazał im stronę. – Po prawej, na dole.

– Mój Boże, w przeliczeniu na dzisiejsze ceny to sześć milionów trzysta tysięcy euro! – zdumiał się Damian.

– Co najmniej. Za kilka cebulek, nie do wiary. Każda z tych sierot wróciła do domu z prawie dwunastoma tysiącami florenów. A i sierociniec nieźle na tym zarobił. Otrzymał aż dziewięć tysięcy. Dla dzieci to była, oczywiście, dobra wiadomość. W dwie godziny stały się bardzo bogate.

Dick wstał i założył ręce za siebie.

– Kilka dni po licytacji handel zaczął upadać. Specjaliści nie zgadzają się co do szczegółów tego procesu, wszystko poszło bardzo szybko, prawie z dnia na dzień. Ale lista odegrała tu

ważną rolę, jestem o tym przekonany. To ona była jedną z przyczyn kryzysu.

– Ta lista? – Damian patrzył na niego zdumiony. – Dlaczego?

– Panował zwyczaj, żeby zaraz po licytacji inwentaryzować wszystkie sprzedane cebulki i notować wysokość cen, które osiągnęły. W ten sposób handlarze orientowali się w wartości cebulek. Kilka dni po aukcji w Alkmaar lista przechodziła z rąk do rąk. Wiadomość o olbrzymich cenach błyskawicznie rozeszła się po całym kraju. Kwiaciarze i hodowcy poczuli się bogaci, bo okazało się, że ich cebulki były warte znacznie więcej, niż przypuszczali.

Dick powoli kręcił głową, opadły mu kąciki ust.

– Stało się jednak inaczej. Kwoty z listy uważano za nowe ceny sprzedaży, dlatego średnia cena cebulek wzrosła. Tulipomania rozpętała się z całą siłą. Niektóre cebulki sprzedawano po

dziesięć razy w ciągu dnia, za każdym razem za większą sumę. Część ich posiadaczy przeczuwała, że pułap został osiągnięty, i chciała się ich pozbyć jak najszybciej i po jak najwyższych cenach. Kilka dni później, podczas licytacji w Haarlemie, katastrofalny wpływ aukcji w Alkmaar na handel stał się jasny. Cebulki próbowano sprzedać w takich cenach, że prawie nic nie kupiono. Informacja rozeszła się błyskawicznie, w ciągu kilku dni wszyscy o niej wiedzieli.

– A więc wszyscy chcieli jak najszybciej pozbyć się cebulek, ponieważ mieli nadzieję na dobrą cenę.

– Otóż to, Alku. Ale im się nie udawało. Za nic nie mogli ich sprzedać. W ciągu kilku dni handel tulipanami zniknął, całkowicie ustał. – Dick patrzył zamyślony przed siebie. – Tysiąc sześćset trzydziesty siódmy rok był rokiem klęski dla spekulantów tulipanów. Ludzie stracili

kapitały, naprawdę całe kapitały. To była straszna sytuacja. Skutki okazały się katastrofalne.

Kiedy zamknęły się za nimi drzwi, Dick popatrzył przed siebie. Przygryzł dolną wargę. Oparł łokcie na biurku i ukrył twarz w dłoniach.

– To wszystko moja wina – powiedział cicho. Zapatrzył się w sufit. – Przepraszam, Frank. Gdybym wcześniej wiedział, że tak to się skończy, nigdy bym cię w to nie wciągnął.

Drżącymi palcami zapalił papierosa.

– Postaram się, żeby wszystko dobrze się skończyło. Osobiście tego dopilnuję.

22

Tara stała w drzwiach mrocznego pokoju i patrzyła na ojczyrna, który siedział skulony za stołem. Nie patrzył na nią. Pomyślała, że prawdopodobnie nawet nie usłyszał, kiedy weszła do domu.

Imponujący mężczyzna, którego poślubiła kiedyś jej matka, przez ostatnie lata stał się cieniem dawnego siebie. Zawsze był głośny i wyraźnie obecny, nie dało się go zignorować. Teraz siedział zgarbiony na krześle, z głową pochyloną nad biurkiem.

Rozpięła płaszcz i rozejrzała się wokół, patrzyła na jaśniejsze plamy na tapecie. Dawniej w tych miejscach wisały cenne obrazy. Biblioteka była wypełniona książkami tylko

w połowie. Widocznie sprzedał także część swojego księgozbioru.

Zauważyła, że w ciągu ostatnich miesięcy część przedmiotów zniknęła. Wchodząc, zobaczyła, że w holu nie ma stojącego zegara. Teraz zwróciła uwagę, że brakuje też wielkiego dziewiętnastowiecznego globusa, zajmującego zwykle róg pokoju. Postawiła torbę i podeszła do ojczyma.

– Simon?

Wzdrygnął się. Odwrócił głowę i spojrzał na nią. Uśmiech miał słaby i niepewny. Oczy przyciemnione. Siwa broda, zawsze krótko przyszyta, od dawna nie widziała nożyczek.

– Ach, Taro, witaj, moja droga, jak się masz?

– Szczerze mówiąc, niezbyt dobrze. Drzemałeś?

– Przymknąłem oczy na chwilę.

Ucałowała go w czoło. Do nosa przeniknęła woń niemytych włosów. Prawdopodobnie wstał

tak z łóżka i włożył na siebie wczorajsze ubranie. Może nawet nie spał w łóżku.

Siadła na biurku i założyła ręce na piersiach.

– Co mam robić?

– Nie wiem, kochana.

– Simon, wiesz, gdzie ona jest?

Popatrzył na nią z politowaniem.

– Gdyby Frank mi powiedział, tobyś już dawno wiedziała. Nie martw się, skarbie, o swoje badania. Naprawdę nie są zagrożone, wszystko będzie w porządku. Załatwię to.

Pochyliła się i chwyciła go za ramiona. Kości wystawały spod swetra.

– Jak to będzie dobrze? Proszę, nie traktuj mnie jak dziecka. Nic nie będzie dobrze! – Puściła go. – Co teraz? Powiedz mi. Nie mam pojęcia, od czego zacząć. Wiesz przecież, co to dla mnie znaczy. Niemożliwe, żeby nie istniał plan

B. Nigdy nie pomyśleliście, że coś takiego może się zdarzyć?

Patrzył na pasierbicę i zastanawiał się, dlaczego taka się stała. Taka egocentryczna. Naprawdę się nie domyślała, jak mu ciężko związać koniec z końcem? Dbała tylko o siebie. Opiekował się nią przez długie lata. Wychował ją. Czy to jego wina, że taka się stała? Taka zimna i bezwzględna?

Westchnął głęboko.

– Widzę, że masz ze sobą jakieś rzeczy. Zostajesz?

Skinęła głową.

– Tak, nie czuję się bezpieczna po tym, co się stało z Frankiem. Ja... ja się boję, że on coś o mnie powiedział. Nie wiedziałam, co mam robić, pomyślałam, że u ciebie będzie bezpieczniej.

– Frank nic nie powiedział.

– Skąd masz taką pewność?

Wyciągnął rękę i zapalił lampkę.

– Bo znałem go na tyle dobrze, żeby wiedzieć. Poza tym co miał powiedzieć? Dlaczego miałby podawać twoje nazwisko? Przecież nic nie wiesz.

Pokręciła głową.

– Gdybym wiedziała, to przynajmniej mogłabym coś zrobić. A tak to...

Podeszła do okna i wyjrzała na zewnątrz. Gruba warstwa liści przykryła żwir na ścieżce. Wzdrygnęła się. Kiedy się odwróciła, Simon stał obok niej. Podniósł dłoń i pogłaskał ją po policzku. Odsunęła głowę, jakby poczuła ukąszenie owada. Spojrzał na nią z z troskaniem i opuścił rękę. Nagle jego spojrzenie stało się zimne. Zrobił krok do tyłu i zapytał:

– Domyślasz się?

– Czego?

– Gdzie Frank to ukrył?

– Gdybym się domyślała, nie pytałabym cię. Dlaczego pytasz? Co masz z tą sprawą wspólnego na tym etapie? Zupełnie nic.

Zakaszła.

– Nie, zostawmy to, rzeczywiście nie tak się umawialiśmy. Masz rację. Powinniśmy to inaczej zorganizować. Powinniśmy wcześniej przewidzieć, że coś takiego może się zdarzyć, i wkalkulować ryzyko. Frank był starszym człowiekiem, mógł umrzeć śmiercią naturalną albo zginąć w wypadku na przykład.

– Jesteś pewien, że sam o tym nie pomyślał? – zapytała z nadzieją. – Może zostawił jakieś wskazówki? Może napisał coś w testamencie? To znaczy... przecież niemożliwe, że to wszystko na nic, że przestaniemy? Simon? Przecież to niemożliwe, prawda?

– Jeśli coś napisał, to najprawdopodobniej Alek coś o tym wie.

– To jest pomysł, porozmawiam z Alkiem. –
Rozejrzała się dookoła. – Co zrobiłeś z tymi
wszystkimi rzeczami?

– Sprzedałem.

– Jest aż tak źle?

Zawstydzony spuścił oczy.

– Wolę o tym nie rozmawiać. Poradzę sobie.

Tara przytaknęła w milczeniu. Miała teraz na
głowie naprawdę ważne sprawy, w każdym razie
ważniejsze niż dramatyczna sytuacja finansowa
jej ojczyma.

23

Alek i Damian szli w milczeniu wzdłuż kanału Singel. Było wczesne popołudnie, ale wydawało się, że już zapada zmrok. W większości okien mijanych domów paliło się światło. Dwoje turystów przejechało obok nich na rowerach. Nieprzyzwyczajeni, na siodełkach ustawionych za nisko, naciskali pedały jasnożółtych wypożyczonych rowerów, jadąc w kierunku łukowego mostu na kanale. Na moście zsiadli i zaczęli pchać rowery. Kiedy dotarli na najwyższy punkt, wsiedli z powrotem i popędzili naprzód. Kierowca ledwo ich wyminął, trąbiąc głośno i gwałtownie hamując.

– Muszę zajrzeć do salonu, wybrać, co zabierzemy ze sobą na targi antyków. Potem

odwiozę cię na lotnisko. Pójdiesz ze mną czy wolisz pojechać do domu? – zapytał Damian.

– Nie, pójdę z tobą. – Alek schował rękę głęboko do kieszeni.

– Co sądzisz o tej historii Dicka? Staliśmy się dzięki niej mądrzejsi?

– W każdym razie wiemy, co się stało w tysiąc sześćset trzydziestym siódmym roku.

Alek spojrzał na niego.

– Naprawdę myślisz, że zamordowanie Franka ma coś wspólnego z siedemnastowiecznym handlem tulipanami?

– No to po co pokazywał palcem tę datę? To jest jedyna wyraźna wskazówka, jaką mamy.

– Tak, ale co chciał przez to powiedzieć? Chodzi o tę aukcję? Rynek giełdowy? Niemożliwe, żeby miało to związek z handlem cebulkami tulipanów!

Damian przytaknął.

– Myślałem o alternatywach, na przykład o sztuce siedemnastowiecznej. Może to jest jakiś trop?

– Myślisz, że to może mieć związek z jego antykami? Z jakimś obrazem? Wisiał u niego obraz Jana van Goyena z tego okresu. Nie mam pojęcia, kiedy dokładnie został namalowany. Powinienem sprawdzić, czy to nie był przypadkiem rok tysiąc sześćset trzydziesty siódmy.

– Cholera, masz rację, zupełnie zapomniałem o tym obrazie.

Damian się zatrzymał. Oczy mu błyszczały.

– Wiesz, jak on skończył? Jan van Goyen? Był bardzo bogaty. Zarabiał malowaniem, ale majątek zbił głównie na handlu nieruchomościami i...

– ...tulipanami – dokończył Alek. – Cholera, to prawda, van Goyen zbankrutował. Kiedy umierał, miał tylko długi. Według mnie obraz jeszcze

228/8/0
tam jest, Tibbens zauważyłby, gdyby zniknął. Sprawdzę, kiedy wrócę do Londynu.

Szli dalej w milczeniu. Nagle Alek mocno ścisnął ramię Damiana. Patrzył jak zahipnotyzowany przed siebie i wskazywał na drugą stronę kanału, tuż za zakrętem. Damian popatrzył za palcem przyjaciela w kierunku targu kwiatowego, ale nic z tego nie rozumiał.

– Chodź. – Alek przebiegł ulicę. Wszedł pod zadaszenie pierwszego straganu i podszedł prosto do półki. Plastikowe torebki z cebulkami tulipanów wisały na metalowych haczykach. Ponad głowami dwóch japońskich turystów zerwał jedną z nich i zamachał nią przed twarzą Damiana.

Na kartoniku przyczepionym zszywkami do torebki widniał jaskrawoczerwony tulipan. Za nim aż po horyzont ciągnęły się szerokie pasma tulipanowych grządek, które zbiegały się

w jednym punkcie. Obok zdjęcia widniała fluorescencyjna naklejka z ceną: 4,50 euro.

Alek patrzył wyczekująco na Damiana, który zaskoczony wziął torebkę.

– Cebulki – powiedział Alek.

– Tak, cebulki.

– Nie rozumiesz? Zapatrzyliśmy się ślepo w tę głupią datę.

Damian patrzył na torebkę, w której widać było pięć ciemnobrązowych cebulowatych bulw. Trochę ziemi wypadło na jego dłoń przez perforowany plastik.

– Hej, Damian, obudź się. Nie pamiętasz? Oszustwa w handlu tulipanami kilka lat temu?

Spojrzał na niego.

– Cholera, masz rację, ostatnio było nawet coś na ten temat w gazecie. O jakimś funduszu inwestującym w tulipany.

Alek skinął głową i powiesił torebkę z powrotem na haczyku.

– Nawet angielskie gazety o tym pisały. Nie pamiętam dokładnie, o co chodziło. Kołacze mi się w głowie, że o jakieś oszustwa. Ludzie zainwestowali w tulipany duże pieniądze i nigdy tych pieniędzy nie odzyskali.

Damian wyjął telefon i zadzwonił.

– Emma, możesz coś dla mnie zrobić? Możesz sprawdzić w internecie, czy da się coś znaleźć o oszustwach w handlu tulipanami? To było chyba w... – Popatrzył na Alka.

– W dwa tysiące trzecim albo dwa tysiące czwartym roku.

– Chyba w dwa tysiące trzecim, ale możliwe, że w dwa tysiące czwartym roku. Tak, w Holandii. Co mówisz? Nie, będę później, idziemy do salonu. Potem wezmę samochód i odwiozę Alka na lotnisko. Tak, dobrze, do zobaczenia.

Schowwał telefon.

– Ciekawe, czy coś znajdzie.

– Musimy się jeszcze dowiedzieć, czy Frank miał z tym coś wspólnego. I w jakim charakterze. Mam nadzieję, że...

– Chyba nie myślisz, że Frank był w to zamieszany? W jaki sposób? On miałby oszukiwać?

– Nie chcę o tym myśleć. Niezależnie od tego, jak go kocham, nie możemy tego wykluczyć. Zgodzisz się ze mną, prawda?

– On nigdy by czegoś takiego nie zrobił.

– Nie Frank, którego znamy. Ale na ile go właściwie znamy? Nigdy nawet się nie zająknął o tej książce z tulipanami. Nawet Dickowi o tym nie wspomniał, inaczej sam by nam o tym powiedział. To jest unikalna książka. Coś, z czego można być dumnym. – Alek powoli pokręcił głową i popatrzył ze smutkiem. – Myślałem, że go dobrze znam, ale zaczynam w to coraz bardziej wątpić. Sam sobie to wyrzucam i zawsze będę się czuł winny z tego powodu. Zajmowałem

się tylko sobą. Nie interesowało mnie to, czym Frank żył. Gorzej, nawet o tym nie myślałem. Nigdy nie przyszło mi do głowy, żeby zapytać, jak on się czuje, co naprawdę czuje. Rozumiesz, o co mi chodzi?

Szklane drzwi London City Airport zamknęły się za nim. Alek podszedł do postoju taksówek i wsiadł do pierwszej z brzegu.

Trzy kwadransy potem stał na schodach Cadogan Place i pomyślał, że ten dom, w którym spędził większość swojego dzieciństwa, teraz nigdy nie będzie dla niego taki sam. Chciał się go jak najszybciej pozbyć. Nie powinno być z tym kłopotu. To piękny budynek, w popularnej dzielnicy, dziesięć minut spacerkiem od Harrodsa.

Do futryny ktoś przyczepił kawałek żółtego plastiku. Alek go oderwał i popatrzył na resztki taśmy. Zmiał plastik, włożył klucz do zamka i otworzył drzwi.

– Tibbens, jesteś tutaj? – zawołał.

– Tak, w gabinecie!

Alek przeszedł przez hol i wszedł do pokoju. Ściana z prawej strony była pusta. O lewą było oparte wielkie lustro, które zawsze wisiało nad kominkiem. Obok stały obrazy, które pozdejmował Tibbens. Na podłodze wzdłuż listwy leżało prześcieradło. Tibbens stał na drabinie z wałkiem do malowania w ręce. Ściekała z niej biała farba.

– Nie mogłem zmyć, chciałem skończyć, zanim przyjedziesz, żebyś nie musiał tego jeszcze raz oglądać. – Pociągnął nosem.

– Rozumiem – powiedział Alek.

Tibbens odłożył wałek. Ostrożnie zszedł z drabiny. Alek zobaczył, że całą twarz ma usianą odpryskami farby. Patrzył jeszcze smutniej niż zwykle. Powieki, kąciaki ust i głębokie zmarszczki wokół nosa i brody opadały na dół. Wyglądał, jakby postarzał się w ciągu kilku dni. Krótko przycięte włosy przysiwiały, a twarz była szara ze zmęczenia.

– Jak się masz?

– Dziękuję, jakoś sobie radzę. Jeszcze nie mogę się przyzwyczać, że go nie ma. Ciągłe mi się zdaje, że zaraz wejdzie do pokoju, żeby mnie o coś poprosić albo mi coś pokazać. A kiedy dzwoni telefon, ciągle myślę, że to on, wiesz?

Alek wiedział aż za dobrze. Tibbens ponad dwadzieścia lat był prawą ręką Franka. Co prawda nie mieszkał z nim, ale przez siedem dni w tygodniu od rana do wieczora przebywał w tym domu. Był kucharzem, kamerdynerem, szoferem, asystentem, załatwiał dla Franka wszystko, pilnował, żeby mu niczego nie brakowało. Bardzo się ze sobą związali.

– Chodź.

Wziął Tibbensa za łokieć i zaprowadził do salonu. Pokój wyglądał tak, jakby nic się nie stało. Ściany pomalowane na żółto dawały złudzenie, że świeci w nim słońce. Wokół kominka stały trzy kanapy zarzucone poduszkami.

Pośrodku, na grubym dywanie, stał mały stolik ze stosem książek i czasopism.

Tibbens usiadł, a Alek podszedł do ściany, na której Frank kazał powiesić kilka obrazów. Jedynym współczesnym dziełem był portret rodzinny. Kobieta i mężczyzna uśmiechali się, chłopczyk pośrodku był smutny. Obejmował ramionami nogi matki i przytulał do niej głowę.

Za każdym razem, kiedy Alek na niego patrzył, przychodziło mu na myśl, że być może już jako dziecko przeczuwał, że stanie się coś strasznego, że to będzie ostatnie zdjęcie jego rodziców. Frank kazał z niego zrobić obraz.

Alek prawie nic z tych czasów nie pamiętał. A co do zachowanych wspomnień, nie wiedział, czy są prawdziwe, czy sfabrykował je na podstawie fotografii i opowieści Franka.

Jego oczy ślizgały się po ścianie, aż znalazł to, czego szukał. Ujął obraz w ręce i ostrożnie zdjął.

Chmury nad holenderskimi wydmami ciężko wisały nad ziemią. Na horyzoncie wiatr wydymał żagle trzech łodzi. Tuż przy brzegu płynęła łódka. Kuliło się w niej dwóch wioślarzy, jakby nie mogli wytrzymać naporu silnego wiatru. Na pierwszym planie widniało trzech mężczyzn. Dwóch z nich siedziało naprzeciwko siebie. Trzeci leżał brzuchem w piasku, z twarzą zwróconą do pozostałych, podeszwy jego stóp były skierowane na widza. Gospodarstwo po lewej stronie płótna ocieniały gęste drzewa. Kobieta w jasnoniebieskiej spódnicy doła krowę przed chałupą.

– Co robisz?

– Chcę coś sprawdzić.

Odwrócił obraz i przeczytał tekst na pożółkłym papierku przyklepionym do deski.

Jan van Goyen,

Dutch, 1596 - 1656

Dune landscape, 1634

Na nic nam się nie przyda, pomyślał Alek. Miał cichą nadzieję, że z tyłu obrazu coś znajdzie. List, w którym Frank wszystko wyjaśni, albo przynajmniej jakieś wskazówki, cokolwiek. Powiesił obraz z powrotem i usiadł naprzeciwko Tibbensa.

– Mogłem ci powiedzieć, co tam jest napisane – odezwał się Tibbens. – To znaczy, jeśli chodzi o wartość, jeśli chcesz się dowiedzieć, ile...

Alek podniósł dłoń.

– Nie, nie, przykro mi, że sprawiłem takie wrażenie. Chciałem tylko wiedzieć, kiedy został namalowany, tak z ciekawości. – Alek przechylił się do przodu i dodał: – Muszę cię zapytać o kilka rzeczy. Proszę, żebyś mi szczerze odpowiedział.

– Oczywiście, dlaczego miałbym tego nie zrobić?

– No, na przykład po to, żeby mnie chronić.

– Co masz na myśli?

– Kiedy byłem w Scotland Yardzie, pytali mnie, czy Frank nie spotykał się z przypadkowymi osobami. Chodziło im o to, czy nie przyprowadzał do domu ludzi z ulicy albo z jakichś innych miejsc.

– Mogę z ręką na sercu powiedzieć, że nigdy nie robił takich rzeczy – przerwał mu Tibbens. Spojrzał na gruby dywan. Niespokojnie poruszał stopami w tę i z powrotem. Czubkiem buta rozgarniał długie włoski.

– Umówiliśmy się, że będziesz ze mną szczery.

– Nie chronię cię, po prostu nie chcę, żeby jego imię było splamione.

– Nie musisz już chronić Franka. A zresztą kto się o tym dowie? Nie będę przecież nikomu opowiadał.

Tibbens spojrział na niego. Prawą pięść trzymał przy ustach, a brwi mocno zmarszczył.

– Tibbens, nie ufasz mi?

Oderwał rękę od ust.

– No dobrze, dobrze. Dawniej, za młodu, czasami tak robił. No i co z tego? To nie było zabronione.

Alek się nie zdziwił. Wiele lat temu wrócił do domu w środku nocy i zobaczył młodego mężczyznę wymykającego się z sypialni Franka. Skinęli sobie głowami. Nigdy Franka o to nie pytał. To nie była jego sprawa.

– Ostatni raz przyprowadził kogoś do domu jakieś dziesięć lat temu albo jeszcze dawniej – ciągnął Tibbens. – Potem już go to nie interesowało. Ten czas minął. To nie mogło być to. Policja też mnie o to pytała. Chcieli wiedzieć, kogo znał, do kogo dzwonił i z kim korespondował.

– Co powiedziałaś?

– Powiedziałem to, co wiedziałem, to znaczy to, co chciałem powiedzieć, bo oni nie muszą wiedzieć wszystkiego. O chłopcach nic nie mówiłem. Wiesz, jak to jest. Zanim się zorientujesz, we wszystkich gazetach i czasopismach będą plotki o jego życiu. Jak myślisz, skąd ci dziennikarze czerpią wiadomości? Mają swoje kontakty w policji. A to była prywatna sprawa Franka i taką pozostanie. I tutaj też – dodał, wskazując na swoją głowę.

Tibbens wstał i wyszedł z pokoju. Kiedy Alek się podniósł, żeby pójść za nim, już wracał. Trzymał w rękach pudełko.

– Weź to, tu jest jego prywatna korespondencja, a przynajmniej jej część. Reszta leży w innych pudełkach. – Postawił karton i wskazał kciukiem hol. – Przygotowałem je dla ciebie.

– Co mam z tym zrobić?

– Nie wiem. Jedyne, co na ten temat powiedział, to: „Jeśli mi się coś stanie, to przekaż to

Alkowi”. Już jakiś czas temu prosił, żebym przechowywał to w swoim domu. Co miesiąc dawał mi nowy stos i dodawałem go do poprzednich. Teraz to wszystko jest twoje.

– Policja?

– Nie pytali o to, więc nic im nie powiedziałem.

– No to zrobiliśmy to samo – mruknął Alek. Podniósł wieczko. Pudełko było wypełnione papierami.

– Ja też nie powiedziałem wszystkiego policji, obiecałem mu to.

– Obiecałeś? Co to znaczy? Rozmawiałeś z nim? Kiedy?

– Kiedy go znalazłem.

Tibbens patrzył na niego z niedowierzaniem.

– Chyba nie chcesz mi powiedzieć, że jeszcze ci coś powiedział?

– Tak, to znaczy poprosił mnie o coś.

– O co? O co cię poprosił? – Tibbens się podniósł i stał przed nim, zacierając ręce.

– Później, kiedy dochodzenie się skończy, kiedy złapią sprawcę, nie teraz.

– Alku, może ja mogę pomóc. – Jego głos zaczął drżeć. – Znałem go lepiej niż on sam siebie. Znałem go na wylot.

– Wiem, i możesz pomóc. Czy zdarzyło się kiedykolwiek coś dziwnego? Czy zauważyłeś, że Frank ma przed tobą jakieś tajemnice?

– Coś dziwnego? O co ci chodzi?

– Przepraszam, ale nie wiem dokładnie, czego szukam. Ale jaka, na przykład, była jego sytuacja finansowa? Miał jakieś długi?

– Nie wiem, w każdym razie ja nic nie zauważyłem. Dowiemy się, kiedy pójdziemy do notariusza. Hm, coś dziwnego, powiadasz? – Popatrzył przed siebie. – Nie, według mnie nic, poczekaj, może coś mam, ale nie wiem, czy to

jest ważne. Dwa razy do roku wyjeżdżał na długi weekend.

– Ale w tym nie ma przecież nic dziwnego, prawda?

– Nie, oczywiście, że nie, ale jeździł sam. Wiesz, że wszędzie mnie ze sobą zabierał. Kiedyś go spytałem, co tam właściwie robi, ale nie chciał powiedzieć. Mówił: „Jadę po prostu odpocząć”. Ale to nieprawda, to nie było w jego stylu, nigdy nie jeździł „po prostu odpocząć”. Każdy wyjazd miał jakiś cel. – Tibbens pokiwał głową. – Tak, te podróże były troszeczkę tajemnicze. Myślałem nawet, że ma tam jakiegoś kochanka, ale przecież by mi powiedział.

– Zawsze jeździł w to samo miejsce?

– Tak, nad jezioro Como.

– Co w tym tajemniczego? Bywaliśmy tam często. Dlaczego nie mogłeś z nim jechać? Ile razy się to zdarzyło?

– Razem chyba z sześć razy.

– A więc od dwa tysiące drugiego roku?

– Zgadza się. Może to naprawdę nie ma żadnego znaczenia, może rzeczywiście chciał odpocząć.

– Dziwne – powiedział Alek.

– Tak. No to co, idziemy? – Tibbens spojrział na zegarek. – Za pół godziny mamy być u notariusza.

– Jeszcze jedno. Wiesz, czy Frank inwestował w tulipany, miał do czynienia z handlem tulipanami?

– Handel tulipanami? Co też ci przychodzi do głowy?

Alkmaar, 5 lutego 1637

Willem przeciskał się przez tłum ludzi. Wysunął łokcie i rozpychał wszystkich na boki. Świeże powietrze, pomyślał, potrzebuję świeżego powietrza, już nie mogę oddychać.

W końcu, po czasie, który wydawał się wiecznością, znalazł się przy portalu gospody De Nieuwe Schuttersdoelen. Wziął wdech i poczuł zimne powietrze płynące przez płuca, tak zimne, że aż zaboląło. Kaszlnął. Rozejrzał się szybko dookoła i ruszył ulicą Doelenstraat. Wszedł w pierwszy zaułek i oparł się o mur. Oddech brzmiał dziwnie, świszczął jak pisklę wołające matkę. Chłopak odwrócił się do ściany i oparł czoło o kamienie. Zimno przeniknęło przez skórę i przyniosło ochłodę, której potrzebował.

Mdłości powoli przeszły. Położył dłonie płasko na murze, odwrócił głowę i cicho wyszeptał: „Wszystko załatwione, wszystko będzie z nami dobrze. Nie martw się”.

Wiedział, że ojciec nie wierzył w niebo ani w życie po śmierci. On też nie, ale mimo wszystko... Musiał to powiedzieć. To był jedyny sposób, jaki mu przyszedł do głowy. Nagle krzyknął.

– Spokojnie, chłopcze, spokojnie. Co się stało?

– Zmartwiony Korneliusz patrzył na niego, trzymając go za ramię.

– Ach, to pan. Wybaczcie moje zachowanie. Nie chciałem krzyczeć.

– Nie, nie, to moja wina, powinienem cię zostawić w spokoju, nie chciałem przestraszyć. Chodź, może pójdziemy razem?

Willem ruszył posłusznie z Korneliuszem na miejsce aukcji.

– Powiedziałem mu, żeby się o nas nie martwił
– wyznał.

– Słyszałem, że rozmawiasz z Bogiem – odparł Korneliusz. Wyciągnął rękę i poklepał Willema po plecach. – Bardzo dobrze, chłopcze, bardzo dobrze. On ci pomoże, wesprze w trudnych czasach, które przyjdą. Jeśli mu zaufasz, to wszystko dobrze się skończy.

Willem chciał odpowiedzieć, że nie rozmawiał z Bogiem, ale z ojcem. Że wcale nie potrzebuje Boga, bo wierzy w siebie, w miłość, w siłę natury i ludzkości. Chciał powiedzieć, że Bóg nie istnieje, a przynajmniej nie w takiej postaci, w jakiej większość go sobie wyobraża, że ojciec chciał to udowodnić. I że on, Willem Winckel, będzie kontynuował jego pracę.

Ale nic nie powiedział.

25

Damian podszedł do żony i ucałował ją w czoło. Położył ręce na jej ramionach i spojrzał na ekran komputera. Przewijała stronę gazety. Emma odwróciła do niego twarz i położyła dłoń w jego dłoni.

– Doszliście do porozumienia? – zapytała.

– W czym, w sprawie Franka?

– Nie, mam na myśli to, co zabierzecie na targi antyków, na stoisko.

– A, o to ci chodzi. Tak. Zbudujemy coś w rodzaju angielskiej biblioteki.

– Dobry pomysł. Czy Dick powiedział wam coś interesującego?

– Opowiedział nam wiele interesujących rzeczy, tylko one nam się na nic nie przydadzą. Opisał nam historię powstania i upadku handlu

tulipanami. Ale nie potrafię znaleźć związku między tymi wydarzeniami a sprawą Franka.

Wskazała na mały stos wydruków obok monitora.

– Mieliście rację. W dwa tysiące trzecim roku dopuszczono się wielomilionowej malwersacji związanej z handlem tulipanami. Gazety nazwały ją aferą tulipanową.

Przyciągnął krzesło i usiadł obok niej.

– A co, uważacie, że Frank był z tym związany?

– Być może. W tysiąc sześćset trzydziestym siódmym roku – a ten rok wskazywał Frank – załamał się handel tulipanami. Ludzie, którzy zainwestowali w cebulki, stracili wtedy wszystkie pieniądze.

– I uważasz, że Frank chciał przez to powiedzieć, że był związany z aferą tulipanową?

– To jedna z możliwości.

– Pytanie tylko, jak to zweryfikujemy. Mało wiadomo o poszkodowanych, przynajmniej ja nie mogę nic o nich znaleźć. Wiem tylko, że było ich wielu.

– Ilu?

– Według tych informacji było w to zamieszanych około dwustu prywatnych inwestorów. Rozumiem, że wolą pozostać anonimowi, też bym wołała. To wszystko jest bardzo bolesne.

– Naprawdę skutki były takie straszne?

– Naprawdę – odpowiedziała, szperając w stosie papierów. Wyciągnęła jakąś kartkę. – Tutaj podają, że łączne straty wynoszą trzydzieści dwa miliony euro.

Damian cicho zagwizdał.

– Trzydzieści dwa miliony euro? I gdzie one się podziały?

– Oto jest pytanie, nikt tego nie wie. Po prostu zniknęły. Zostały zainwestowane w jakiś fundusz. Nikt dokładnie nie wie, co się z nimi

stało. Z tego, co zrozumiałam, te pieniądze miały być przeznaczone na wyhodowanie nowych odmian tulipanów. Potrzeba na to bardzo dużo pieniędzy, koszty są olbrzymie. Podobno hodowcy bez przerwy szukają partnerów chcących sfinansować takie przedsięwzięcie. Wprowadzenie nowej odmiany na rynek pozwala nieźle zarobić.

– A co inwestorzy mieli otrzymać w zamian?

– W broszurze funduszu napisano, że mają szansę na dwadzieścia pięć procent zysku, i to w ciągu roku.

– Brzmi zbyt pięknie, żeby było prawdziwe.

– No i nie było. Teraz wytykają się palcami i oskarżają wzajemnie. Fundusz twierdzi, że hodowcy sami gdzieś sprzeniewierzyli pieniądze, które od nich dostali. Byli już nawet chętni na te tulipany. Tulipany, które jeszcze nie istniały.

Historia lubi się powtarzać, pomyślał Damian.

– Niewiarygodne, co? Kupowali coś, co istniało tylko na papierze. A więc tak: fundusz

oskarża hodowców. Hodowcy z kolei oskarżają fundusz. Mówią, że założyciele funduszu przekazali pieniądze zagranicznym bankom. Kolejna strona konfliktu to bank, który udzielał pożyczek członkom funduszu, żeby mogli w niego zainwestować. Inwestorzy uważają, że bank powinien ich lepiej poinformować. Podobno w ciągu roku nie można wyhodować nowej odmiany tulipana. A więc założenie, że przez rok zarobią dwadzieścia pięć procent wartości kapitału, było bardzo optymistyczne. Ostatecznie inwestorzy nie zobaczyli nawet centa z zainwestowanych pieniędzy.

– Pytanie, jaką rolę odgrywał w tym wszystkim Frank – zastanawiał się Damian. – Może w to zainwestował i wszystko stracił.

– To znaczy, że miał wobec kogoś długi?

– Coś w tym stylu. I mógł się przez to znaleźć w trudnej sytuacji.

– Damian – zaczęła ostrożnie Emma. – Ale wiesz, że mogło być jeszcze inaczej?

– Jak?

Usiadła prosto i bujała się na krześle.

– Mogło być odwrotnie.

– Jak to odwrotnie?

– No, może to Frank sprzeniewierzył te pieniądze. Może w ten sposób był w to zaangażowany.

Damian wstał i odsunął krzesło. Popatrzył na nią, marszcząc brwi.

– Co wam przychodzi do głowy?

– Nam?

– No wam, Alek już coś takiego sugerował. Nie rozumiem was. Nie rozumiem, jak możecie tak myśleć o Franku. Co wam się stało? Skąd ta nieufność?

– Ja chcę tylko powiedzieć, że nie można tego wykluczyć. Widocznie Alek też tak uważa,

choć dla niego jest to pewnie dużo trudniejsze. W końcu to był jego stryj.

– Nie zapominaj, że ja go znałem prawie całe życie. Chyba wiesz, ile wspólnie przeżyliśmy, ile czasu spędziliśmy razem – odwarknął. – A później doszła ta cała sprawa z Alkiem, kiedy przebywał w klinice, pamiętasz? Razem z Frankiem musieliśmy go wnosić jak worek soli. A potem, kiedy trzeba go było pilnować? Kiedy Frank musiał kontrolować każdy krok Alka? Zapewniam cię, Em, że w takich sytuacjach dobrze się człowieka poznaje.

Spojrzała na niego ze złością.

– Wiem o tym doskonale. Znałam go tyle lat co ty, może zapomniałeś? – Załamał jej się głos. – Uwielbiałam tego człowieka. – Westchnęła głęboko i powiedziała: – Ale to nie o to chodzi, Damian, nie o to. Chodzi o...

– Właśnie że o to chodzi – prychnął Damian. – Jak możesz nie wierzyć człowiekowi, którego tak dobrze znasz?

– To, że się kogoś długo zna, nie znaczy, że zna się go bardzo dobrze.

– Masz jeszcze więcej takich frazesów w zapasie? Co?

Nie zareagowała, patrzyła w ekran komputera. Przewijała stronę, a dłoń leżąca na myszce drżała.

Damian odwrócił się i położył ręce na poręczach fotela. Popatrzył na nią i dodał:

– Poczekaj. O kim ty właściwie mówisz? O Franku? Czy o sobie? Co?

Odwróciła wzrok. Zaklął i puścił fotel. Nagle zdała sobie sprawę, że on to zawsze wiedział, zawsze przyjmował jako coś nieuniknionego, nieodwracalnego. Mimo to wybrał ją, chociaż miał świadomość, że zdradziła go z najlepszym przyjacielem. Powinna się stuknąć w głowę. Była

chyba ślepa, dała się uwieść czemuś, czego i tak nie mogła dostać. Czyżby dlatego chciała podbić serce Alka? Dlatego że wiedziała, że i tak jej się nie uda? Czy chodziło o wyzwanie? Czy chciała go po prostu mieć? Bardzo dobrze wiedziała, że zwariowaliby ze sobą, gdyby mieli razem żyć. Nie mogło być mowy o związku, chodziło tylko o emocje. Chyba oszalała.

Emma odwróciła się do niego i otworzyła usta, żeby coś powiedzieć, ale Damian wyszedł z pokoju.

26

Tara wlokła się po schodach. Była wykończona, czuła się pusta. Cała energia, którą przez ostatnie miesiące wkładała w swoją pracę, wydawała się znikać z dnia na dzień. Stało się coś niewyobrażalnego.

Głupie było to, że przeczuwała, że coś się stanie. Uświadomiła to sobie teraz, patrząc wstecz. Zaczęła się martwić, odkąd Frank oświadczył, że przekaże jej cebulkę w ostatnim momencie, kiedy wszystko będzie gotowe. Nie dlatego, żeby się obawiała, że Frank zmieni zdanie. Nie, on miał tylko jeden cel. Tak jak ona. Nie szkodzi, że ich cele nie były takie same.

Gdzie Frank ukrył tę cebulkę? Pytała go o to jeszcze kilka miesięcy temu, ale nie chciał nic zdradzić.

– Tak będzie bezpieczniej, najlepiej, żebym był jedyną osobą, która to wie – powiedział.

– A jeśli coś ci się stanie? – zapytała jeszcze.

– To sama się znajdzie.

Niestety, nie znalazła się. Tara miała tylko nadzieję, że Frankowi wystarczyło przytomności umysłu, żeby zdeponować ją w sejfie albo w jakimś innym bezpiecznym miejscu.

Weszła do łazienki i odkręciła krany w wannie. Pamiętała, jakby to było wczoraj. Simon i Frank przedstawili jej cały plan i patrzyli na nią wyczekująco. Z okrzykiem radości rzuciła im się w ramiona i przytuliła do siebie. Serce biło jak szalone.

Wszystko zaczęło się układać. Każdy wybór, którego dokonała w życiu, każda decyzja, postawione sobie priorytety – wszystko ułożyło się w spójną całość. Również to, co ją ominęło. Chłopcy, których nigdy nie miała, zaproszenia,

których nie wykorzystwała, wakacje, na które nie pojechała. Wszystko było tego warte.

Do tamtego dnia. Teraz zaczęła mocno wątpić, a wątpliwości były jej najmniej potrzebne.

Rozebrała się i weszła do gorącej wody. Zanurzyła głowę i wypuszczała bąbelki powietrza, które łaskotały ją w uszy. Odsunęła włosy do tyłu i zamknęła oczy.

Nie tylko ona się przez to zmieniła. Simon też. Wydawało się, że od chwili, kiedy plan zaczął wchodzić w życie, prześladował go pech. Wpadł w tarapaty finansowe i zaczął podupadać na zdrowiu. Była pewna, że ma więcej zgryzot. Simon już miewał kłopoty finansowe, uważał, że to nieuniknione przy prowadzeniu interesów. Zawsze udawało mu się z tych kłopotów wydobyć. Tym razem było inaczej. Widocznie nie potrafił wyjść z dołka, który sam sobie wykopał.

Jej mózg, zamiast się odprężyć, pracował na pełnych obrotach. Wyszła z wanny i owinęła się ręcznikiem.

Może Simon miał rację i Alek rzeczywiście wiedział więcej. Powinna się jak najszybciej o tym przekonać. Zanim będzie za późno.

27

Na dole było szaro i dżdżysto. Tutaj, na górze, słońce grzało go w twarz. Zamknął oczy i rozkoszował się promieniami ogrzewającymi skórę.

Damian przysłał samolot, żeby przywieźć go do Amsterdamu. Kiedy Alek przyjechał do City Airport, wszystko było gotowe do podróży. W towarzystwie dwóch pilotów szedł mokrym asfaltem w kierunku eleganckiej maszyny. Dziesięć minut po tym, jak Alek usadowił się w skórzanym fotelu, szybowali przez warstwę niskich chmur w kierunku słońca. Z kokpitu dochodziły ściszone głosy pilotów.

Otworzył oczy i prawie natychmiast je zamknął. Niebo było tak błękitne, że aż szczypało w oczy. Alek rozparł się na siedzeniu

i myślał o rozmowie, którą przeprowadził z notariuszem.

Dokumenty leżały przygotowane na mahoniowym stole. Po przeczytaniu testamentu Franka obaj z Tibbensem spojrzeli na siebie zaskoczeni.

– Czy panów to zaskoczyło?

– Nie wiedziałem, że przykładał do tego taką wagę. Nie zdziwiłbym się, gdyby przeznaczył większą część majątku na ochronę zwierząt. Ale nauka?

– Pomyślałem dokładnie to samo – dodał Tibbens. – Nie wiedziałem, że się tym tak bardzo zajmował.

Kiedy Alek zapytał notariusza, czy Frank inwestował kiedykolwiek w tulipany, ten odpowiedział, że Frank sprzedał wszystkie swoje udziały dawno temu, bo wolał trzymać pieniądze w banku na wysoki procent niż spekulować na giełdzie.

Alek usiadł prosto i popatrzył na wiszący przed nim monitor. Za parę minut wylądują. Wyciągnął nogi i spojrzał na czubki butów. Frank i nauka? Nic z tego nie rozumiał. Notariusz obiecał przysłać mu listę instytucji wymienionych w testamentcie. Czy były między nimi organizacje pracujące nad środkami dla narkomanów lub coś takiego? Może to miało coś wspólnego z nim, może chodziło o jakieś kliniki podobne do tej, w której on sam przebywał?

Wracał myślami do tamtej nocy, kiedy w czasie jednej z szalonych imprez Damian zastał go w łazience, z nosem w kokainie, którą przygotował gospodarz. Kilka dni potem Alek przyznał, że codziennie ją zażywa, żeby, jak się wyraził, „zaczerpnąć inspiracji”.

Frank i Damian stawali na głowie, żeby go przekonać, że musi iść do kliniki na kurację odwykową. Zabrali go stamtąd pół roku później.

Był czysty i pozostał czysty. Frank był bardzo wdzięczny klinice, więc Alek nie zdziwiłby się, gdyby zostawił jej jakąś pokaźną sumę.

Pilot odwrócił się i krzyknął, że lądują. Alek zapiął pasy i wyjrzał przez okno. Słońce zniknęło, lecieli teraz w chmurach. Kropelki wody pełzały po szybie jak owady. Przełykał ślinę, żeby pokonać ciśnienie w uszach. Kiedy wyłonili się z chmur, zobaczył pod sobą Amsterdam. Latarnie uliczne w centrum tworzyły wzdłuż kanałów łuki, coraz mniejsze kręgi światła, jak łuski cebuli. Za każdym razem cieszył się tym wyjątkowym obrazem, widokiem pięknego, wielowiekowego miasta leżącego u jego stóp.

Co mnie właściwie powstrzymuje przed zamieszkaniem w Holandii, zastanawiał się, patrząc na te wszystkie światelka. Nie, może jednak lepiej zostać w Anglii. Zawsze, kiedy ją widział, nie, kiedy widział ich razem, miał poczucie winy. Jakoś szło, kiedy rozmawiał z Damianem przez

telefon, ale kiedy się z nim spotykał i patrzył mu prosto w oczy...

Przez ostatnie lata nieczęsto się kontaktowali, zmieniła to śmierć Franka. Zbliżyli się do siebie. Miał świadomość, że musi wszystko wyznać Damianowi, powiedzieć mu, że zdradził go, idąc z Emmą do łóżka. Ta jedna noc trzy lata temu wszystko zmieniła. Relacje z Emmą stały się wymuszone i naznaczone poczuciem winy. Czuli się wyraźnie skrępowani swoim towarzystwem. Niemożliwe, żeby Damian tego nie zauważył. Ale nigdy nic na ten temat nie powiedział.

Koła lekko uderzyły o pas startowy. Pilot z całej siły nacisnął hamulce i powoli zaczęli podjeżdżać do innych prywatnych samolotów stojących porządnie obok siebie.

– Co ty ze sobą zabrałeś? – zdumiał się Damian czekający na niego w niewielkim holu. Patrzył na wielką walizkę Alka.

– Korespondencję Franka.

– Korespondencję?

– Tak, nie wiem, co się tam kryje, jeszcze nie przeglądałem. Frank prosił Tibbensa, żeby zachował dla mnie część listów. Nie mam pojęcia dlaczego. Zabrałem wszystko. Trzeba się przez nie przekopać, bo Frank musiał mieć powód, żeby to zostawić. Po prostu musi tu być coś, co naprowadzi nas na ślad.

– Miejmy nadzieję.

W samochodzie Damian opowiedział mu, czego Emma dowiedziała się na temat afery tulipanowej. Alek zamyślił się na chwilę i powiedział:

– A co zrobimy, jeśli Frank był zaangażowany w ten skandal?

– W jaki sposób? Po stronie dobrych, tych, którzy inwestowali i nie wiedzieli, że zostaną oszukani, czy...

– ...był tym, który te pieniądze sprzeniewierzył. To chciałeś powiedzieć?

– Tak, chyba tak. – Alek patrzył zamyślony przed siebie. – Jak mówiłeś? Ile pieniędzy zniknęło?

– Trzydzieści dwa miliony.

– Jeśli je sprzeniewierzył, to w każdym razie ich nie ma, przerzucił gdzieś. Nie ma ich. W jego testamencie nie występują takie sumy.

Z jednej strony Damian poczuł ulgę, ale z drugiej ta kwota mogła być, oczywiście, przeznaczona na coś innego. Frank byłby idiotą, gdyby przechowywał te pieniądze u siebie. Może miał gdzieś jakąś firmę i trzymał je na koncie na Kajmanach czy coś w tym stylu. Dało się tę kwotę ukryć na wiele sposobów.

– Nie. – Alek pokręcił głową. – To po prostu niemożliwe, to do niego nie pasuje. Wiesz, co było w jego testamencie? Połowę majątku przeznaczył na naukę.

- Co? Nie wiedziałem, że się nią interesowałam.
 - Ja też nie. Naprawdę dziwne.
 - Duża kwota?
 - Dwadzieścia milionów funtów.
 - No to niezła suma.
 - Notariusz powiedział, że Frank zmienił testament kilka lat temu.
 - Dlaczego wybrał właśnie naukę?
 - Tego właśnie muszę się dowiedzieć. Nawiasem mówiąc, pytałem Tibbensa, czy nie miał wrażenia, że Frank coś przed nim ukrywał. Jedyne, co mu przyszło do głowy, to to, że przez ostatnie trzy lata wyjeżdżał dwa razy w roku na długi weekend. Nie wiedział z kim i dlaczego.
 - Dokąd?
 - Nad jezioro Como.
- Damian podniósł brwi.
- Do hotelu, do którego kiedyś często jeździliśmy?

Alek skinął głową.

Coetzer stał w rozkroku na brzegu i patrzył wzwyż. Za nim szybko płynęła Tamiza. Poły płaszcz wiatr zawiewał w prawo, jakby popychała je jakaś niewidoczna siła. Jeszcze trochę i będzie mógł pojechać do domu, pomyślał, z powrotem do ciepłej Południowej Afryki. Drżąc z zimna, zapiął płaszcz, rozejrzał się wokół i przeszedł przez ulicę.

Numer Alka Schoellera znalazł po prostu w książce telefonicznej. Nawet gdyby nie znał dokładnego adresu, poznałby od razu, że tutaj mieszka. Jego dom wyróżniał się w rzędzie wysokich budynków z czerwonej cegły – maleńkie okienka na poddaszu zostały w nim zastąpione wielkim oknem na całą szerokość elewacji.

Coetzer podszedł do wejścia i nacisnął dzwonek. Z oddali usłyszał szum. Przyłożył ucho do drzwi. Nic. Zadzwoił jeszcze raz. Nikogo. Kiedy włożył rękę do kieszeni, żeby wyjąć z niej potrzebne narzędzie, usłyszał, że ktoś się zbliża.

Kobieta miała na sobie błękitny szlafrok. Nitki podniszczonego frotté zwisały z rękawów. Jasnoniebieski cień zebrał się w zmarszczkach na powiekach, grudki maskary sklejały rzęsy. Piesek rasy szpic, którego trzymała pod pachą, warczał i patrzył na niego podejrzliwie.

– Pan do pana Schoellera, jak sądzę?

Odgarnęła kosmyk włosów, który wymknął się z fryzury przypominającej watę cukrową. Szminka wypełniała zmarszczki wokół ust. Silny cockneyowski akcent próbowała zamaskować, używając jak najbardziej wyszukanych słów.

– Tak, proszę pani. Czy jest w domu?

– W tej chwili jest nieobecny, minął się pan z nim. Jak pana godność? Przekażę, że pan tutaj był.

– Och, co za pech, przychodzę w imieniu galerii, żeby zabrać obraz. Czy pan Schoeller coś o tym mówił?

– Nie, proszę pana, nic na ten temat nie wspominał, nie mogę więc panu pomóc. Może pan wróci, kiedy będzie... yyy... obecny. Do widzenia.

Udało mu się włożyć stopę w drzwi. Kiedy uderzył ręką we framugę, poczuł gorący oddech pieska, który ujadając, usiłował chwycić go za palec. Cholerne zwierzę.

– Proszę pani, proszę chwileczkę zaczekać, ja do niego zadzwonię.

Powolnym ruchem otworzyła drzwi szerzej.

– Obraz powinien być przygotowany, muszę go tylko zabrać. Gdyby pani mogła chwilkę poczekać, to zadzwoniłbym od razu.

Kiedy wybierał numer, obejrzała go od stóp do głów, przyciskając pieska do piersi jak dzbanek.

– Alek, halo, tu Jack – mówił Coetzer, słuchając swojej poczty głosowej. – Tak, stoję przed twoim domem. Och, zapomniałeś. Tak myśleliśmy, ale musimy go mieć teraz. Co? Tak, ta pani stoi tu przede mną. Okej, dobrze, zgodzi się, w porządku, do zobaczenia, cześć.

W momencie kiedy miała wziąć od niego telefon, włożył go do kieszeni kurtki.

– Chciałabym go sama zapytać, proszę pana – powiedziała poirytowana. – Nie wpuszczam byle kogo do środka.

– Och, bardzo mi przykro, ale on się bardzo spieszył. W każdym razie słyszała pani przecież, że mogę zabrać obraz. Powiedział, że może mnie pani wpuścić.

– Klucz mam, ponieważ pod jego nieobecność zawsze opiekuję się jego kotem.

– Długo go nie będzie?

– Tydzień. Poleciał dzisiaj do Holandii, do przyjaciół. Straszna historia z tym jego stryjkiem.

– Tak, to prawda, straszna.

– Ten człowiek został zamordowany, wiedział pan? W straszny sposób zamordowany. Głowa była prawie odcięta. Mówią, że został okradziony ze wszystkiego, cały dom opróżnili. Już nigdzie nie jesteśmy bezpieczni, nawet we własnym domu. Okropny świat.

– Tak, słyszałem, to rzeczywiście straszne.

Nie zauważyła cynizmu w jego głosie.

– Ale na szczęście mam Szekspira, co, pieseczku?

Ucałowała psa. Na puchatej sierści został pomarańczowy ślad. Kiedy podniosła wzrok, Coetzer zauważył kilka włosów przyklejonych do jej ust. Paskudna suka.

– No to niech pan wchodzi do środka, pójdę z panem na górę.

– O, to bardzo miło z pani strony, ale nie trzeba. Znam drogę.

Spojrzała z zamyśleniem na strome schody.

– No dobrze.

Z kieszeni szlafroka wyjęła pęk kluczy i podała mu jeden, z brudną różową wstążką.

– Tutaj, proszę, przyniesie mi pan potem? Proszę zapukać – powiedziała, wskazując drzwi.

– I proszę nie robić bałaganu, dopiero co posprzątałam, żeby pan Schoeller mógł wrócić do miłego, czystego mieszkania. Co za rozgardiasz tam był! Ubrania porozrzucone wszędzie, a lodówka...

– Zaraz wrócę – przerwał jej. – Tylko zabiorę obraz i już mnie nie ma.

Wszedł na górę, otworzył drzwi i poczuł, że coś łąsi się do jego łydki. Odruchowo usunął nogę. Kot z miauczeniem przeszedł obok i usiadł jakiś metr od niego. Żółte oczy obserwowały go uważnie. Zbliżył się do zwierzaka i kopnął go,

przechodząc. Kot uciekł z wrzaskiem z holu i wbiegł do salonu.

Ściany były białe i puste, tylko na jednej z nich wisiał duży obraz abstrakcyjny. Na grubym beżowym dywanie ustawiono dwa kwadratowe fotele. Skórzane poduszki wystawały z chromowych ram. Wzdłuż ściany stała komoda ze sprzętem audio i stosami płyt kompaktowych, a w tylnej części pomieszczenia – stół, na którym leżały sterty papierów, dokumenty i gazety, obok duży niebieski fajansowy półmisek z Delft pełen piór, paragonów, spinaczy, kluczy i innych drobiazgów. Pośrodku pokoju Coetzer zobaczył schody. Wszedł na górę, kot podążył za nim.

W pomieszczeniu silnie pachniało farbami. Sterty płócien stały oparte o ściany. Na ścianie wisiał jakiś niedokończony obraz.

Tylko tło, wielka jasnoniebieska plama, było skończone. Na stole pośrodku pracowni piętrzyły się pędzle, na wpół puste tuby i słoiki farb. Na

pierwszy rzut oka dało się poznać, że sąsiadka z dołu nie ma prawa tu wchodzić.

Systematyczne przeszukiwanie całego pomieszczenia zaczął od lewego rogu. Kiedy skończył, podszedł do płócien opartych o ścianę i oglądał je po kolei. Ostatnie było tak małe, że musiał się po nie schylić. Trzymając obraz w rękach, wytarł z niego kurz. Leżała na sofie, trzymając ręce luźno nad głową. Zielone oczy patrzyły na niego z miłością, aż się wzruszył. Odwrócił płótno. Z tyłu namazano ołówkiem: Emma. Nagle sobie przypomniał, gdzie widział ją wcześniej: na zdjęciu w gabinecie gospodarza, na pianinie. Tam miała na sobie suknię ślubną. Ale mężczyzna, który stał obok niej, wcale nie przypominał Schoellera.

Włożył obraz pod pachę i zszedł po schodach. W podobny sposób przeszukał salon. Wszystko podnosił i odwracał. Potem usiadł przy stole i przysunął do siebie stertę papierów. Kiedy

przeglądał po kolei gazety, usłyszał wołanie z dołu:

– Halo, proszę pana, jest tam pan?

Cholerna wiedźma. Wstał i podszedł do drzwi.

– Tak, proszę pani, o co chodzi?

– Co pan tam robi? – krzyczała do góry. – Długo pan nie wraca. I proszę nie robić bałaganu.

– Trudno znaleźć, cały czas szukam.

– Mam pomóc?

– Nie, naprawdę nie trzeba, dam sobie radę.

Usłyszał trzask zamykanych drzwi i wrócił do stołu. Na wierzchu ostatniej sterty leżała gazeta. Była rozłożona na stronie z wiadomością o śmierci Franka. Na marginesie Alek namalował jakieś abstrakcyjne figury. Jedna z nich przypominała muszlę ślimaka. W środku miniaturowe, zapisane odręcznie cyfry: 1637. Znak zapytania za nimi był gruby, długopis prawie przebił papier.

Pod spodem widniało słowo „tulipany”, także zakończone znakiem zapytania.

Wiedział dosyć. Wziął obraz i zszedł na dół. Zapukał, drzwi otworzyły się natychmiast.

– A, znalazł pan, jak widzę – powiedziała kobieta, patrząc na obraz, który trzymał pod pachą. Piesek usiłował uciec z mieszkania. Wyćwiczonym ruchem zagrodziła mu drogę, utknął między framugą drzwi a jej mięsistą łydką. Coetzer spojrział na dół. Na stopach, wyglądających dziwnie młodzieńczo, miała różowe kapcie. Piórka na paskach przy palcach poruszały się w tę i z powrotem.

Kiedy oddał jej klucz, poleciała:

– Niech pan pokaże.

Szybkim ruchem wyrwała mu obraz spod pachy.

– To? – Ze zdziwieniem oglądała płótno. – To pan zabiera? Ale to jest stare. Pamiętam jeszcze, kiedy...

Co za babsztyl.

– Tak, ale w końcu znaleźliśmy kupca. Może pani mi to oddać? Trochę się spieszę.

– Kupca? Dziwne, myślałam, że on sprzedaje tylko obrazy z plamami, to znaczy mnie tam się one nie podobają, ale są dobre. Niewiarygodne, prawda? Że ludzie tyle płacą za kilka pociągnięć pędzlem. No bo jak to jest ładny portret, jak ten, albo wazon z kwiatami...

– Przepraszam, ale naprawdę muszę już iść. Serdecznie pani dziękuję i do zobaczenia.

Odwrócił się i szybkim krokiem ruszył w kierunku samochodu.

– Powiem mu, że pan był! – krzyknęła za nim.

29

Zapach świeżego chleba, czosnku i smażonej cebuli wisiał w korytarzu i wdzierał się do nosa.

Alek się uśmiechnął.

– Pani Sartori?

Damian skinął głową i Alek wszedł do kuchni. Stała odwrócona do niego szerokimi plecami i mieszała coś w garnku. Odwróciła się, kiedy wszedł. Sos pomidorowy kapał z łyżki na podłogę. Krzyknęła i odłożyła ją na blat. Wytarła ręce ściereczką przewieszoną przez rękę i podeszła do Alka z otwartymi ramionami.

– Alek, mój drogi, co u ciebie słyhać?

Objęła go w pasie i mocno przycisnęła do siebie. Potem spojrzała na niego i wzięła za ramię.

– Musisz myśleć tak jak my, Włosi: kiedyś wszyscy się spotkamy w lepszym świecie.

Przełknął ślinę.

– To prawda, będę o tym pamiętał.

– Bardzo dobrze, a teraz jedzmy. Jedzenie jest dobre dla duszy, lecz wszystkie rany.

– Gdzie jest Emma?

– Poszła na obiad z przyjaciółką. Ha, pewnie myśli, że zje lepiej niż tutaj. Ale jak ktoś chce wyrzucać pieniądze w błoto, to kto mu zabroni? Nie ja. Siadaj, siadaj.

Koniec długiego stołu był nakryty białym obrusem, stały na nim dwa talerze. Pani Sartori popychała Alka delikatnie przed sobą i usadziła na krześle.

– A gdzie jest Damian? Poczekaj, zawołam go. Daaaamian! *Mangiare! Pronto!*^[6] – Jej głos dudnił po całym domu.

Póltorej godziny później podnieśli ciężką walizkę i wysypali jej zawartość na stół kuchenny.

– No – westchnął Damian, rozkładając papiery.

Zajęły cały blat. Listy, zaproszenia, kartki, wycinki z gazet, odręczne notatki i wydrukowane mejle. Każdy z nich przysunął do siebie stertę papierów i zaczęli je przeglądać. Przez pewien czas jedynym dźwiękiem rozlegającym się w kuchni był miękki szelest kartek.

– Co za robota, wszystko leży pomieszane – narzekał Damian. – Znalazłeś coś?

– Co za bałagan. Może powinniśmy to najpierw poukładać według dat albo przynajmniej podzielić na lata?

– No, byłoby łatwiej. Ale przynajmniej wiemy, na co zwracać uwagę. Szukamy czegoś na temat tulipanów, siedemnastego wieku...

– ...albo wyjazdów nad Como. Do tej pory to jedyne możliwości, nie?

– Tak mi się wydaje.

Pracowali dalej w milczeniu. W końcu Damian się odezwał:

– Według mnie odkładał te papiery od dwa tysiące drugiego roku. Nic starszego tu nie ma.

– Damian, ale popatrz tutaj – powiedział Alek i podniósł stertę do góry. – Spójrz, ilu danych zażądał. Po co on to wszystko trzymał?

– Nie ma w tym żadnej logiki – stwierdził Damian, przeglądając podane dokumenty. – Uniwersytety, przemysł farmaceutyczny, instytuty botaniki, laboratoria, badania DNA. Naprawdę wszystko.

– Faktycznie. Broszury, zaproszenia na odczyty, raporty z badań naukowych, foldery o możliwości partycypacji w rozmaitych funduszach i tak dalej.

– Odłóżmy je na bok, to potem jeszcze raz to przejrzymy.

Po chwili Alek dodał:

– Wiesz, co mnie uderzyło? Pocztówki. Trafiłeś już na nie?

– Tak, dopiero co widziałem jedną, wysłaną przez Simona. To był przyjaciel Franka? Nazywa się chyba Versteegen, prawda?

– Tak, znali się od dawna. O ile wiem, od czasu do czasu prowadzili jakieś wspólne interesy, więc nic dziwnego, że do siebie pisali, ale one są trochę dziwne. Dlaczego wysyłał Frankowi pocztówki z takimi krótkimi notatkami? Poza tym to są jedyne pocztówki w tych papierach.

Przejrzeli kilka stert i wyłowili z nich dziesięć kartek.

– Te teksty są faktycznie bardzo dziwne – powiedział Damian. – Tutaj jest napisane: „znowu dziesięć więcej”. A tutaj: „podwojone”.

– Wszystkie mówią o liczbach – dodał Alek, zamyślając się nad pocztówką trzymaną w rękach.

– Co to wszystko znaczy? – zapytał Damian, a Alek położył wszystkie kartki obok siebie, obrazkami do góry.

– Temat wydaje mi się oczywisty. Nie wybierał ich przypadkowo. Tutaj są różne przyrządy naukowe. Chronometr, sekstant, teleskop. A tu szkic Leonarda da Vinci, projekt maszyny latającej. – Alek wskazywał palcem poszczególne pocztówki. – Portret Galileusza. – Odwrócił pocztówkę i popatrzył na Damiana. – Wiesz, kiedy powstał? W tysiąc sześćset trzydziestym szóstym roku. Widzisz? Większość ma jakiś związek z siedemnastym wiekiem.

– Masz rację.

Damian oglądał pocztówki, marszcząc brwi. Nagle wyciągnął rękę i przysunął do siebie jedną z kartek.

– Widzisz to samo co ja?

Alek skinął głową.

Ośmiu odzianych na czarno mężczyzn stało wokół stołu. Na ich szerokie, białe kołnierze padało światło. Promień z lewego rogu pozwalał wyeksponować nagie ciało leżące na stole. Skóra była prawie przezroczysta, biała, tworzyła kontrast z podeszwami mężczyzny, które wydawały się nieumyte. Genitalia zakrywała luźno udrapowana przepaska.

Trzech mężczyzn pochylało się nad zwłokami. Dwóch innych, z tyłu, patrzyło prosto przed siebie, na odbiorcę. Jeden z nich trzymał kawałek papieru, na którym ledwo co widać było jakieś litery. Patrzyli z lekkim roztargnieniem, jakby osoba oglądająca obraz weszła do środka bez pukania. Jeden z dwóch ludzi stojących w lewym dolnym rogu spoglądał na widza kątem oka. Mężczyzna za nim patrzył przed siebie, na postać w centrum. On jeden miał na głowie duży, czarny kapelusz z miękkim rondem. Siedział na krześle prosty jak świeca. Usta trochę uchylone. Lewą rękę unosił do góry. W prawej trzymał szczypcę,

którymi rozchyłał przeciętą skórę przedramienia. Wszystkie mięśnie i ścięgna, od łokcia do końców palców, były widoczne.

– Zobacz, to nam się przynajmniej na coś przyda. – Damian podekscytowany patrzył na pocztówkę.

Alek skinął głową.

– *Lekcja anatomii doktora Tulpa.*

Alkmaar, 5 lutego 1637

Trzech mężczyzn, uczestników licytacji, którzy zajmowali różne miejsca w sali, spotkało się przy wyjściu gospody De Nieuwe Schuttersdoelen. Zmrużyli oczy przed ostrym zimowym słońcem i zwrócili się do siebie. Bez słowa wymienili spojrzenia.

Drzwi za nimi otworzyły się i z pomieszczenia wyszedł wysoki mężczyzna. W ręce jeszcze ścisnął Biblię, palcem zaznaczył jakąś stronę. Spojrzał na nich i skinął głową. Popatrzyli z ulgą i też skinęli głowami. Nie pozdrowiwszy się, odwrócili się od siebie i wyszli na ulicę Doelen.

Był zadowolony. Przyszli z pustymi kieszeniami i wyszli z pustymi rękami, ale on

czuł się bogatszy niż kiedykolwiek. Ich misja się powiodła. Nie miał co do tego wątpliwości.

Jeszcze nigdy wcześniej za cebulki tulipanów nie zapłacono takich kwot. W czasie aukcji musiał się powstrzymać. Jak w tym kraju mogło do tego dojść? Liczył się tylko przepych i splendor. To był cel ich życia. Rozprzestrzeniał się jak dżuma. On był tego świadkiem. Tkacz z za rogu sprzedał swój warsztat i za uzyskane pieniądze kupił cebulki. Kowal, który podkuwał jego konia, zamknął kuźnię, żeby zająć się handlem tulipanami.

Miał nadzieję, że to wreszcie przeminie na dobre, że wszyscy poświęcą się zadaniu, do którego zostali przeznaczeni, które wyznaczył im Bóg. Wtedy prawdziwe chrześcijaństwo znowu wróci do Republiki, która w ostatnich latach stała się piekłem chciwości, egoizmu i bluźnierstwa. Jeśli jego plan się powiódł, Dom Boży ponownie wypełni się ludźmi obawiającymi się tego, co

może przynieść przyszłość. Strach przywróci ich na łono Kościoła, tam gdzie ich miejsce. On pomoże tym ludziom nadać sens ich pustej i nędznej egzystencji.

Pozostawało mu tylko czekać na to, co nastąpi. Czekają ich wszystkich jeszcze bardzo wiele, to było pewne.

30

– Co mogą znaczyć te teksty? – zapytał Alek.
– Czym zajmowali się Simon i Frank? Wiem, że się przyjaźnili. Simon bywał czasami u nas w domu, ale znowu nie tak często. Miał pasierbicę w moim wieku. Mogę sobie wyobrazić, że rozmawiali czasami o dzieciach, wychowaniu i takich rzeczach. W końcu obaj wychowywali nas samotnie.

– Skąd się znali?

– Według mnie jeszcze z czasów studenckich, tak jak z Dickiem. Dlaczego dostawał te kartki od Simona co roku? Musimy z nim porozmawiać.

Alek nagle wstał.

– Przypomniałem sobie coś, Damian. Głupio, że o tym wcześniej nie pomyślałem. Cały czas

usiłowałem sobie przypomnieć, gdzie ostatnio widziałem jego nazwisko. Ale ze mnie gapa, że dopiero teraz o tym pomyślałem. Już wtedy wydawało mi się to dziwne. Poczekaj, zaraz wracam.

Pobiegł do kuchni i wrócił za chwilę z książką w ręce.

– Księga kondolencyjna – wyjaśnił zadyszany.
– Tutaj, popatrz... Czeka, cholera, gdzie to jest...
Nerwowo przerzucał kartki.

– Pomyślałem wtedy, że to jakiś dziwny tekst.
A, mam, zobacz, co tutaj jest napisane.

Damian patrzył na pospiesznie nabazgrane słowa kontrastujące z innymi, porządnie napisanymi kondolencjami.

Alku,

Śmierci bliskich nie da się pojąć.

Może mogę Ci pomóc coś z niej zrozumieć.

Pozdrowienia

Simon Versteegen

Pod tekstem widniał numer telefonu.

– On ci chce coś powiedzieć.

– Jestem tego pewien – zgodził się Alek, zamykając księgę kondolencyjną.

* * *

Alek siedział przy stole kuchennym i dzwonił paznokciami o pełny kieliszek wina. Patrzył na przedmioty leżące przed nim na stole. Złocenia na książce o tulipanach błyszcząły w świetle płomieni – Damian rozpałił w kominku, zanim poszedł na górę. Obok starodruku leżały pocztówki. Alek wziął je i rozłożył przed sobą jak wachlarz.

– Co chciałeś przez to powiedzieć, Frank?

Wziął książkę o tulipanach. Rozmyślił się i odłożył ją z powrotem. Odepchnął się rękami od stołu i przeciągnął się.

– Piękne są te wszystkie ilustracje, co?

Emma położyła płaszcz na krześle i pocałowała go w policzek. Usiadła i przysunęła wolumin do siebie. Pogłaskała delikatnie okładkę. Spojrzał na jej rękę i przypomniał sobie, kiedy dotykała tak jego. Czuł pieśczoć na plecach, pamiętał wzrok, kiedy odwróciła do niego twarz. Przestań, Alek, powiedział sobie w duchu. Za dużo wypieś.

Podniosła wzrok.

– Wczoraj oglądałam ją sobie spokojnie. Zaczynam się zastanawiać, czy nie zawiera jakiejś wskazówki.

– Napijesz się wina?

– Chętnie, poproszę.

Kiedy wstał, żeby wziąć kieliszek, powiedziała:

– Może się mylimy i Frank miał na myśli coś zupełnie innego.

– Też mi to przyszło do głowy.

Podniosła kieliszek i upiła łyk wina.

– Wiesz, co zrobimy? Przejrzemy wszystko od nowa, ale tym razem dokładnie. Strona po stronie. Kto wie. Może czegoś nie zauważyliśmy.

– Co? Teraz?

– Tak, po prostu zaczniemy jeszcze raz. Gdzie są rękawiczki?

– Tutaj, można też tym. – Wziął ściereczkę i podał jej.

Powoli odwracała strony, Alek pochylił się nad nią. Każdy obrazek odznaczał się niezwykłą starannością. Kwiaty były narysowane bardzo dokładnie, ze wszystkimi szczegółami. Jeden z liści tulipana na rycinie, na której książka była otwarta, odwijał się mocno pod ciężarem ślimaka wędrującego w kierunku czubka. Na jednym z płatków innego kwiatu artysta namalował

muszkę, tak realistycznie, że wydawało się, że w każdej chwili może odlecieć. Ilustracje były piękne i wykonane z taką miłością, że Alka i Emmę zachwycała na każdej oglądanej stronie nie tylko ich uroda, ale również siła, którą tulipany emanowały w swojej prostocie. Ani jednego liścia za dużo, kształt zwarty i prosty. Były w jakiś sposób okazałe, a jednocześnie skromne, jakby nie mogły sobie poradzić z zachwycającymi kolorami. Właśnie ta kombinacja – prostota kształtu kwiatów o smukłych łodygach i spiczastych liściach i jaskrawe, czasami skrajnie kontrastowe smugi na płatkach – czyniła je tak wyjątkowymi.

Alek zaczął lepiej rozumieć, dlaczego w tamtym czasie tak wszystkich zachwycały i dlaczego bukiet prawdziwych tulipanów był droższy niż martwe natury, którymi teraz zawieszono są muzea. Tak, uwierzył, że gdyby żył w tamtych czasach, pewnie i jego ogarnęłaby tulipomania.

– Jeśli coś zauważysz, to mów.

Skinął głową. Uważnie kartkowali dalej. Po odwróceniu ostatniej kartki Emma ujęła tylną okładkę między dłonie. Kiedy chciała już zamknąć książkę, coś zauważyła.

– To dziwne – powiedziała.

– Co?

– Czuję jakieś wybrzuszenie, tutaj coś jest. Zobacz, w tym miejscu.

Wzięła jego rękę i przyłożyła ją do wewnętrznej strony okładki. Ostrożnie przesuwając ją po papierze, jej dłoń przyciskała lekko jego dłoń.

– Jest jakieś zgrubienie.

– Też coś wyczuwam.

Podniosła książkę i zaczęła uważnie oglądać jej brzegi.

– Tutaj, zobacz, tutaj jest niewielka wypukłość czy tylko mi się tak wydaje?

Alek się pochylił. Jego policzek prawie dotykał jej policzka.

– Masz rację – zawołał podniecony. – Tutaj coś jest.

– Ale co?

– Jest tylko jeden sposób, żeby się tego dowiedzieć.

Przestraszona Emma upuściła wolumin na podłogę. Damian, przeklinając, rzucił się do przodu.

– Em, co ty wyprawiasz! Mówiłem ci przecież, że trzeba być bardzo ostrożnym.

Podniósł ją delikatnie i obejrzał ze wszystkich stron.

– Przepraszam. Obudziliśmy cię?

– Nie, nie spałem jeszcze. Dobrze słyszałem?
– zapytał ponuro. – Że jest jakieś zgrubienie?

– Tak – odpowiedziała Emma. – Zobacz, tutaj.
Damian ostrożnie przesunął ręką po papierze.

– Rzeczywiście, ja też je wyczuwam, coś tu się nie zgadza.

– Trzeba rozerwać. – Alek przechylił się przez stół i popatrzył na książkę.

– Rozerwać? – Damian spojrział na niego zdumiony. – Upadłeś na głowę? To mógłby być eksponat muzealny, nie będę sam przy nim majstrował. Nie, inaczej to załatwimy.

– Jak to inaczej załatwimy? Myślisz, że interesuje mnie, ile to jest warte? Nie będziemy tego inaczej załatwiali. Chcę się teraz dowiedzieć, co tam jest ukryte.

– Chłopie, spokojnie. Zachowujesz się jak małe dziecko. Zawsze jesteś taki impulsywny. Pomyśl trochę, policz do dziesięciu, zanim podejmiesz decyzję. – Wzrok Damiana powędrował na pustą butelkę po winie. Podniósł ją i powiedział: – To, oczywiście, też ma na ciebie wpływ. Widzę, że znowu się ładnie podgrzewasz.

Uderzył butelką o stół. Emma otworzyła usta, żeby coś powiedzieć, ale Alek ją uprzedził.

– No co? Wściekły jesteś na mnie? Czy chodzi o coś innego? No? Jak to jest? Muszę brać przykład z ciebie? O to chodzi? Doskonały Damian Vanlint pokaże nam, jak należy się zachowywać. Vanlint, który nigdy nie popełnia błędów, zawsze wszystko dobrze przemyśli. Spójrz kiedyś na siebie. Zanim podejmiesz decyzję, upływa kilka miesięcy. Najpierw pomyśleć, potem rozważyć wszystko, bla, bla, bla. Człowieku, zachowujesz się jak stary przyk!

– A ty jak nastolatek! Opanuj się w końcu!

– Ja mam się opanować? Dlaczego? Straciłem najdroższą mi osobę, nie? Rozumiesz to?

– Zdaję sobie z tego sprawę i gdybyś nie pamiętał, ja też straciłem drogą mi osobę. Ale nie używam tego jako pretekstu, żeby się wściekać i ranić bliskich. Ty tak. Wykorzystujesz śmierć Franka, żeby...

Alek odsunął krzesło do tyłu. Wielkimi krokami obszedł stół dookoła. Zatrzymał się tuż przed Damianem.

– Tobie się zawsze wszystko udaje, wszystko samo do ciebie przychodzi – powiedział i machnął ręką w kierunku Emmy. – Nie wszyscy mają tak łatwo.

– Ciężko na to pracuję, żeby, jak mówisz, wszystko samo do mnie przychodziło, i nie tarzam się we własnym gównie.

Emma uderzyła dłońmi o stół.

– Przestańcie obaj, proszę! Wystarczy!

– Pewnie, że wystarczy – mruknął Alek i wyciągnął rękę. – Oddaj, to jest moje.

– Alek, posłuchaj mnie – odezwał się Damian spokojnym głosem. – Porozmawiamy o tym jutro, dobrze? Znam wiele osób, które potrafią to fachowo zrobić. Dlaczego z tego nie skorzystać? Co za problem? Myślisz, że kilka godzin coś zmieni?

Alek patrzył na niego.

– Alek, on ma rację – poparła go Emma. – No wiesz, okaże się, że to nic takiego, a zniszczymy książkę, która jest bardzo cenna. Tylko dlatego, że chcemy się teraz czegoś dowiedzieć. I tak nic teraz nie możemy zrobić. Jutro też będzie dobrze.

Alek opuścił rękę.

– Może masz rację. Przepraszam, chyba po prostu obaj jesteśmy zmęczeni.

– Prawda, jesteśmy po prostu zmęczeni – rzucił Damian. – Idę spać.

Z książką pod pachą wyszedł z pokoju.

31

Dawn podała Wainwrightowi kubek i usiadła na rogu biurka. Grzała ręce o swój kubek i patrzyła na niego. Oczy miał jeszcze na wpół przymknięte z senności. Wiedziała, że wstaje codziennie o szóstej rano, żeby przyjść na czas do biura, tak jak większość ludzi pracujących w centrum Londynu. Ceny mieszkań w tej części miasta były nieosiągalne dla zwykłych śmiertelników. Cztery godziny spędzane na dojazdach do pracy nikogo nie dziwiły. Ona miała szczęście, mogła mieszkać u ciotki wynajmującej mieszkanie w pobliżu.

– I co? – Odchylił się do tyłu i założył ręce za głowę.

– Myślę, że ma pan rację, że on coś ukrywa, ale nie dlatego, że jest winny. Nawiasem mówiąc, pytał go pan może, czy zabrał książkę?

– Pytałem, ale powiedział, że nie. Jestem przekonany, że ją zabrał.

Postawiła kubek.

– Nie sprawca?

– Nie, to niemożliwe. Krew na dłoniach denata była częściowo zaschnięta, kiedy książka została wyjęta z jego rąk. Nie, ten, kto zabrał książkę, zrobił to później. Zobacz.

Wziął stertę kolorowych wydruków i podał jej. Spojrzała na pierwszy. Głowa Schoellera leżała odwrócona bokiem. Oczy miał zamknięte, a wyraz twarzy spokojny. Lewy rękaw bluzy od pizamy był całkowicie czerwony od krwi wypływającej z rany na głowie. Na dłoniach skierowanych do góry było wyraźnie widać prostokątny odcisk.

– Co jeszcze wiesz o Alku? Jakaś kobieta? Rodzina? Coś niezwykłego?

– Nie ma żony, żadnej przyjaciółki, o ile wiem, też nie.

Wainwright uniósł brwi i skinął zachęcająco głową.

– Nie, nie ma mowy, sir, wystarczy popatrzeć, z jakimi kobietami się pokazuje. Top modelki, aktorki. Nie mam szans.

– Dawn, no wiesz, piękno...

– ...jest w środku, bla, bla, bla. Tylko ci wszyscy mądrzy zapominają dodać, że jeśli komuś nie podoba się opakowanie, to go nie otwiera. No dobrze, Frank Schoeller był jedynym żyjącym krewnym tego człowieka.

– A Damian Vanlint?

– To jest jego najlepszy przyjaciel, znają się od lat. O, i to jeszcze miałam panu pokazać. Chwileczkę, tylko przyniosę.

Wyszła i wróciła po chwili z folderem w ręce.

– Mam to streścić, sir?

– Zaczynaj.

– Damian Floris Vanlint. Urodzony czwartego września tysiąc dziewięćset siedemdziesiątego roku w Amsterdamie. Ojciec: Florian Vanlint, potentat nieruchomości.

– Żyje jeszcze?

Skinęła głową.

– Rodzice się rozwiedli. Matka ponownie wyszła za mąż kilka lat po rozwodzie. Mieszka we Włoszech. Damian w wieku piętnastu lat poszedł do szkoły z internatem w Anglii.

– Aha, stamtąd się znają, tak?

– Tak. Tam poznał też swoją żonę, Emmę Caen, z pochodzenia Francuzkę. W wieku dwudziestu jeden lat Vanlint uzyskał dostęp do rodzinnej fortuny.

– Dużej?

– No, całkiem sporej, sir. W Holandii publikują co roku listę pięciuset najbogatszych Holendrów. On waha się gdzieś między dwusetnym i dwieście dwudziestym miejscem.

– Jak mam to rozumieć, jaka mniej więcej kwota odpowiada tej fantastycznej pozycji na liście najbogatszych?

– Zaraz pokażę – mruknęła, kartkując czasopismo. – O, proszę, to z ostatniego roku. Proszę tutaj popatrzeć.

Podła pismo Wainwrightowi. Wyjęła spomiędzy stron luźną kartkę i przeczytała głośno tekst przetłumaczony z niderlandzkiego.

Numer 218. Handel antykami. 98 milionów.

Jako spadkobierca rodzinnego imperium, Damian Vanlint najprawdopodobniej do końca życia będzie figurował na liście 500

najbogatszych Holendrów. Mimo że co roku nasza redakcja otrzymuje od niego oświadczenie, że nie życzy sobie umieszczania swojego nazwiska na naszej liście, nie możemy go, naturalnie, pominąć. Na co dzień Vanlint z powodzeniem zajmuje się handlem antykami. Jest chętnie widzianym gościem imprez i spotkań, przede wszystkim takich, o których nasi celebryci mogą tylko pomarzyć. Teraz trzeba poczekać na potomka, który przejmie jego imperium. Być może piękna żona postara się coś zrobić w tej sprawie.

– Boże święty, dziewięćdziesiąt osiem milionów euro. I facet nie przepuścił tego wszystkiego.

– No nie, sir. Nawet przeciwnie. Na początku zainwestował dużo, żeby rozpocząć handel antykami. Posiada teraz dwa salony sprzedaży

w Spiegelstraat, znanej dzielnicy sztuki w Amsterdamie. Mieszka w dużym domu nad kanałem, na Herengracht, ma dom w północnej Holandii i na Seszelach.

– Ma jakieś słabości?

– Jest tylko człowiekiem, sir. – Dawn wyciągnęła kilka kartek i wycinków z folderu. – Proszę zobaczyć.

Po typografii i złej jakości zdjęć Wainwright domyślił się, że są to fragmenty artykułów z pism plotkarskich. Było też kilka wycinków angielskojęzycznych.

– *Damian Vanlint opuszcza miłosne gniazdko!* – przeczytał Wainwright. – O, a tutaj jeszcze jedno: *Vanlint porzuca dziedziczkę*. Aha, więc nasz Vanlint jest lwem salonowym. I to na dodatek agresywnym.

Podniósł świstek do góry, na nieostrym zdjęciu Damian wymierzał cios fotografowi, a drugą ręką usiłował zerwać z jego szyi aparat.

– Spisano protokół. Ale dość łagodnie go potraktowali, bo paparazzi prześladowali go wtedy niemal codziennie.

– Dlaczego?

– Bo spotykał się z Lindsay Bancroft.

– Dziedziczką imperium hotelowego?

– Tak, właśnie z nią.

– Z innej beczki: oglądałaś już nagrania?

Skinęła głową.

– Nic.

– No to mamy problem. – Strzelił palcami. – Raz: Schoeller nie chce nam nic zdradzić; dwa: nie mam pojęcia, jaką książkę zabrał; trzy: Tibbens w niczym nas nie oświeci; cztery: nie ma żadnych odcisków palców. – Podniósł do góry pięść. – Co nam zostaje?

– Nic.

– Proszę cię, żebyś jeszcze raz obejrzała te nagrania. – Podniósł palec do góry. – Tym razem moimi oczami, oczami mistrza.

Znała Wainwrighta na tyle dobrze, żeby wiedzieć, że nie ma po co przychodzić z pustymi rękami. Ale skoro nic nie było, to nie było. Proste. Przełożyła nogi przez oparcie i nacisnęła guzik pilota. Monitor zaczął migać.

Dwie godziny później westchnęła głęboko. Do tego momentu nie zauważyła nic szczególnego. Wcisnęła pauzę. Zaraz obejrzy ostatni kawałek, najpierw musi coś zjeść. Wzięła ze stołówki kubek chińskiej zupki z makaronem i zaczęła oglądać koniec nagrania. Widziała, jak wychodzą ostatni goście. Teraz jakiś mężczyzna spacerował po auli, podszedł do miejsca, gdzie stała trumna. Zdjął fotografię Franka ze sztalugi i postawił ją pod ścianą. Kiedy zaczął wyrównywać krzesła w pierwszym rzędzie, Dawn wzięła do ręki

pałeczki. Patrzyła jednym okiem, jak pracownik robi porządek w auli, i ostrożnie zdejmowała wieczko z kubka z zupą. Uderzyła ją fala gorąca, więc pomachała ręką przed twarzą. Włożyła pałeczki do ukropu, przysunęła usta do brzegu plastikowego kubka i siorbiąc, pochłonęła pierwszy kęs. Gorąca wstążka makaronu spadła jej na brodę. Dawn zakłęła, odstawiła kubek i zaczęła pocierać oparzone miejsce. Kiedy znowu się pochyliła, żeby wziąć kubek, kątem oka zauważyła jakiś ruch na monitorze. Zrzuciła nogi z poręczy i przysunęła krzesło. Z napięciem patrzyła na lewą stronę ekranu, gdzie znajdował się ledwo widoczny fragment korytarza.

– Cholera!

Nacisnęła „stop” i zatrzymała obraz. Ktoś stał obok stołu z księgą kondolencyjną. Nacisnęła „play”. Wziął długopis do ręki. Kiedy zaczął pisać, mogła go dokładnie obejrzeć. Zatrzymała obraz i patrzyła na jego profil.

– Co on tam robi? Wszyscy już wyszli – mruknęła do siebie.

Wzięła płytę z początku pogrzebu i włożyła ją do odtwarzacza. Włączył się drugi monitor.

Kamera wisiała nad stołem, przy którym mel-dowali się goście. Podawali swoje nazwiska, a dziewczyna za stołem odhaczała ich na długiej liście leżącej przed nią. Nie tylko nagrywali wszystkich, ale również umieścili tam mikrofon. Wiedzieli, która twarz odpowiada któremu nazwisku.

Oczy Dawn biegały bez przerwy od lewej do prawej, od twarzy człowieka w zatrzymanym kadrze na pierwszym monitorze do nagrania na drugim. Nagle skoczyła do przodu i nacisnęła „stop”.

– Mam cię!

Szedł lekko pochylony i wydawał się zatopiony w smutku. Kiedy zapytano go o nazwisko,

wypowiedział je tak cicho, że trudno je było zrozumieć.

Zatrzymała płytę, nacisnęła „rewind” i przesunęła suwak głośności na maksimum.

– Versteegen, Simon Versteegen.

Nacisnęła guzik. Wydruki wysuwały się powoli, a ona nacisnęła „play”. Wzięła kubek z zupą i oparła się wygodnie. Tym razem śledziła każdy ruch Versteegenena. W trakcie uroczystości siedział pośrodku sali, wzrok cały czas miał skierowany w dół, jak gdyby był pogrążony w modlitwie. Podniósł głowę dopiero wtedy, kiedy Aleks stanął na mównicy. Mężczyzna patrzył na niego przez całe przemówienie. Zobaczyła go w kolejce ludzi składających kondolencje Alkowi, rozmawiał z kilkoma osobami i ścisnął im rękę. Potem wpisał coś do księgi kondolencyjnej i wyszedł. W holu stało jeszcze pełno ludzi.

Dawn wyłączyła wszystkie aparaty i stuknęła pałeczkami w wydruki.

– Dlaczego wróciłeś? Chciałabym się tego dowiedzieć.

Londyn, 13 czerwca 1663

Jaśnie Wielmożny Panie,

z wielkim zadowoleniem przeczytałem Pański list, w którym zawiadamiasz, że chcesz nas obdarzyć znaczną sumą pieniędzy. Moja radość była niezmierna, kiedy się dowiedziałem, jaką sumę chce nam Pan ofiarować. Szkatuła nasza od darów zależna, przez co szczęście nasze jest zrozumiałe.

Pisze Pan, że Pański ojciec, Wouter Winckel, dużo w swoim życiu wniósł dla nauki. Radość nasza ogromna, że cały majątek, który Pan po nim odziedziczył i w swoim życiu pomnożył, pragniesz nam darować.

Mam nadzieję, że wybaczy mi Pan te słowa, ale kiedy się dowiedziałem, jak Pański ojciec doszedł do majątku, zrozumiałem, że handel tulipanami i na dobre się zdał, nie każdy na nim stracił i został bez grosza po gorączce, co wszystkich ogarnęła. Widać Pański ojciec posiadał instynkt kupiecki i na czas wyprzedał cały zapas.

Pragnę zaręczyć, że pieniądze trafiają w dobre ręce i zostaną przeznaczone na właściwe cele. Mimo naszych wysiłków podejmowanych przez ostatnie dziesiątki lat nauka poczyniła niewielki postęp. Wiele jest pytań, na które należy dać odpowiedź, i wiele pytań, które godzi się postawić.

Pańskie hojne wsparcie pozwoli znaleźć odpowiedź na trapiące pytania i lepiej pojąć naszą wspaniałą i piękną przyrodę.

Pański rodak, szacowny członek naszego towarzystwa, Jaśnie Wielmożny Pan Christian Huygens, wyraził swoje zadowolenie, kiedy się

dowiedział o nowinie. Przyobiecał jakiś czas temu, że w stosownej chwili nawiedzi Pański dom, ażeby w imieniu naszych członków we własnej osobie złożyć Panu podziękowania.

W zeszłym miesiącu więcej dobrych wieści dotarło do naszych uszu. Miłościwie nam panujący Król raczył nadać towarzystwu tytuł *The Royal Society*. Przeszło dwadzieścia lat już będzie, kiedy zebrało się razem kilku uczonych, żeby wymieniać się myślami. Nie śmieliśmy wówczas przypuszczać, że dwadzieścia lat później nasze towarzystwo zostanie szacowną instytucją i będzie nosić królewski tytuł.

Zaszczyt to dla nas niezmierny, że zechciał Pan obdarzyć nas zaufaniem. Poczynimy starania, ażeby ufności tej nie zawieść i ośmielamy się tą drogą prosić pokornie, aby był Pan łaskaw przyjmąc tytuł członka honorowego naszego towarzystwa.

Pański wierny sługa
Sir Robert Moray
Przewodniczący
The Royal Society

Londyn, 1663

Simon odłożył telefon. Czuł się chory. Nie było z nim dobrze, miał poczucie, że jego całe ciało próbuje odrzucić sytuację, w której się znalazł, tak jak organ po nieudanej transplantacji. Wydawało się, że ból jest coraz silniejszy i rośnie z każdym krokiem i każdą czynnością. Sytuacja miała wpływ na jego psychikę, ale teraz zaatakowała go też fizycznie.

Zasłonił okno, żeby nie dochodziło go światło dzienne, i położył się do łóżka. Jedną ręką odkręcił brązową plastikową butelkę. Pigułki wysypały się na jego dłoń. Wziął dwie i włożył je do ust. Potem zamknął oczy, a głowa opadła na poduszkę. Czuł, jak włoski na ramionach stają mu dęba, czuł, jak wstrząsają nim dreszcze. Naciągnął na siebie kołdrę i próbował się

skoncentrować, zobaczyć w myślach ten proces. Pigułki wpadły do żołądka, kwas żołądkowy rozpuszczał je na molekuly, które przedostawały się do krwiobiegu. Próbował oddychać powoli i regularnie. Tuż przed zaśnięciem słyszał w pokoju echo własnego oddechu.

* * *

Alek zamknął klapkę komórki. Simon Versteegen nie chciał nic powiedzieć przez telefon. Umówili się na popołudnie, Simon podał mu adres, a potem odłożył słuchawkę bez pożegnania.

Wyjrzał na ulicę, pogoda była taka jak wczoraj, jakby między obydwoma dniami nie było nocy. Podszedł do stołu. Obok posortowanych stert dokumentów leżała korespondencja, którą należało jeszcze przejrzeć. Pochylił się. W tym samym momencie usłyszał, jak zamykają się drzwi wejściowe i Damian idzie korytarzem.

Po wybuchu złości ostatniego wieczoru Alkowi trudno było pokazać mu się na oczy. Oczywiście wino miało wpływ na jego reakcję, ale pić nie mógł się wymówić. Poza tym przypominał sobie tę rozmowę dość dokładnie, a więc nie był pijany.

– Co, już zacząłeś? Chcesz kawy?

Alek przytaknął. Damian podszedł do ekspresu i postawił dwie filiżanki.

– Wcześniej wstałeś – powiedział Alek.

– Dzisiaj rano przyjechali zabrać rzeczy na targi. Chciałem sprawdzić, czy wszystko jest dobrze zapakowane. Zdarza się, że towar wygląda na zapakowany jak należy, a po rozładunku okazuje się, że jest uszkodzony.

Postawił kawę przed Alkiem i dodał:

– Nawiasem mówiąc, podzwoniłem trochę w sprawie tej książki o tulipanach. Jesteśmy zaraz umówieni z Jacobem Woltersem w domu aukcyjnym. Jest rzeczoznawcą, wycenia książki

antykwaryczne, wie dokładnie, jak się z nimi obchodzić.

– Doskonale. O której? Po południu umówiłem się z Simonem.

– Gdzie?

– Mieszka w Hadze.

– Nie ma problemu, za pół godziny mamy być u Woltersa. – Damian popatrzył na Alka. – Mam nadzieję, że teraz zgadzasz się ze mną, że lepiej było poczekać. Tych kilka godzin naprawdę niczego nie zmieniło.

– Cieszę się, że nic nie zmieniło. Wiesz w takim razie więcej niż ja – odpowiedział Alek. W jego głosie dało się wyczuć irytację. Kiedy zobaczył wzrok Damiana, dodał: – Przepraszam, nie chcę od nowa zaczynać, nie o to mi chodzi. Ale czasem...

Damian westchnął:

– Nie, masz rację, wiem, że jestem czasami nieznośny.

– Musisz mi zaufać. Wygrzebałem się z tego bagna lata temu, przecież wiesz.

– Wiem, ale bałem się, że śmierć Franka coś w tobie wyzwoli i znowu sięgniesz po to gówno.

Alek potrząsnął głową.

– Muszę przyznać, że musiałem się powstrzymywać, żeby nic nie brać. Jeśli w tej sytuacji potrafię wytrwać bez...

– ...to dasz sobie radę dalej – dokończył Damian i poklepał go po ramieniu. – Już nie będę o tym wspominać.

Alek oglądał fasadę. Żółte cegły pochodziły z lat dwudziestych, budynek miał wszystkie cechy szkoły amsterdamskiej. Łuki okien odwzorowały krzywizny dwóch występów po lewej i prawej stronie elewacji, przypominających olbrzymie cygara. Część między nimi była zabudowana cegłami wmurowanymi na przemian poziomo i pionowo – wyglądały one jak pasy doklejone do ściany.

Damian otworzył ciężkie drzwi. Weszli do holu i podeszli do recepcji zawieszonych plakatami z poprzednich aukcji. Na stole obok leżały rozmaite katalogi, wszystkie przyczepione łańcuszkami do nóg stołu. Każdy z nich miał na okładce naklejkę z adnotacją „Egzemplarz do wglądu” wypisaną mazakiem. Oczywiście

repcjonistki rozjaśniły się, kiedy zobaczyła Damiana.

– Dzień dobry panu. Co u pana słychać?

– Dziękuję, wszystko w porządku. Jesteśmy umówieni.

– Tak jest, z panem Woltersem. Już nas poinformował, że pan przyjdzie. Proszę dalej, zna pan drogę?

Ich kroki na czarnych płytkach podłogowych brzmiały donośnie i odbijały się echem w korytarzu. Światło secesyjnych żyrandoli było nikłe. Alek zauważył, że stęchły zapach starego papieru był tym intensywniejszy, im dalej szli. Drzwi na końcu korytarza były uchylone.

– *Entrez*, zapraszam – usłyszeli chłopięcy głos. Wolters wyciągnął rękę i podszedł do nich.

– Dzień dobry panu, miło pana widzieć.

Damian przedstawił Alka i zasiedli za stołem tak dużym, że wydawało się, że ktoś zakrył drewnianą płytą stół bilardowy. Nad nim wisiał

rząd lamp na mosiężnych prętach. Zielone abażury sprawiały, że pokój był spowity słabym, trochę upiornym blaskiem. Otaczały ich szafy biblioteczne, za których sprawą ściany wyglądały jak wyłożone skórą. Złote napisy i ozdoby odcinały się ostro od grzbietów. Nawet między dwoma wysokimi oknami wychodzącymi na dziedziniec i nad wejściem umieszczono półki z książkami.

– A więc co mi pan przyniósł? Pana telefon wzbudził moją ciekawość.

Jacob Wolters musiał wyprostować plecy, żeby oprzeć się łokciami o stół. Delikatne rysy twarzy i spiczasty podbródek nadawały mu wygląd elfa. W stosunku do wzrostu jego ręce były wyjątkowo długie. Zadbane dłonie o smukłych palcach trzymał splecione pod brodą.

Damian przesunął książkę w kierunku Woltersa. Ten sięgnął do kieszeni i wyciągnął z niej rękawiczkę. Przysunął książkę do siebie

i otworzył. Poruszając powoli głową w tę i z powrotem, powiedział:

– Piękna, wspaniała oprawa, siedemnastowieczna. – Popatrzył na Damiana czujnym wzrokiem i dodał: – Czy chce mi pan coś powiedzieć?

Zanim Damian zdążył otworzyć usta, rzeczoznawca wyciągnął rękę i oświadczył:

– Jest jednak coś, co musi pan wiedzieć. Znam tę książkę.

– Zna ją pan? – Alek podniósł brwi.

– Pochodzi od nas. Sprzedaliśmy ją kilka lat temu – oznajmił, patrząc kątem oka na Alka. – Skąd pan ją ma?

– Pamięta pan jeszcze, komu ją pan sprzedał?

– Oczywiście, panu Schoellerowi. Pan jest pewnie jego krewnym? Kiedy się pan przedstawił, od razu o tym pomyślałem.

Alek skinął głową.

– Tak, to był mój stryj.

– Ach, proszę przyjąć wyrazy współczucia. Słyszałem, że został zamordowany, to prawdziwa tragedia. – Kręcił głową z niedowierzaniem. – Wiadomość o jego śmierci naprawdę nas wszystkich zaszokowała. Był mile widzianym gościem i dobrym klientem. I kompetentnym człowiekiem, miał dużą wiedzę.

Wolters otworzył książkę i popatrzył na stronę tytułową poplamioną krwią.

– O Boże, czy to...

– Tak – odpowiedział Alek.

– To straszne – powiedział cicho rzeczoznawca. Chrząknął i ciągnął dalej. – To jest florilegium^[7], antologia w dosłownym znaczeniu tego słowa. Takie zbiory powstawały w czasach, kiedy kwitł handel tulipanami. Niektóre składały się z luźnych stron, inne, jak ta, były oprawione. O ile wiem, na całym świecie znane są czterdzieści trzy egzemplarze. – Pokiwał głową. – To

okropne. Że musiało się tak stać właśnie z tą książką.

– Przepraszam, wolelibyśmy nie narażać pana na ten widok, ale nic na to nie poradzimy. A co pan ma właściwie na myśli, mówiąc „właśnie z tą książką”? – zapytał Alek.

Wolters spojrzał na niego.

– Proszę mnie źle nie zrozumieć. Mam na myśli to, że ta książka wiele znaczyła dla pana stryja. Chciał ją mieć za wszelką cenę. Nawet mnie to zdziwiło, wiedziałem, że uwielbia siedemnastowieczną sztukę, ale nigdy nie przypuszczałem, że tak bardzo ceni starodruki. Zadzwoił do mnie już następnego dnia po ukazaniu się informacji, że książka jest do sprzedania. Zapłacił za nią bardzo dużo.

Alek spojrzał na niego zamyślony.

– No dobrze, ale panowie potrzebują mojej pomocy. Czym mogę służyć?

– Tylna okładka jest trochę dziwna – powiedział Aleksander. – Proszę przesunąć po niej ręką.

Wolters zamknął książkę i uniósł tylną okładkę. Skierował wzrok na sufit i przesunął po niej ręką, tak lekko, że jego palce prawie nie dotykały papieru.

– Hm, mają panowie na myśli to wybrzuszenie? Rzeczywiście dziwne.

– Tam chyba coś jest – powiedział Damian. – Nie miałem odwagi sam tego rozkleić.

– Bardzo rozsądnie, ta książka jest niezwykle cenna. Jeśli mnie się nie uda, będę musiał poprosić kogoś innego.

Wolters wstał, podszedł do drzwi i nacisnął włącznik. Neonowe światło lamp pod sufitem było tak silne, że Aleksander i Damian zmrużyli oczy. Wolters otworzył szufladę. Wziął lupę i włożył ją do lewego oka. Potem pochylił się nad okładką. Dokładnie sprawdzał szwy, tak powoli, że trudno było zauważyć ruch jego głowy. Jedyнным

dźwiękiem w pokoju był szum miernika wilgotności. Po kilku minutach wyprostował plecy. Rozluźnił mięśnie oka i złapał lupę w rękę.

– Rzeczywiście, coś tam jest. Widać, że nie ukryto tego profesjonalnie. Szwy nie są wszędzie jednakowo napięte. To ułatwia sprawę. Zobaczę najpierw, czy wystarczy otworzyć tylko górną część, wtedy ryzyko uszkodzenia będzie mniejsze.

Patrzyli w napięciu, jak rzeczoznawca milimetr po milimetrze rozcina papier, wkładając nóż ostry jak brzytwa – przypominał skalpel – pomiędzy okładkę i okładzinę.

– Co też pan Schoeller tam włożył? – mruknął, dłubiąc dalej, całkowicie skoncentrowany na swojej pracy.

– Szczerze mówiąc, nie wiemy, czy to na pewno on tam coś włożył – odezwał się Alek. – Może to był ktoś inny.

– Aha, zaraz zobaczymy.

Chwycił przygotowaną pęsetkę i włożył ją w rozcięcie, po czym ostrożnie wyciągnął.

W październiku i listopadzie z powodu mgły odwołano wiele lotów z londyńskiego City Airport. Coetzer czekał pięć godzin w małej, zatłoczonej hali odlotów. Kiedy miał już dosyć, podszedł do okienka i przekonał panie, że musi wyruszyć jak najszybciej, ponieważ w Holandii czeka na niego żona w zaawansowanej ciąży. Z wielkim trudem udało mu się załatwić lot z Gatwick.

Tymczasem minęło osiem godzin i czekał w kolejce do odprawy celnej. Wiedział, dokąd pojechał Alek. Musiał się tylko jeszcze dowiedzieć, gdzie mieszka ten jego przyjaciel.

Zapach kobiety stojącej w kolejce przed nim przyprawiał go o mdłości. Stała za blisko, a on nie mógł się przesunąć do tyłu, bo za nim już

ktoś stał, także o wiele za blisko. Usunął się w bok. Dziecko tej śmierdzącej kobiety gapiło się na niego uporczywie. Chrząknął i dziecko odwróciło się przestraszone do matki. Cholerny bachor, niewychowany holenderski szczeniak.

– Proszę pana? – Urzędnik celny patrzył na niego pytająco.

Coetzer podniósł paszport, otworzył go i trzymał przed twarzą młodzieńca. Urzędnik wziął dokument i wystukał numer.

– Przyjeżdża pan w sprawach zawodowych czy dla przyjemności?

– Dla przyjemności. Chcę odwiedzić przyjaciół.

– W takim razie życzę miłego pobytu.

Przez zatłoczoną halę przylotów podszedł do stanowiska wypożyczalni samochodów.

* * *

Coetzer powoli zawracał swoim małym samochodem na wąskim podjeździe. Jaskrawe przednie reflektory oświetlały bramę. Ściany były pomalowane na żółto. Ani śladu graffiti. Sięgnął po torbę leżącą na tylnym siedzeniu i wysiadł.

– Witamy pana w naszym hotelu. Czy zarezerwował pan pokój?

– Tak – mruknął szorstko, podając kluczyki do samochodu portierowi.

– Czy ma pan bagaż?

– Nie, tylko torbę. – Machnął podręczną torbą, żeby go zbyć. – Sam zaniosę – powiedział i wszedł do środka.

– Dobry wieczór. Czy pan...?

– Lancaster – dokończył, kładąc paszport na ladzie.

– A, pan Lancaster. Serdecznie witamy. Czy był pan już naszym gościem?

– Nie – rzucił niecierpliwie. – Ale znajdę drogę, proszę się nie martwić. Nikt nie musi ze mną chodzić.

– Dobrze, w porządku – odpowiedziała recepcjonistka beznamiętnym tonem. – Zostaje pan na jedną noc, tak?

– Być może na dłużej, zawiadomię panią.

– Dobrze, ale proszę dać nam znać jak najszybciej, bo w tej chwili mamy dużo rezerwacji – odparła recepcjonistka i oddała mu paszport. – Czy mogę poprosić o kartę kredytową? I będę bardzo wdzięczna, jeśli wypełni pan ten formularz.

Coetzer chrząknął i podał jej kartę kredytową.

– Mamy nadzieję, że będzie pan zadowolony, panie Lancaster. Pana pokój znajduje się na drugim piętrze. Winda jest tam, ale może pan, naturalnie, wejść po schodach.

Coetzer poszukał cichego miejsca w hotelowym holu i wybrał numer.

– Tak, to ja, jestem w Hadze. Miałeś mi podać adres. Dobrze, który numer? Okej.

Och, co za ironia, to nie może być przypadek, kto to wymyślił? Właśnie teraz. Właśnie tutaj. Uśmiechając się, szedł odnowionym korytarzem do swojego pokoju. Ściany były wymalowane w olbrzymie tulipany, sięgające od boazerii prawie do sufitu. Zielone liście wywijają się wdzięcznie na zgiętych łodygach. Korytarze tego hotelu zostały ozdobione najpiękniejszymi odmianami tulipanów, jakie kiedykolwiek znała Holandia.

Między szczypcami pęsetki widniał kawałek papieru.

– Co my tu mamy...?

Wolters podszedł do szczytu stołu, gdzie stał podświetlacz. Zapalił światło i ostrożnie położył kartkę na szklanej płycie.

Miała około dziesięciu centymetrów szerokości i piętnaście centymetrów długości. Brzegi w paru miejscach były podniszczone, a litery tak spłowiały, że ledwo czytelne.

– Co to jest? – zapytał Alek, patrząc z dezaprobatą na duże, staromodne pismo.

– Nie mam zielonego pojęcia – odpowiedział rzeczoznawca.

Pęsetką przesunął papier na środek ekranu.

– Na pierwszy rzut oka wydaje się to naprawdę stare, może tak stare jak książka. Hm, co to jest?

Patrzyli na litery.

CYRW QOLE LCGO WYWM SWBY YQTL
 BWKV XNHM TKBO ZUHB NMLL PJGN
 RGOW BUSX FAOA IIVQ SOSS NQPN
 BYHZ DCBM PUEE KUFO JSMOD

– Dzięki, Frank, zakodowany tekst. Jeszcze tego nam brakowało.

– Tak, ale co to za kod? – Damian patrzył na Woltersa, który wolno potrząsał głową.

– Nie wiem. Miałem kiedyś do czynienia ze starymi kodami, ale zupełnie się na tym nie znam. To chyba typowe zadanie dla naszego eksperta w dziedzinie starożytnych tekstów i rękopisów. Najpierw trzeba potwierdzić autentyczność. Potem może się tym zająć. Mam nadzieję, że uda mu się to odcyfrować. Zgadzą się panowie,

żeby mu to przekazać? Dam znać, jak tylko będę coś wiedział.

– Uda się to panu załatwić jeszcze dzisiaj? – zapytał Alek.

– Spróbuję. Wszystko zależy, oczywiście, od tego, czy ekspert ma czas i czy będzie wiedział, jakiego kodu użyto. Zobaczymy.

37

– Mam wrażenie, że przy każdym kroku do przodu robimy dwa kroki w tył – westchnął Alek, gdy Damian uruchomił samochód i wyjeżdżał z parkingu.

– Faktycznie niewiele nam się udało zdziałać. Liczę na Simona. Powiedział ci, dlaczego chce się spotkać?

– Nie, nawet mu do widzenia nie powiedziałem, bo od razu odłożył słuchawkę.

– Wie, że z tobą przyjdę?

– Nie, ale się dowie. Chciałem go uprzedzić, tyle że uciął rozmowę.

– Rozmawiałeś właściwie z Simonem podczas pogrzebu?

– Nie, chyba tylko mi składał kondolencje, ale nie pamiętam. Wszystko odbywało się jakby

obok mnie. Ostatni raz spotkałem go ze dwanaście lat temu albo jeszcze dawniej.

- Frank się z nim spotykał?
- Tak, ale umawiali się zawsze w Holandii.
- Albo nad jeziorem Como.
- Widocznie.

Damian wjechał na autostradę i dołączyli do długiego węża samochodów poruszających się wolno naprzód.

* * *

Patrzyli z samochodu na okazały budynek, otynkowany na biało i częściowo zarośnięty bluszczem. Pnącza wspinały się po kolumnach podtrzymujących portyk i opadały z zadaszania jak liany.

– Chyba go nie ma w domu – powiedział Damian, patrząc w okna po obu stronach wejścia.

Były ciemne, podobnie jak okna na pierwszym piętrze.

– Tak, dziwne. Dlaczego furka jest otwarta? Zadzwońię.

Alek wysiadł z samochodu.

– Jeśli nikogo nie ma, to zostawię kartkę w drzwiach. Jeśli jest, to po ciebie przyjdę.

– Dobrze, stanę tam – powiedział Damian, wskazując miejsce parkingowe kawałek dalej na ulicy.

Alek zamknął furkę i szedł alejką do wejścia. W momencie, kiedy wyciągnął palec, żeby zadzwonić, drzwi się otworzyły. Zanim się zorientował, co się dzieje, ktoś chwycił go za rękaw i mocnym szarpnięciem wciągnął do środka.

W holu było tak ciemno, że nie widział przed sobą dłoni. Wszystkie zmysły się wyostrzyły. Ugiął nogi w kolanach i wyciągnął ręce, gotów w każdej chwili odeprzeć atak. Nagle poczuł, że ktoś dotyka jego ramienia. Odwrócił się

błyskawicznie, chwycił za przegub i ścisnął mocno.

Usłyszał okrzyk bólu. Przestraszony spojrzał ponownie. Stał tak blisko niej, że czuł jej nieregularny oddech na twarzy.

– Śledzą cię, widział cię ktoś? – wyszeptała.

– Śledzą? Widział? O czym ty mówisz? Przyszedłem tu... – zaczął Alek.

– Wiem, do kogo przyszedłeś – powiedziała. W głosie było słyhać szloch, kilka razy szarpnęła go za płaszcz. – Uważałeś, kiedy tutaj jechałeś, kiedy dzwoniłeś? Rozglądałeś się dobrze?

– Oczywiście, że nie, dlaczego miałbym się rozglądać?

– Chodź. – Chwyciła go znowu za rękaw i pociągnęła dalej do holu.

– Poczekaj chwilę, co...?

Odwróciła się do niego.

– Musisz mi pomóc.

Usłyszał, że płacze. Teraz, gdy jego wzrok przyzwyczał się do ciemności, Alek zobaczył łzy w jej oczach.

– Chodź na górę, muszę ci coś pokazać.

Chwycił ją za ramiona.

– Poczekaj, co się tutaj dzieje? Kim ty jesteś? Nie przyjechałem sam, jest ze mną przyjaciel. On...

Skamieniała.

– Co takiego?

– Siedzi w samochodzie, tutaj blisko.

– Wie o tym?

– O czym? Nie mam zielonego pojęcia, o czym ty mówisz.

– Zaraz, dobrze? Teraz chodź, nie ma czasu do stracenia. Muszę ci coś pokazać, wtedy zrozumiesz.

– Nie, nie ruszę się stąd, jeśli mi nie powiesz, o co chodzi.

Westchnęła.

– Nazywam się Tara, jestem pasierbicą Simona, pamiętasz mnie? Idziesz czy nie?

Cholera, faktycznie tak miała na imię, pomyślał Alek. Pospieszyli na górę. W połowie drogi stanęła i się odwróciła. Górowała nad nim.

– Nocuję tutaj. Dzisiaj po południu wyszłam na kilka godzin. Simon zawsze spał po południu, więc kiedy nic nie usłyszałam po przyjściu, pomyślałam, że się zdrzemnął. O piątej poszłam na górę go obudzić. Nie przestrasz się – dodała cicho. – Tak się cieszę, że tu jesteś. Kiedy zadzwoniłeś do drzwi, myślałam przez chwilę, że... Nie wiem, co mam robić. Musisz mi pomóc.

Szarpnęła go za kołnierz i pociągnęła do siebie. Przez ten niespodziewany ruch stopa ześlizgnęła mu się ze stopnia. W ostatniej chwili złapał się poręczy.

– Tara, uważaj!

Wzięła jego twarz w obie dłonie i przysunęła mu usta do ucha.

– Może to twoja szansa, Alek, szansa, żeby w tym twoim ładniutkim życiu zrobić coś sensownego.

Zanim zdążył zareagować, puściła go tak nagle, że prawie upadł. Przeklinając, chwycił za poręcz, Tara odwróciła się i szybko wchodziła po schodach.

Na górze stanęła przed zamkniętymi drzwiami. Kiedy pojawił się za nią, nacisnęła klamkę. Weszła do pokoju i zatrzymała się tak nagle, że prawie na nią wpadł.

Okna były zasłonięte. W pokoju unosił się dziwny zapach. Alek nie potrafił go zidentyfikować. Pociągnął nosem i popatrzył na niewyraźne kontury łóżka, obok którego stała Tara. Pochyliła się i zapaliła lampkę nocną.

Wpatrywał się w łóżko z otwartymi ustami. Z miejsca, w którym stał, widać było tylko krwawą masę. Tara patrzyła na ciało i szlochała. Podeszła do niego powoli.

Mężczyzna leżał na plecach. Ręce były opuszczone wzdłuż ciała, dłonie rozpostarte i skierowane do góry w geście poddania. Twarz miała rozbitą tak mocno, że wydawała się zajmować całą poduszkę. Reszta ciała sprawiała wrażenie nietkniętej. Oczy Alka przesunęły się po zwłokach. Wzrok zatrzymał się na wysokości bioder; obok, na prześcieradle, było widać odcisk stopy. Ktoś musiał stać na ciele i kopać je z całej siły. Alek popatrzył wyżej. Zobaczył odpryski krwi na suficie. Na ścianie za drewnianym zagłówkiem dojrzał krwawe smugi. Popatrzył na Tarę. Oparła twarz na ręce spoczywającej na zagłówku.

– To Simon? – zapytał miękko.

Skinęła głową.

– Tak go znalazłam.

Wyciągnęła rękę i pogłaskała ojczyrna po zakrwawionej czaszce. Po jej policzku spływała łza.

– Kiedy go znalazłam, nie miałam odwagi patrzeć, ale nie wyszłam stąd, nie mogłam go zostawić.

Ocierając łzę, rozmazała sobie krew Simona po policzku. Nagle zaczęła się trząść na całym cieie.

Alek głaskał ją po plecach.

– Uspokój się, uspokój.

Powoli dreszcze ustały i zaczęła oddychać regularnie.

– Dziękuję, już mi lepiej – powiedziała. Potem wskazała ścianę za łóżkiem. – To już widziałeś?

Rysunek przypominał nabazgrane palcami dziecięce gryzmoły. Kiedy zrozumiał, co miały

przedstawiać, wstrzymał oddech. Popatrzył na Tarę. Kiwała powoli głową.

– Wiesz co to jest? – spytała.

– Tulipan – odpowiedział Alek podekscytowanym głosem. – Miałaś z tym coś wspólnego?

Kiedy wzruszyła ramionami, wyjaśnił:

– Tara, on mnie prosił, żebym się z nim spotkał. Wiesz, o co tu chodzi, dlaczego chciał ze mną pilnie rozmawiać? Musiało się to wiązać z morderstwem Franka, teraz jestem tego prawie pewien.

– Tak. – Skinęła głową. – Moje kondolencje.

Powiedziała to prawie mechanicznie. Alek pomyślał, że nawet w tonie Wainwrighta dało się wyczuć większe współczucie. Potem dodała:

– Z tego, co słyszę, niewiele wiesz.

– O czym?

Nie odpowiedziała i chciała wyjść z pokoju. Alek chwycił ją za ramię i odwrócił do siebie.

– Tara, pytałem, o czym powinienem wiedzieć.

Patrzyła zimno i obojętnie. Nagle, w jednej sekundzie, w jej oczach pojawił się strach.

– Zabierz mnie stąd. Musimy uciekać.

– Nie zabiorę cię, dopóki mi nie powiesz, o co chodzi.

Twarz Tary wykrzywiła się pod wpływem jego uścisku. Wyszarpnęła rękę.

– Zaraz ci powiem, ale teraz musimy stąd wyjść. Nie rozumiesz? Najpierw został zamordowany Frank, teraz Simon. Naprawdę sądzisz, że jesteśmy tu bezpieczni?

Odwróciła się i wybiegła z pokoju. Pospieszył za nią. Na dole zerwała płaszcz z wieszaka i chwyciła torbę podróżną. Ostrożnie otworzyła drzwi i wyjrzała na zewnątrz. Sięgnęła do tyłu i wzięła Alka za rękę. Pociągnęła go za sobą.

– Gdzie stoi ten samochód? – zapytała, kiedy stanęli przy furtce.

– Tam, po lewej stronie.

Podbiegli do niego. Tara otworzyła drzwiczki i pochyliła się do przodu.

– Musimy stąd szybko odjechać!

Damian spojrział na nią zdumiony, zobaczył czerwoną smugę na jej policzku.

– Pospiesz się, ruszaj, musimy stąd wiać, już!

– Alek, gdzie jest Simon? Rozmawiałeś z nim?

Alek wszedł z tyłu.

– Rób, co ci mówi, Damian. Simon nie żyje.

Damian się odwrócił.

– Co takiego? Co się stało?

– Jedź, pospiesz się! – krzyczała Tara.

Damian spojrział na nią. Zaciśnięte dłonie trzymała na kolanach. Oddychała z trudem i rozglądała się bojaźliwie dookoła.

Uruchomił samochód.

Alkmaar, 1665

Z daleka dochodził go jakiś głos. Ktoś coś wołał. Czy to jego imię? Powoli otworzył oczy. Ostre światło poraziło go, w głowie poczuł ukłucie bólu. Odruchowo znowu zamknął oczy. Słyszał jakieś szepty. Ktoś chodził po pokoju. Światło docierające przez powieki stało się przytłumione. Ostry ból powoli przechodził. Było mu bardzo gorąco. Oblizął spękane wargi.

– Wody.

Czy to jego głos? Jego głos tak brzmiał? Tak słabo i miękko, jak kobiecy? W głowie brzmiał inny głos, silny i mocny.

Ktoś podłożył mu rękę pod kark i podniósł głowę. Coś zimnego i twardego rozsunęło mu

wargi. Płyn wlewał się do ust i łaskocząc, ściekał kropelkami po brodzie. Ktoś otarł ją chusteczką.

Próbował coś powiedzieć. Wiedział z całą pewnością, że wargi poruszają się, a struny głosowe są naprężone, ale z gardła wydobywał się jedynie cichy jęk. Ręka położona na jego czole była zimna.

– Cicho, leż spokojnie, już dobrze.

Dobrze? Nie mógł mówić. Wcale nie było dobrze. Kto tutaj zwariował? Ostrożnie otworzył oczy. Ktoś nad nim stał. Próbował się skupić. Obraz powoli stawał się wyraźny. Kiedy zobaczył, kto się nad nim pochyła, uspokoił się. Na chwilę podniósł rękę.

– To ja, ojciec. Wszyscy tu jesteśmy.

Stopniowo zaczął sobie przypominać, co się stało. Piekielny ból w lewym ramieniu przecinał je jak sztylet i biegł w kierunku serca. Upadł przed domem. Był przytomny, ale bezbronny. Nic nie mógł zrobić. Żadnego ruchu,

najmniejszego słowa. Mógł tylko patrzeć i słuchać. Słyszał głosy, krzyki, a potem ktoś zaczął go szarpać. Poczuł ciepło na podbrzuszu i zapach moczu. Łzy płynęły mu z oczu nie z bólu, ale ze wstydu. Że inni widzieli, jak się zmoczył. Nie pamiętał, co nastąpiło potem.

Willem Winckel patrzył na twarz swojego najstarszego syna. Chciał się do niego uśmiechnąć, uspokoić go, ale nie mógł. Z każdym momentem był coraz słabszy, czuł, że życie z niego uchodzi.

Może tak jest dobrze, pomyślał. Praca rozpoczęta przez mego ojca nie poszła na marne.

Willem kontynuował ją w najgłębszej tajemnicy i bardzo długo ukrywał to przed rodziną. Bał się przez lata. Tak, kiedy teraz patrzył wstecz, całe życie spędził w strachu. Tego strachu nie mógł z nikim dzielić.

Jego serce przepełniała duma, kiedy patrzył na najstarszego syna, Wouterera, który był

przeraźliwie podobny do jego ojca, Woutera Winckla. Jakby nadanie mu imienia dziadka sprawiło, że przejął wszystkie jego cechy. Miał taką samą posturę, takie same niebieskie oczy patrzące na świat z optymizmem i pełne radości życia. Charaktery dziadka i wnuka również wykazywały uderzające podobieństwo.

Spojrzał dalej. Ruchome sylwetki w tle stawały się powoli coraz wyraźniejsze i wkrótce zobaczył cztery córki stojące pod ścianą. Przytulały się do siebie, patrząc na niego ze strachem i smutkiem.

Gestem przywołał syna, który zaraz się nad nim pochylił i przyłożył ucho do jego warg. Willem czuł na twarzy jego włosy. Były miękkie jak gęsi puch. Pachniały powietrzem, lasem.

– Chcę z tobą pomówić na osobności. – Głos Willema łamał się i brzmiał niepewnie. – Pożegnaj się z dziewczynkami. Już czas.

Wouter skinął na siostry, aby podeszły bliżej. Po kolei całowały ojca w policzek. Szlochając, wyszły z pokoju.

Chłopak usiadł na łóżku i spojrzał na niego, marszcząc brwi.

– Cóż więc, ojcze?

– Mam coś dla ciebie, od dawna chciałem ci to podarować. Na szczęście mogę to zrobić, jeszcze nie jest za późno. Podaj mi sakiewkę.

Wouter wziął ją i usiadł na krześle obok łóżka.

– Na szczęście, trochę się bałem... Otwórz ją.

Wouter z trudem rozsypał skórzany węzeł. Willem poklepał ręką materac i syn wysypał zawartość sakiewki na kołdrę. Willem grzebał palcami w monetach i wyjął spomiędzy nich klucz. Wziął go ze słowami:

– To jest klucz do naszego skarbca. Leży tam coś, co należało do twojego dziada, coś, co nam pozostawił. Przechowywałem to w imieniu wszystkich twoich ciotek i wujów. Teraz należy

do ciebie. Mam nadzieję, że kiedy przyjdzie na ciebie czas, przekażesz to swemu najstarszemu synowi. A następne pokolenia będą tę tradycję podtrzymywać. Za każdym przekazaniem należy opowiedzieć historię twojego dziada, Woutera Winckla.

Zaczął kaszleć. Wouter wziął kubek, podniósł głowę ojca i podał mu łyk wody.

– Bądź spokojny, ojcze, wiem, co mój dziad uczynił, czego dokonał.

– Cicho, chłopcze, cicho, pozwól mi skończyć – wysapał Willem. – Cała rodzina musi wiedzieć, że życiem przypłacił wolność ducha, którą wszyscy się radujemy, i nikt nam jej nie może odebrać. Trzeba ją przekuć na wolność czynu, aby nam nikt nie odebrał wolności myśli. Niech nasi potomkowie wiedzą, że wolność jest najwyższym dobrem człowieka.

Wcisnął kluczyk w rękę syna.

– Ale, ojcze...?

– Sam zobaczysz.

Willem zamknął oczy. Wouter stał obok łóżka.

– Ojciec?!!

Willem z trudem podniósł powieki i dodał:

– Jeszcze jedna rzecz. Bądź ostrożny i spożytkuj je dobrze. Pokusa jest wielka i może cię sprowadzić na manowce. Jeśli dopadną cię takie myśli i trudno im będzie się oprzeć, wspomnij mnie i mojego ojca.

Westchnął głęboko i zamknął oczy.

– Dokąd mam jechać? – Damian spojrzał pytająco w lusterko wsteczne na Alka, który siedział na tylnej kanapie.

– W każdym razie daleko od tego miejsca – powiedziała zdenerwowana Tara. – I pilnuj, czy ktoś cię nie śledzi!

– Śledzi?

– No, pilnuj się po prostu.

– Dobrze, dobrze. – Damian wymanewrował z miejsca parkingowego i wjechał na drogę. Nagle oślepiły go jasnoniebieskie reflektory ksenonowe, które pojawiły się za nim. Tara odwróciła się. Światło ją raziło. Zamknęła oczy i schowała się za siedzenie.

– Jedź, jedź – krzyczała spanikowana. – Wszystko jedno dokąd, nie obchodzi mnie to, musimy się stąd wydostać.

– Do Amsterdamu? – zaproponował Damian.

– Dobrze, do Amsterdamu, tylko najpierw musisz zgubić ten samochód za nami.

– Tutaj! – krzyknęła. – Tutaj, skręcaj w lewo!

W ostatnim momencie Damian zakręcił kierownicą i gwałtownie skierował astona martina w wąską uliczkę po lewej stronie. Po kilku minutach znowu pojawiła się za nim metaliczna poświata reflektorów.

Tara popatrzyła w boczne lusterko.

– Spróbuj go zgubić, musisz go zgubić!

– O co tu chodzi, do cholery!?! – zapytał Damian. – Co się dzieje?

– Zgub go i tyle!

Nacisnął pedał gazu i wyrwał samochodem do przodu. Światła za nim stawały się coraz bledsze,

aż zniknęły. W tym momencie nacisnął hamulec tak mocno, że Tara prawie uderzyła o przednią szybę.

– Co ty wyprawiasz? – zapiszczała, kiedy Damian cofał samochód. Płynnym ruchem wjechał do zatoczki parkingowej i zgasił światła.

– Co ty robisz, zwariowałeś? Nie bądź taki uparty! Ruszaj!

Damian przycisnął jej głowę do dołu.

– Schył się!

Samochód przejechał obok. Po kilku sekundach spojrzeli w jego stronę. Czerwone światła znikwały w oddali nieznośnie powoli. Kiedy już nie było ich widać, Damian włączył silnik i ruszył z parkingu. Na końcu ulicy skręcił ostro w prawo, a potem od razu w lewo, w boczną uliczkę. Nagle reflektory zaświeciły mu prosto w oczy jak projektor.

– Trzymajcie się!

Dodał gazu i skręcił w prawo. Przejechał skrzyżowanie na czerwonym świetle i popędził dalej. Głośno trąbiąc, wyprzedzał samochody jadące z prawej i z lewej. Skręcił w prawo i z całym impetem wpadł w ulicę jednokierunkową. Zahamował i wjechał na mały podjazd po lewej stronie.

Wyłączył silnik. Ich ciężkie oddechy wypełniały niewielką przestrzeń. Kiedy usłyszeli zbliżający się samochód, obrócili głowy. Światło reflektorów tworzyło na asfalcie dwie białe smugi. Samochód ich minął. Po minucie Damian otworzył szybę i zaczął uważnie nasłuchiwać.

– Chyba go zgubiliśmy – powiedział cicho. – Poczekajmy jeszcze chwilę dla pewności. Alek, co się właściwie stało z Simonem?

Alek opowiedział, w jakim stanie zastali Simona, i zapytał:

– Tara, on mnie prosił, żebym do niego przyszedł. Wiesz, dlaczego chciał ze mną pilnie

rozmawiać? I o co w tym wszystkim chodzi? Kto nas śledzi?

Spojrzała na niego, jej dolna warga drżała.

Alek położył dłoń na jej ramieniu. Czuł, jak jej mięśnie napinają się jak u zwierzęcia nieprzyzwyczajonego do dotyku.

– No?

Przestraszył się, kiedy zaczęła krzyczeć, odrzucając głowę i zaciskając pięści.

Nieveld manewrował samochodem pomiędzy gapiami zebranymi przy bramie. Wysiadł z samochodu i pozdrowił szofera karawanu, który stał z założonymi rękami oparty o samochód.

– Gdzie leży? – zapytał policjanta stojącego w wejściu.

– Na górze.

– Verkerk już jest?

Policjant skinął głową.

Pod zadaszeniem Nieveld przebrał się w biały kombinezon i założył kaptur. Kiedy wchodził po schodach, słyszał basowy głos swojego kolegi dudniący z jednego z pomieszczeń. Stał w drzwiach i oglądał pokój. Pracowało tu dwóch kolegów z działu kryminalistyki. Verkerk

zatrzymał się przy łóżku. Kiedy Nieveld stanął obok niego, podniósł brwi ze zdziwienia.

– Nieźle go załatwili. Wiemy, kto to jest?

– Tak, to niejaki Simon Versteegen.

– Kto go znalazł?

– Jego gosposia. Przychodzi rano, a potem drugi raz po południu, żeby ugotować obiad. Jest na dole. Nic ci nie pomoże, była w hysterii, kiedy przyjechaliśmy.

– Przedstawię się przynajmniej. Narzędzie zbrodni?

– Nie znaleźliśmy. Popatrz tutaj, widzisz te odciski palców? Stanął na nim i kopnął go przynajmniej dwa razy. Zobacz.

Nieveld popatrzył za palcem Verkerka na sufit.

Ślady krwi tworzyły smugę przypominającą ogon komety.

– A to? – zapytał, wskazując na ścianę.

– Nie mam pojęcia, litera U na patyku?

Detektyw pochylił się. Zamyślony pocierał brodę.

– I dwa skośne paski biegnące w górę nad tą kreską. Wiesz, co mi to przypomina?

– Literę U na patyku skrzyżowaną z literą V.

– Nie, tulipana.

– Tulipana? Faktycznie, teraz też widzę. Podpis mordercy?

– Będziemy to mogli uznać za podpis, jeśli coś takiego znajdziemy na miejscu innej zbrodni – odpowiedział Nieveld.

– Seryjny morderca? W Holandii?

– Nie wydaje mi się.

Tara stała przy oknie i wyglądała na zewnątrz. Lampki na łukach mostu nad kanałem odbijały się w wodzie i tworzyły dwa duże koła, jedna ich połowa była wyraźna i jasna, druga nieostra, rozmyta. Dwóch rowerzystów jechało zgrabnym słalomem między słupkami, żeby samochód mógł ich wyprzedzić. Tara wzdrygnęła się i poprawiła na ramionach chustę, którą dała jej Emma.

– Proszę – powiedziała Emma, stawiając tacę z przekąskami.

Damian wszedł za nią do pokoju. Przyniósł butelkę wina i nalał wszystkim po kieliszku.

Tara zwróciła się do Emmy:

– Możemy zasłonić okna?

– Oczywiście.

– Dziękuję, będę się czuła bezpieczniej.

Alek usiadł na kanapie i popatrzył na nią. Wyglądała na spiętą i trzymała kieliszek obiema rękami.

– Chyba musisz nam wyjaśnić parę rzeczy.

Potaknęła głową.

– To wszystko jest takie nierealne.

– Domyślasz się, kto to mógł zrobić?

Chrząknęła.

– Chyba ktoś, komu był winien pieniądze. Za każdym razem, kiedy go odwiedzałam, z jego domu ubywało rzeczy. – Popatrzyła na nich. – Żebyście wiedzieli, jakim majątkiem on dysponował. Miał pieniędzy jak lodu, ale od jakichś dwóch lat wszystkiego się pozbywał. Znikały pieniądze, meble, obrazy, biżuteria rodzinna, cały majątek.

Z pogardliwym uśmiechem dodała:

– Właściwie jest w tym coś zabawnego. Z jednej strony właśnie żądza pieniędzy pozwoliła mu

się dorobić, ale z tej samej przyczyny miał ogromnie wysokie długi.

Usiadła i osłoniła się rękoma.

– Nie mogłam uwierzyć w to, co się stało. Powtarzał, że zna stopień ryzyka, ale wie, że to po prostu nie może się nie udać.

– Co nie może się nie udać? – zapytał Alek.

– Nie znam szczegółów. Z tego, co zrozumiałam, zainwestował w coś pieniędzy i je stracił. Prawdopodobnie na giełdzie. Od lat inwestował na giełdzie, więc pewnie myślał, że się na tym zna. – Pokręciła głową.

– A czy to nie był przypadkiem fundusz handlujący tulipanami? – zapytał Alek. Napięły mu się mięśnie twarzy. – Czy Frank miał z tym coś wspólnego? Czy on również zainwestował w to pieniądze?

– Skąd mam wiedzieć? – odpowiedziała kąśliwie. – Frank naprawdę inwestował w tulipany?

– Pytam ze względu na to, co znaleźliśmy na ścianie u Simona.

Emma spojrzała na niego pytająco, więc opowiedział o rysunku namazanym krwią nad łóżkiem Simona.

– Nie mam pojęcia, co to znaczy – oznajmiła Tara. – Według mnie Simon po prostu pożyczył od kogoś pieniądze i nie mógł spłacić długu. Już wcześniej był zamieszany w ryzykowne transakcje giełdowe.

– Więc myślisz, że stoi za tym jakiś wierzyciel? W takim razie jaki sens ma pozbawienie go życia? – zapytała Emma. – Wtedy wiadomo na pewno, że nie będzie można odzyskać pieniędzy.

– Myślę, że było im wszystko jedno, że chcieli go ukarać. Boję się, że teraz poluje na mnie.

– Jego wierzyciel? Ten, co za nami jechał? – zapytał Damian.

– A kto inny? Jedynym przestępstwem, jakie popełnił mój ojczym, było to, że chciał w prosty

sposób powiększyć swój majątek. Ale ja nic nie mam, ani centa.

– Czy dlatego Simon chciał ze mną rozmawiać? – zapytał Alek. – Potrzebował pieniędzy? Czy Frank wiedział, w jakiej on jest sytuacji?

Tara spojrzała na niego.

– Nie wiedziałam nic o tym, że Simon chciał z tobą rozmawiać. Nie wiem dlaczego. Zobaczyłam cię na ścieżce. Wiedziałam, kim jesteś, inaczej nie otworzyłabym drzwi.

Alek zaklął pod nosem. Znowu nic, nie posunęli się ani o krok do przodu. Frank też pewnie zainwestował w ten fundusz, nie mogło być inaczej. A może Simon chciał od niego pożyczyć? I co potem? Oba morderstwa wskazywały na związek z tulipanami. To nie mógł być przypadek. Musiał się dowiedzieć, czy Frank był zamieszany w ten fundusz.

– Tara, przed chwilą o tym wspominałem. Jest taki fundusz inwestujący w tulipany. Coś się pogmatwało i kilkuset ludzi straciło bardzo dużo pieniędzy. Czy to możliwe, że Simon miał z tym jakiś związek?

Spojrzała na niego z poczuciem winy.

– Naprawdę nie wiem.

– Ale coś się nie zgadza, obaj mieli coś wspólnego z tulipanami. Popatrz na to. – Alek wstał, podszedł do komody i wziął do ręki pocztówkę. Rozłożył je na salonowym stole. – Wszystkie wysłał Simon do Franka, po dwie rocznie od dwa tysiące drugiego roku.

– Większość pocztówek ma jakiś związek z siedemnastym wiekiem – dodał Damian. – Widzisz? Sekstant, portret Huygensa, chronometr.

– A ta jest najważniejsza – powiedział Alek i wskazał na pocztówkę z obrazem Rembrandta.

Spojrzała na niego.

– Skąd wiesz, że ta jest najważniejsza?

– No przecież to jasne. *Lekcja anatomii doktora Tulpa*.

– Alek, znam tytuł tego obrazu, ale mnie się wydaje, że te pocztówki nie mają nic wspólnego z tulipanami, raczej wskazują na ten ich fundusz.

Alkmaar, 1665

Łóżko było zasłane. Pokój nie rozpaczał już woni śmierci. Nic nie wskazywało na to, że przez wiele tygodni leżał tu chory, że była to sypialnia ojca.

Wouter postawił lichtarz, podszedł do łóżka i stanął obok. Dwoma rękami chwycił za nogi i popchnął. Łóżko zatrzeszczało i przesunęło się po podłodze. Wouter wyprostował plecy. Wziął głęboki oddech i znowu pchnął mebel, aż ukazała się niewielka kłapa. Postawił lichtarz na podłodze. Uklęknął.

Zdziwił się, z jaką łatwością klucz przesunął się w zardzewiałym zamku. Wouter otworzył go jednym ruchem. Chwycił dwiema rękami

metalowe kółko i uniósł klapę. Najpierw pomyślał, że w skrytce nic nie ma. Wziął świeczkę i poświecił do środka. Otwór był płytki. W prawym rogu leżało coś owiniętego brązowym sukniem. Przechylił się, sięgnął po przedmiot i go wyciągnął.

Kiedy odwinął sukno, zobaczył srebrną szkatułkę lśniąca w blasku świecy. Na wieczku wygrawerowano kilkadziesiąt tulipanów. Łodygi przeplatały się, tworząc owalną ramę, tulipan pośrodku był wygrawerowany z taką precyzją, że w migotliwym świetle wydawał się prawie żywy.

Wouter powoli podniósł wieczko. Torebka leżąca w środku była uszyta z czerwonego aksamitu i związana czarnym sznureczkiem. Rozwiązał go i włożył rękę do środka. Najpierw wyjął skórzany futerał. Położył go obok i ponownie włożył rękę do woreczka. Dotknął czegoś. Ujął to w palce i wyciągnął. Kawalek

papieru. Usiadł na podłodze, postawił lichterz między nogami i rozłożył kartkę.

Musiał przeczytać tekst trzy razy, zanim uwierył w to, co tam było napisane. Odłożył papier na bok i spoglądał na futerał. Teraz rozumiał, co ojciec miał na myśli, mówiąc na łożu śmierci, że musi przewyciężyć pokusę. Nie martwił się o siebie. Trzeba było jednak jak najszybciej to stąd usunąć, schować w bezpieczne miejsce. Bezpieczniejsze niż szkatułka tutaj, w podłodze. Musiał coś obmyśleć, bo nikt nie powinien tego znaleźć. Ta rzecz miała swoje przeznaczenie, i wiedział jakie.

– Fundusz? Jaki fundusz? – zapytał Alek.

Tara podeszła do okna i odsunęła zasłonę. Stateczek wycieczkowy płynął w ich kierunku. Kiedy przepływał obok ich domu, twarze wszystkich turystów skierowały się na nią.

Odwróciła się.

– Frank i Simon założyli ten fundusz kilka lat temu. SCF – Scientific Capital Fund. Frank nigdy ci o nim nie wspominał?

Alek pokręcił głową.

– Simon mi powiedział. Zbierali pieniądze na wspieranie nauki.

– Stąd te wszystkie informacje, które gromadził – odezwał się Damian do Alka. – Teraz lepiej rozumiem jego testament.

– Jeśli nie ma w tym nic tajemniczego, to dlaczego mi o tym nie powiedział? I dlaczego przesyłali sobie te zaszyfrowane wiadomości?

– Możliwe, że Frank chciał cię chronić. Jego działalność wiązała się z ryzykiem.

– Finansowe wspieranie rozwoju nauki nie wydaje mi się szczególnie ryzykowne – powiedział Alek.

– Ryzyko wiąże się z ideałami, do których dążył fundusz SCF. Simon i Frank uważali, że im więcej pieniędzy przeznaczą na rozwój nauki, tym więcej argumentów zdołają zebrać uczeni, aby udowodnić, że jesteśmy częścią ewolucji, że to nie Bóg stworzył świat, ale że jego powstanie było procesem naturalnym. Naukowcy mogliby tych argumentów dostarczyć, ale żeby tego dokonać, potrzebne są badania. A badania kosztują.

– Nie rozumiem tego, Frank nigdy nie wspominał, że jest to dla niego takie ważne, że religia stanowi dla niego problem.

– Nie mieli problemu z religią, ale ze wzrostem fundamentalizmu w ramach niektórych religii. Nie ma w nim miejsca dla niewierzących lub inaczej myślących. Można sobie wyobrazić, że istnieją ugrupowania, które się temu sprzeciwiają. – Tara usiadła i pochyliła się do nich.

– Kwoty, które zebrali dzięki swoim znajomościom, były olbrzymie. Chodziło o kilkadziesiąt milionów rocznie. Suma co roku rosła.

– I co chcieli otrzymać w zamian? – zapytała Emma.

– Coś, o czym mówi się, że nie jest na sprzedaż: wolność.

Zapanowała chwila ciszy. Potem Alek powiedział:

– Wolność rzeczywiście nie jest na sprzedaż.

– Uważali, że wolność myśli i czynu, która w tym kraju jest czymś oczywistym, staje się coraz bardziej zagrożona. – Tara patrzyła na nich po kolei. – Nie widzicie tego? Codziennie, nie tylko tutaj, ale i na całym świecie, naruszane są podstawowe prawa wolnościowe. Dzieje się to stopniowo, powoli, ale się dzieje.

– Dzięki eliminacji religii można odzyskać wolność? To jest dość krótkowzroczne myślenie – zaproponował Damian.

– Ich celem nie było wyeliminowanie religii. Jeśli o nich chodziło, to każdy mógł wierzyć w takiego boga, w jakiego chciał. Uważali, że przyszedł czas, aby wesprzeć ateistów, niewierzących. Obawiali się oni, że będą wkrótce prześladowani, że przyjdzie na nich kolej.

Alek potarł twarz.

– A więc te trzydzieści dwa miliony, które zostały zdefraudowane, bardzo przydałyby się funduszowi SCF. A co, jeśli Frank porzucił na

chwilę uczciwość, żeby osiągnąć swój ideał, i sam zdefraudował te pieniądze? Książka o tulipanach, pieniądze potrzebne na zrealizowanie tego celu – wszystko zaczyna się układać w całość.

– Tara, powiem ci to wprost. – Alek spojrzał szybko na Damiana, który miażdżył go wzrokiem. – Kiedy znalazłem Franka, trzymał w ręce książkę o tulipanach.

Kiedy Emma zostawiła ją samą, Tara rozejrzała się dookoła. Wydawało jej się, że wprowadziła się do pięciogwiazdkowego hotelu. Naprzeciwko łóżka stał wąski stolik z telewizorem i niewielkim zestawem do słuchania muzyki. Pod oknem z widokiem na pięknie zaprojektowany ogród stało biurko z komputerem. Upadła na łóżko i zasłoniła oczy rękami. A więc jednak, pomyślała.

Kiedy zobaczyła go idącego ścieżką, wiedziała, że Simon poprosił Alka o spotkanie, że zakładał, że Frank coś Alkowi przekazał. Miał rację. Z trudem powstrzymywała emocje, kiedy Alek opowiedział jej o zakodowanym liście, który znaleźli w książce. Chciała wykrzyknąć, że wie, co tam stoi, że chodzi o cebulkę *Semper*

Augustus, najcenniejszego tulipana na świecie w siedemnastym wieku, najpiękniejszego, jaki kiedykolwiek wyhodowano. Do dzisiaj, tak jak wtedy, niektórzy twierdzą, że nigdy nie istniał. Uważano go za świętego Graala wśród tulipanów, wcielenie niewinnego piękna, które na zawsze pozostanie nieuchwytnie.

Ona знаła prawdę. *Semper Augustus* istniał naprawdę. Frank znalazł kwiat i to ona została wybrana, żeby przywrócić go do życia. Frank ukrył bulwę potrzebną do tej pracy. Nie interesowały jej pieniądze, jakie nowy *Semper Augustus* miał przynieść funduszowi. Właśnie na tym Frank koncentrował wszystkie działania. Jej jedynym celem była sława, uznanie, które miało jej przypaść, kiedy eksperyment się powiedzie.

Dwa piętra niżej Damian patrzył na stosy papierów leżących na podłodze w salonie. Na każdym leżała kartka A4 z datą.

– To pewnie robota Emmy?

Alek potaknął głową.

– Wiesz, jaka ona jest – powiedział i pochylił się nad stołem.

Damian spojrzał na przyjaciela i zdał sobie sprawę, że tego właśnie nie wie. Cały czas się spodziewał, że sama zacznie o tym rozmawiać, chciał jej dać szansę przyznania się do wszystkiego. Z biegiem lat coraz mniej w to wierzył. Pamiętał tę sytuację, jakby to było wczoraj. Wrócił wieczorem, wcześniej niż normalnie, z podróży do Francji, gdzie kupował antyki. Alek przyjechał dzień wcześniej do Amsterdamu i nocował u nich. Damian wołał ich po imieniu z holu, ale nikt nie odpowiadał. W połowie schodów pomyślał, że pewnie poszli gdzieś na obiad albo są w mieście. Dla pewności zawołał jeszcze raz i wtedy Emma zbiegła ze schodów. Kiedy przed nim stanęła, zrozumiał, co się stało. Mówił o tym każdy szczegół: zaczerwieniona

twarz, potargane włosy, a przede wszystkim nerwowe spojrzenie, którym go przywitała. Pocałowała go szybko i spuściła oczy. „Em?” – zagadnął ją. Nic nie odpowiedziała, odwróciła się i poszła z powrotem na górę. Nigdy o tym nie rozmawiali.

Spojrzał znowu na Alka, który szperał w papierach. Dawniej wszyscy mówili, że bardzo się różnią, że on jest spokojny i ostrożny, a Alek lekkomyślny i impulsywny. Czasami miał wrażenie, że się temu poddał. Jego charakter został uformowany przez innych i określony na zawsze. Teraz ta wyczekująca postawa załamała go, zauważył, że instynkt nakazywał mu czujność. Jakby śmierć Franka przebudziła go z letargu.

Jeśli nie porozmawia o tym z Emmą, to nigdy się nie dowie. Tylko czy naprawdę chciał wiedzieć? Nie zmieniało to jego uczuć do niej. A może tak? Jeśli tak, to czy chciał

zaryzykować? Mógł przecież wybrać dzielenie reszty życia z kobietą, która myślami była z innym. Jego rodzice nie byli dla niego dobrym przykładem. Ojciec stał dokładnie przed takim samym dylematem. Wybrał w końcu konfrontację i niedługo potem się rozwiedli.

Po raz pierwszy w życiu poczuł prawdziwy strach. Strach, że jeśli bomba wybuchnie, to zniknie krucha równowaga, którą znalazł w związku z Emmą. Że zostanie z pustymi rękami. Ale czy ta sytuacja była idealna? Czy jego dążenie do perfekcji było tak silne, że udawał, że wszystko układa się doskonale, jakby całkowicie nad tym panował? Zwyczajnie się oszukiwał i trzeba było z tym skończyć.

– Alek – odezwał się – chciałbym, chciałbym cię o coś zapytać, ja...

– Damian, coś się nie zgadza.

– Z Emmą?

Alek popatrzył na niego zdumiony.

– Z Emmą? Co ci przyszło do głowy? Mówię o Tarze.

– Aaa, a o co chodzi?

– Zanim Emma poszła z Tarą na górę, wyłow-
iła z tej sterty to. Powiedziała, że natychmiast
o tym pomyślała, kiedy usłyszała jej nazwisko.
Popatrz tutaj, wysłane w dwa tysiące piątym
roku.

Od: frank@schoeller.com

Do: t.quispel@alab.com

Temat: ciąg dalszy

Chcę Cię poinformować, że czynię wszelkie
starania, aby zdobyć pieniądze. Wierzę, że mi się
uda, więc się nie martw. Wiem, że na nie
czekasz, ale miej jeszcze trochę cierpliwości.
Pracuj dalej nad przygotowaniem, to nam po-
może wcześniej osiągnąć pożądany rezultat. I...
im wcześniej, tym lepiej, sama rozumiesz.

Serdecznie pozdrawiam

Frank

Damian popatrzył na niego.

– Nic nie wiedziałem o tym, że ona miała jakiś kontakt z Frankiem. Że się tak dobrze znali.

– Ja też nie.

– Na co potrzebowała tych pieniędzy?

– Damian, pomyśl, a jeśli jej cierpliwość się skończyła, jeśli z jakichś względów szybko potrzebowała tych pieniędzy i naciskała na Franka?

– Myślisz, że ma śmierć Franka na sumieniu? W czym by jej to pomogło?

– Kto miał mieć korzyść z jego śmierci?

– Nauka. Ale właśnie dowiedzieliśmy się dlaczego. Ale jaką korzyść miałyby z tego mieć Tara?

– Nie wiem – odpowiedział Alek. – Podaj mi to.

Jeszcze raz uważnie przeczytał mejl.

– Masz jakiś pomysł, co może znaczyć to „alab”, domena, w której ma pocztę?

Chwilę potem siedzieli przed komputerem, gapiąc się w ekran.

– Myślisz to samo co ja?

Damian skinął głową.

– Ma z tym coś wspólnego, to nie może być przypadek.

– Laboratorium aDNA, antycznego DNA, zajmuje się izolowaniem DNA z martwych organizmów, skamielin i wielowiekowych resztek kości – przeczytał Alek i wskazał na ekran. – Kliknij na tę organizację.

Od razu znaleźli to, czego się spodziewali. Na szczycie listy fundatorów stał SCF.

– Bingo! – Alek wydrukował stronę i włożył do swoich dokumentów. – Pytanie, co przed

nami ukrywa. I dlatego nie chce nic o tym powiedzieć.

– Denerwuje mnie to – sarknął Damian. – Ona po prostu nas okłamuje.

– Ale może to jest właśnie krok naprzód, na który czekaliśmy – powiedział Alek. – Szybko się przekonamy. Pewnie ma bardzo ważny powód, żeby o tym nie wspominać.

Damian przytaknął, a Alek dodał:

– O co właściwie chciałeś mnie zapytać?

– E, nic takiego. Nieważne.

* * *

Kiedy Damian kładł się do łóżka, Emma otworzyła oczy.

– Przepraszam, kochanie, nie chciałem cię obudzić.

– Nie spałam jeszcze, rozmyślałam trochę.

– O czym?

– O nas, że jestem z tobą bardzo szczęśliwa.

Damian odwrócił się do niej i odgarnął kosmyk włosów z jej twarzy.

– Naprawdę? – A kiedy popatrzyła na niego pytająco, dodał: – Wiem o tym, wiem, co się stało między tobą i Alkiem.

Łzy napłynęły jej do oczu, a usta zaczęły drżeć.

– Przepraszam – szepnęła. – Ale nie mogłam inaczej, to się musiało kiedyś stać, rozumiesz?

Damian usiadł. Teraz, kiedy usłyszał potwierdzenie z jej ust, był jednak w szoku.

– Szczerze mówiąc, nie. Ile razy się to zdarzyło?

Emma odkryła kołdrę i uklękła na łóżku. Wyciągnęła rękę.

– Raz, przysięgam ci, Damian, tylko raz.

Popatrzył na nią.

– I co teraz?

– Jak to co?

– Co? Co do niego czujesz?

– Wiesz, że uwielbiam Alka, zawsze go lubiałam. Ale wyszłam za mąż za ciebie.

Wstał i popatrzył na nią.

– Pytanie tylko: dlaczego? Bo Alek nie dorósł do małżeństwa? Musiał się wyszaleć? O to chodziło?

Emma zsunęła się z łóżka. Objęła go w pasie.

– To bardzo proste: bo cię kocham. Oczywiście powinnam ci to wcześniej powiedzieć sama. Myśleliśmy z Alkiem, że wiesz...

– Wiedziałem.

– ...i że zrozumiesz, że to się nigdy nie powtórzy. Damian, może to głupie, co powiem, ale powinnam pójść z Alkiem do łóżka dużo wcześniej, miałabym to za sobą i nie zdarzyłoby się to w trakcie naszego małżeństwa.

Odwrócił się od niej i poszedł do łazienki. Zamknął drzwi i przyłożył czoło do chłodnego drewna. Miał ochotę walić pięścią w drzwi, ale opuścił rękę. Wydawało mu się, że pogodził się z tym, że to zaakceptował, ale poczuł się tak, jakby ktoś wymierzył mu policzek.

Czy tego chciał? Chciał dzielić życie z kimś, kto zawiódł jego zaufanie? Ukłucie bólu przeszyło mu żołądek, zrobiło mu się niedobrze. Podeszedł do umywalki i odkręcił kran. Zimna woda parzyła mu twarz.

43

– I co? – zapytał Wainwright, kiedy Dawn weszła do pokoju. – Znalazłaś jeszcze coś wczoraj? Obejrzałaś taśmy?

– Dzień dobry, sir. Tak, coś znalazłam. Nie wiem tylko, czy to ma jakieś znaczenie.

– Słucham.

– Wydrukowałam to. – Położyła kartki na biurku. – Tutaj, widzi pan?

Wainwright odezwał się po kilku sekundach:

– Widzę mężczyznę wpisującego coś do księgi kondolencyjnej. O co chodzi?

– Czy widzi pan kogoś przy nim?

Śledczy zaprzeczył ruchem głowy.

– To proszę tutaj popatrzeć.

Położyła na biurku następne dwie kartki.

– Tutaj stoi za nim kolejka – zdziwił się Wainwright. – Wpisywał się dwa razy?

– Właśnie. Dwa razy coś wpisywał, drugi raz wtedy, kiedy wszyscy już wyszli.

– Czy mamy tę księgę kondolencyjną?

Dawn potrząsnęła głową.

– Zakładam, że ma ją Alek Schoeller.

– Głupia sprawa, powinniśmy ją zabrać. Kto to jest?

– Nazywa się Simon Versteegen – odpowiedziała, starając się wymówić literę „g” tak samo jak Simon, kiedy się przedstawiał, wchodząc.

– Nigdy o nim nie słyszałem. Williams, skontaktuj się ze swoimi znajomymi z holenderskiej policji. Dowiedz się jakoś, czy coś o nim wiedzą. To chyba nic nie znaczy, ale on jest jedynym śladem, jaki mamy. Może nam się poszczęści, bo do tej pory nic nie znaleźliśmy.

– Wiemy, że trzymał w rękach książkę, która miała złocenia.

– Obejrzałaś uważnie półki z książkami, kiedy tam byliśmy? Ponad połowa książek miała złocenia, na brzegach albo na okładce. Nic nam to nie da.

Dawn przysunęła do siebie wizytownik, znalazła literę D i wzięła telefon do ręki.

W tym samym momencie po drugiej stronie Morza Północnego Ben van Dongen ściągnął gumkę z pudełka na lunch, podniósł wieczko i na widok kanapek z kremem czekoladowym i mandarynki jęknął: „No nie, znowu”. Jego synek znów będzie się dąsał na kanapki z pasztetową. Wziął jedną i wstrzymał oddech. W momencie, kiedy chciał włożyć do ust kromkę ze słodką pastą, zadzwonił telefon. Policjant oblizał czekoladę z palców i podniósł słuchawkę.

– Van Dongen, słucham.

– Halo, Ben? Tutaj Dawn, Dawn Williams ze Scotland Yardu.

Dwa lata temu spotkali się na międzynarodowej konferencji dotyczącej zwalczania przestępczości. Od razu się polubili i w trakcie kongresu spędzili ze sobą dwa dni. Od tego czasu kontaktowali się czasami mejlowo, ostatni raz kilka miesięcy temu.

– Cześć, Dawn. Miło cię słyszeć. Dawno się nie słyszeliśmy. Co słyhać? Wszystko w porządku w deszczowej Anglii?

– U mnie wszystko okej. A co u ciebie?

– Też dobrze. Dalej pracujesz z tym Wainwrightem?

– Tak, dalej z nim.

– Dobry facet, nie zawsze łatwy w kontaktach, ale inteligentny, bardzo inteligentny. Ostatnio czytałem artykuł o nim, o tym, jak w końcu dopadliście tego seryjnego mordercę. Dobra robota!

– Dziękuję.

– Domyślam się, że nie odzywasz się bez powodu. Mogę ci w czymś pomóc? Dalej pracujecie nad sprawą Schoellera? Pewnie dlatego dzwonicz?

– Tak, właściwie tak. Sprawa się ciągnie, chcę cię o coś zapytać. Mamy nazwisko Holendra i zastanawiamy się, czy coś o nim słyszałeś.

– Dawaj!

– Chodzi o niejakiego Simona Versteegen. Mówi ci coś to nazwisko?

Na chwilę zapadła cisza. Czuła, że trafiła w sedno. Włączyła głośnik i wzięła do ręki papier i ołówek.

– Simon Versteegen. Znam to nazwisko, tak, a o co chodzi? – Słyszała, że wystukuje coś intensywnie na klawiaturze.

Nie, pomyślała Dawn, nie będziemy się tak bawić, chłopcze.

– Był na pogrzebie Schoellera.

– A więc oni się znali? – głos miał podniecony.

– Ben?

– Tak.

– Proszę cię, możesz mi powiedzieć, o co chodzi? Skąd go znasz? Rozmawiałeś z nim?

– Nie, nie rozmawiałem. Znaleziono go wczoraj w domu. Został zamordowany. Właśnie dostałem raport w tej sprawie.

– Yes – odezwała się Dawn ledwo słyszalnym głosem, a potem zapytała: – Znalazłeś go? Widziałeś go?

– Nie, pojechał tam ktoś z innej dzielnicy. A więc Schoeller i Versteegen się znali? Jeśli mi przyślecie raport o Schoellerze, to mogę...

– Hej, Ben, nie tak szybko, *quid pro quo*. Jak został zamordowany?

– Zaraz, muszę otworzyć plik. Gdzie to jest? Chwileczkę, tak, tutaj, roztrzaskany mózg.

– Czy był torturowany?

– Torturowany? Nie mam pojęcia, musiałbym zadzwonić. Poczekaj, przeczytam szybko.

Po kilku sekundach odpowiedział:

– Z tego, co tutaj widzę, to nie... Nic nie piszą o torturach. Chociaż czaszka była całkowicie zmiażdżona. Ale to nie jest ostateczny raport.

– Chciałabym go zobaczyć. Ciało, zdjęcia z miejsca przestępstwa. Wszystko.

– No, cóż, prosisz o wiele. Tego się nie da załatwić raz-dwa. Muszę najpierw pomówić z szefami.

– Te dwa morderstwa są ze sobą związane, Ben. Jestem tego pewna. To nie może być przypadek. Jeśli chcemy znaleźć mordercę, musimy się dowiedzieć, co łączyło tych dwóch mężczyzn. I chciałabym dokładnie wiedzieć, jak został zamordowany.

– Hm.

– Wiesz co, przyjadę. Przylecę najbliższym samolotem i zabiorę nasz raport. Załatw tymczasem, żebym mogła przeczytać wasz. I chciałabym obejrzeć ciało tego Versteegen. Dobrze? Zadzwoń, jak tylko będę wiedziała, o której przylecę.

Zanim Ben zdążył zaprotestować, odłożyła słuchawkę. Westchnął, poszukał numeru w komórce i połączył się.

– Komenda Haaglanden, mówi Nieveld.

– Cześć, Feliks, tu Ben. Co słychać? Dobrze, słuchaj, muszę cię o coś poprosić.

Damian wsunął filiżankę pod ekspres do kawy. Obudził się już o wpół do szóstej. Rozmowa z Emmą chodziła mu po głowie i nie zmrużył nawet oka.

Emma głośno przyznała, że przespała się z Alkiem. Zabolało go to znacznie bardziej, niżby się spodziewał. Już od trzech godzin siedział w gabinecie. Przeglądanie katalogów aukcji i szukanie interesujących przedmiotów pozwoliło mu oderwać się na chwilę od zmartwień. Usłyszał dźwięk swojej komórki. Szybko wrócił z kuchni do gabinetu i odebrał telefon.

– Dzień dobry, panie Vanlint, tutaj Jacob Wolters.

– Dzień dobry, panie Wolters, wcześniej pan zaczyna.

– Tak, chciałem pana jak najszybciej poinformować o postępach.

– Rozgryźliście to już?

– Nie, nie całkiem. Do tej pory udało nam się stwierdzić, że to jest autentyk. Papier i pismo są na pewno z siedemnastego wieku. Pokazałem to naszemu specjalście. Dobrą nowiną jest to, że wiadomo już, z jakim szyfrem mamy do czynienia.

– To bardzo dobra wiadomość. O jaki szyfr chodzi?

– O szyfr Vigenère’a. I to jest zła wiadomość.

Po drugiej stronie słuchawki zaległa cisza.

– Przepraszam, czy powinienem coś wiedzieć? Dlaczego to jest zła wiadomość? – zapytał Damian.

– Och, myślałem, że kiedyś pan o tym słyszał. To znana sprawa. Czteryście lat temu ten szyfr stworzył niejaki Giovanni Batista Belaso. Przez długi czas był nie do odcyfrowania, nikt nie wiedział, jak działa. Tymczasem rozwiązano zagadkę. To nie jest skomplikowany szyfr.

– A więc...?

– Panie Vanlint, żeby odcyfrować ten tekst, potrzebujemy słowa kluczowego. Dopiero wtedy możemy odkodować litery. A szkopał w tym, że go nie znamy.

Damian poczuł się przygnębiony. Alek miał rację. Za każdym razem, kiedy myśleli, że posuwają się o krok do przodu, znowu się cofali. Każda rozwiązana zagadka stwarzała nowy problem.

Podniósł wzrok, kiedy Alek stanął w drzwiach i skinął na niego, żeby podszedł bliżej. Wskazując na telefon, wyszeptał:

– Wolters.

Włączył głośnik w telefonie, napisał na kartce: „szyfr Vigenère’a” i podsunął ją Alkowi.

– Zatem bez tego słowa nie da się odcyfrować szyfru? – Damian patrzył na Alka, który potrząsał przecząco głową.

– W żaden sposób. Szyfr Vigenère’a jest szyfrem polialfabetycznym. Litery są zastępowane literami z tablicy. W każdym rzędzie mamy alfabet, za każdym razem przesunięty o jedną literę.

– Rozumiem – powiedział Damian. – *Tabula recta*. Pierwszy rząd zaczyna się od A i kończy na Z, drugi od B i kończy na A, trzeci od C i kończy na B i tak dalej.

– Zgadza się, i tak dalej aż do momentu, kiedy tablica staje się kompletna. Następnym krokiem jest wybranie słowa klucza. Ustalamy zdanie, które chcemy zakodować, na przykład: „Nie jadam kurczaka”. Odstępy między słowami trzeba usunąć, wtedy otrzymamy rząd liter. Pod tym rzędem liter umieszczamy po kolei słowo

klucz, bez spacji, aż do końca rzędu. Powiedzmy, że słowem kluczowym jest „auto”. Podpisujemy cztery litery tworzące to słowo pod literami zdania.

– A więc pod literą N umieszczamy A, pod I umieszczamy U, pod E umieszczamy T i tak dalej. Tak to działa?

– Tak. Następnym krokiem jest zastąpienie każdej kombinacji literowej, w tym wypadku zaczynamy od liter: N od „nie” i A od „auto”, i zastępujemy je literą z matrycy.

Podczas gdy Wolters mówił, Alek włączył komputer. Klepnął Damiana w ramię i odwrócił do niego monitor.

Zastosowanie tabula recta do szyfru Vigenère'a

Zaznacz w poziomie litery tekstu do zaszyfrowania w alfabecie.

Zaznacz w pionie litery słowa kodu w alfabecie.

Na przecięciu tych liter otrzymamy literę kodu odpowiadającą zaszyfrowanemu tekstowi.

ABCDEFGHIJKLMNOPQRSTUVWXYZ
BCDEFGHIJKLMNOPQRSTUVWXYZA
CDEFGHIJKLMNOPQRSTUVWXYZAB
DEFGHIJKLMNOPQRSTUVWXYZABC
EFGHIJKLMNOPQRSTUVWXYZABCD
FGHIJKLMNOPQRSTUVWXYZABCDE
GHIJKLMNOPQRSTUVWXYZABCDEF
HIJKLMNOPQRSTUVWXYZABCDEFG
IJKLMNOPQRSTUVWXYZABCDEFGH
JKLMNOPQRSTUVWXYZABCDEFGHI
KLMNOPQRSTUVWXYZABCDEFGHIJ
LMNOPQRSTUVWXYZABCDEFGHIJK
MNOPQRSTUVWXYZABCDEFGHIJKL

NOPQRSTUVWXYZABCDEFGHIJKLM
OPQRSTUVWXYZABCDEFGHIJKLMN
PQRSTUVWXYZABCDEFGHIJKLMNO
QRSTUVWXYZABCDEFGHIJKLMNOP
RSTUVWXYZABCDEFGHIJKLMNOPQ
STUVWXYZABCDEFGHIJKLMNOPQR
TUVWXYZABCDEFGHIJKLMNOPQRS
UVWXYZABCDEFGHIJKLMNOPQRST
VWXYZABCDEFGHIJKLMNOPQRSTU
WXYZABCDEFGHIJKLMNOPQRSTUV
XYZABCDEFGHIJKLMNOPQRSTUVW
YZABCDEFGHIJKLMNOPQRSTUVWX
ZABCDEFGHIJKLMNOPQRSTUVWXY

– Rozumiem, że jest pan rozczarowany, panie Vanlint, ale nic na to nie poradzę. Jeśli odkryje pan słowo klucz, proszę mnie zawiadomić, wtedy tekst możemy szybko rozszyfrować.

– Bardzo dziękuję za pana trud. Postaram się. Dam znać jak najszybciej.

– Jeszcze jedno, zanim pan odłoży słuchawkę, o tej książce o tulipanach. Rozumiem, że trochę za wcześnie o tym rozmawiać, ale doradzałbym pana przyjacielowi jej restaurację. Na pewno warto, tyle mogę panu powiedzieć.

– Wiem, że jest cenna.

– Nie chodzi tylko o to. Ten egzemplarz jest szczególny, wiąże się z nim cała historia. To jedna z ostatnich wydanych książek, została przygotowana specjalnie na aukcję kolekcji tulipanów Woutera Bartelmiesza Winckla.

– Czyją?

– Wouter Winckel był w siedemnastym wieku znanym handlarzem tulipanów. Mieszkał w Alkmaar. Podobno miał tam gospodę, ale był bardziej znany ze względu na posiadaną kolekcję cebulek tulipanów. Kiedy zmarł, jego dzieci zamieszkały w sierocińcu...

– ...a po aukcji tych tulipanów cały rynek się zawalił – powiedział Damian, patrząc na Alka.

– Aha, więc pan wie o tej aukcji i absurdalnie wysokich zyskach z cebulek. Zatem rozumie pan, jaką wartość ma ta książka.

– Może mi pan coś więcej o nim powiedzieć?

– Niedużo, tylko tyle, że panowała wtedy epidemia dżumy. Prawdopodobnie to była przyczyna jego śmierci.

– Mhm.

– Warto odwiedzić archiwum miejskie w Alkmaar. Jestem prawie pewien, że coś tam będzie na jego temat. Archiwista z Alkmaar jest moim znajomym, wielokrotnie razem pracowaliśmy. Nazywa się Harold van Benthum. Kiedy pan będzie dzwonił, proszę się na mnie powołać, wtedy na pewno panu pomoże.

– Więc potrzebne nam słowo klucz – powiedział Damian.

– No tak, jeszcze tego nam brakowało, dzięki, Frank. – Alek opadł na krzesło. – Gdyby to on je wymyślił, to moglibyśmy jeszcze zgadnąć. Mogłoby to być moje imię albo twoje, albo imię Emma. Nie, mam coś lepszego. Wybrałby imię Bruno. Tak nazywał się jego pies. Albo Madeleine, imię matki. Albo tulipany, nie ma odpowiedniejszego słowa. Ale to odnosi się do siedemnastego wieku.

Damian stukał palcami w blat biurka.

– Słowo, które ma jakiś związek z tym czasem. Ale jakie? Byłoby dobrze, gdyby Frank coś na ten temat powiedział, zamiast wskazywać palcem datę.

Alek nagle wstał z krzesła i popatrzył na niego.

– Co mówiłeś?

– Że dobrze byłoby, gdyby...

Alek podszedł do niego. Oparł się o biurko, uśmiechnął się i powiedział:

– Jesteś genialny. Frank to właśnie zrobił.

– Co...?

– Kiedy wskazywał książkę. Myślałem, że mówi „tulipany”, ale użył innego słowa.

– Jakiego?

– Tulipa.

– Tulipa? Jesteś pewien?

Alek skinął głową. Damian z roztargnieniem patrzył na dzwoniący właśnie telefon.

– Chłopcze, to ja, Dick. – Głos Dicka był prawie nie do poznania. Wydawał się zmęczony i zalekniony. – Muszę z tobą porozmawiać, ale proszę, żebyś przyszedł sam, bez Alka. Masz teraz czas?

– Oczywiście, za kwadrans będę u ciebie.

– Nie, nie. Nie w biurze. Umówimy się w tej dużej kawiarni na Spui.

– Dobrze, zobaczymy się tam. Dick, skoro już jesteś na linii, mam pytanie. Czy słyszałeś

kiedykolwiek o Wouterze Wincklu? Siedemnastowiecznym handlarzu tulipanów z Alkmaar?

Usłyszał oddech Dicka. Potem jego rozmówca się rozłączył. Damian patrzył oszołomiony na swoją komórkę.

– To był Dick, chce ze mną rozmawiać.

– Dobrze, chodźmy – powiedział Alek, szykując się do wstania.

– Nie, Alek, prosił, żebym przyszedł sam. Nie mam pojęcia dlaczego, ale powiedział to wyraźnie.

– Dziwne. Powiedział jeszcze coś o Wouterze Wincklu?

– Nie, rozłączył się po prostu. Wydaje mi się, że rzeczywiście warto posłuchać rady Woltersa i wybrać się do Alkmaar, zobaczymy, czy można tam znaleźć coś o Wincklu.

– Jeśli ty idziesz porozmawiać z Dickiem, to my tam pojedziemy, dobrze, Alek? – powiedziała Emma, wchodząc do pokoju.

– Dobrze – powiedział Alek. – A co zrobimy z Tarą?

Damian wstał.

– Może zostać tutaj. Po tym, co przeżyliśmy wczoraj po drodze, może lepiej, żeby nie pokazywała się na ulicy. Poza tym wydaje mi się, że nie powinna za dużo wiedzieć. Zostawimy jej kartkę. Pojadę od razu do domu aukcyjnego Woltersa i przekażę mu słowo klucz „tulipa”, to zaraz mógłby się zabrać do pracy. Może chociaż raz będziemy mieli szczęście i to jest naprawdę to słowo.

Tara się uśmiechnęła. Najciszej, jak umiała, wycofała się z korytarza.

Dawn nie przepadała za nowoczesną architekturą, ale ten budynek coś w sobie miał. Kiedy przejeżdżali pod szlabanem, pochyliła się do przodu. Tak, zdecydowanie. Czytała o nim. Nederlands Forensisch Instituut – Holenderski Instytut Medycyny Sądowej, w skrócie zwany NFI – był przykładem technicznej doskonałości. Dotyczyło to nie tylko samego gmachu skonstruowanego ze szkła i stali, ale również aparatury. Używano tutaj najnowszych technologii w dziedzinie medycyny sądowej. Przypominała sobie, że budowa instytutu kosztowała kilkadziesiąt milionów.

– Ładne, co? – zapytał Ben.

– Tak. – Uśmiechnęła się. – Bardzo ładne.

Zaparkowali samochód i podeszli do wejścia. Szklane drzwi otworzyły się bezszelestnie, weszli do futurystycznego holu.

– Zaraz ktoś po nas przyjdzie – powiedział Ben po wpisaniu ich nazwisk do księgi odwiedzających i otrzymaniu przepustek. Kiedy chcieli podejść do foteli dla gości, usłyszeli kroki w holu.

– A, już jest. Dawn, pozwolisz, że was sobie przedstawię. Kees van Loon.

Mężczyzna przyglądał się jej z zainteresowaniem. Był wysoki, miał prawie dwa metry wzrostu. Jasne włosy były usztywnione żelam. Wyciągnął rękę.

– Dzień dobry. Jestem Kees. Mój angielski nie jest zbyt dobry, ale będę się starał. Chodźcie, idziemy.

Szli za nim długim korytarzem. Skręcili i Kees zatrzymał się przed drzwiami. Przesunął kartę przez czytnik zamka i popchnął drzwi. Stali

w pokoju, za wielką szybą znajdowała się sala prosektorium. Dawn zobaczyła na stole ciało Versteegeny.

– Tam leżą ubrania – powiedział Kees i wskazał na stos plastikowych opakowań. Zapakowali się od stóp do głów w stroje ochronne i weszli do pomieszczenia. Pachniało silnie środkami dezynfekcyjnymi, ale zapach zwłok dominował. Dawn przyłożyła dłoń do maski na twarzy.

– Nie sposób się do tego przyzwyczaić – powiedział Ben.

Potrząsnęła głową. Kiedy Kees rozsunął suwak worka z ciałem, miała ochotę uciec.

Ben spojrział na nią.

– Przepraszam, chyba powinienem cię wcześniej ostrzec, nie wygląda ładnie.

Niedomówienie stulecia, pomyślała Dawn. Chociaż Ben powiedział jej trochę o stanie Versteegeny przez telefon, tego się nie spodziewała.

Twarzy nie miał. To, co z niej zostało, było krwawą miazgą, wyglądało jak czerwona pomarańcza, którą ktoś próbował wyjeść łyżeczką.

Kees doświadczonego ruchem przyciągnął do siebie lampę operacyjną i poświecił nad miejscem, gdzie kiedyś była twarz Versteegen.

– Zrobiono to z ogromną siłą – zaczął – tęnym narzędziem, wielkim młotkiem, jak przypuszczamy, i... pomóż, Ben, jak to się nazywa po angielsku...?

– Młot dwuobuchowy.

Dawn przytaknęła głową.

– Ma jeszcze jakieś inne obrażenia?

– Nie, przeciwnie, ktoś go jeszcze pogłaskał po głowie. Tutaj, na tym kawałku skóry głowy, widać kilka odcisków palców, widzisz? Tutaj. Nie wiemy jeszcze czyich. Musiała to być niewysoka osoba, szczupły mężczyzna, może kobieta. Słyszałaś o tych odciskach stóp na materacu?

– Tak, Ben mi mówił.

– Należały do mężczyzny, dużego mężczyzny. I to jest trochę dziwne. Albo morderca nie był sam, albo ten mężczyzna został znaleziony przez kogoś innego, a nie jego gospozię.

– Gospościa mówiła, że jego pasierbica tam nocowała – powiedział Ben, patrząc na Dawn. – Jeszcze jej nie znaleźliśmy.

– Znaleźliście może na ciele ślady złota? – zapytała z nadzieją. Oprócz roztrzaskanej głowy nic nie wskazywało na to, że był to ten sam morderca. Żadnych nacięć na piersi, paznokcie nietknięte. Mimo to wiedziała, że za obydwojma zabójstwami stał jeden człowiek, czuła to.

– Złota? – zapytał Kees. – Nie, skąd ten pomysł?

– Ben pewnie już ci powiedział, że szukam związku między tym morderstwem a morderstwem Franka Schoellera. Znali się. Na

rękach Schoellera znaleziono ślady drobinek złota.

– Drobinek złota? Interesujące, pewnie z książki?

– Tak nam się wydaje.

– Jeśli sobie z tym nie poradzicie, przyślijcie próbki – powiedział Kees i zasunął zamek.

Teraz, kiedy Alek siedział tak blisko niej w samochodzie, czuła się spięta. Pluła sobie w brodę, że zaproponowała, że pojedzie z nim do Alkmaar. Pewnie to była ostatnia rzecz, jakiej spodziewał się Damian po rozmowie poprzedniej nocy. Popatrzyła w bok. Alek siedział zrelaksowany, ręce trzymał luźno na kolanach.

Westchnęła głęboko.

– Damian wie.

Czuła, jak sztywnieje.

– Odkąd?

– Zdaje się, że od dnia, w którym to się stało. Wczoraj nagle zaczął o tym mówić.

– Co on na to?

– No, to co mówiłam przed chwilą, że wiedział
– odburknęła poirytowana.

– Ze mną nie rozmawiał na ten temat. – Alek popatrzył na nią. – Emma, stało się, nie da się tego odwrócić. Nie wiedziałem, że będziesz tak żałowała.

Poczuła ukłucie w żołądku i uderzenie gorąca na twarzy. Obrazy z tej wspólnie spędzonej nocy migąły jej przed oczami. Napięcie między nimi rosło przez lata. Rozładowanie go było nieuniknione, przynajmniej według niej.

– Wcale nie żałuję. Tylko mam okropne poczucie winy.

Alek skinął głową. Często myślał o tym, żeby porozmawiać z Damianem, ale powstrzymywał go strach przed utratą przyjaciela. Teraz nie mógł dłużej udawać, że nic się nie stało, będzie zmuszony mu powiedzieć. Powinien zrobić to od razu, następnego dnia po tym zdarzeniu, ale na to był zbyt tchórzliwy.

– Porozmawiam z nim – powiedział.

* * *

W czytelni archiwum miejskiego wypełnili karty dla czytelników. Kiedy Alek zadzwonił do Harolda van Benthuma i powołał się na Woltersa, spotkał się z entuzjastyczną reakcją, Archiwista zaproponował, że coś dla nich przygotowuje. Kiedy zapytali o niego w informacji, człowiek siedzący za ladą wyciągnął do nich rękę.

– A, to pan. To ja jestem Harold van Benthum, dzień dobry. Trafił pan tutaj przez Jacoba Woltersa?

– Tak – odpowiedział Alek.

– Proszę go ode mnie serdecznie pozdrowić, jeśli pan go znowu zobaczy. Idziemy? – zapytał, wychodząc z za lady. – Już coś dla państwa przygotowałem.

Poprowadził ich przez czytelnię do korytarza i otworzył drzwi.

– Mogą państwo skorzystać z mojego pokoju. Tutaj jest trochę spokojniej.

Mały gabinet był podzielony praktycznie. Pod prawą ścianą stało biurko z komputerem. Pulpit był pusty, jeśli nie liczyć podkładki pod myszkę. Powyżej wisiał plakat przedstawiający Wielki Kanion. Pod lewą ścianą ciasnego pomieszczenia stały dwa wąskie stoły. Na jednym z nich czekał równy stos plików. Na drugim, przy którym stały dwa krzesła, leżały trzy cienkie teczki. Van Benthum podszedł do niego i stuknął palcem.

– Do tej pory znalazłem tyle. Idę szukać dalej, a wy możecie tymczasem poprzeglądać to, co już jest.

– Jak miło, że znalazł pan czas, żeby to dla nas zrobić – powiedziała Emma.

Harold pogłaskał się po brodzie.

– Nie ma sprawy. Teraz wielu ludzi lubi się zarzekać, że są bardzo zajęci, chociaż prawda jest

najczęściej całkiem inna. Usiądźcie, proszę, chyba czas na kubek kawy.

Wziął termos i nalał kawę do kubków ozdobionych herbem Alkmaar.

– No to ja zaraz wrócę – rzucił. Przy drzwiach odwrócił się jeszcze. – Niesamowite, że posiada pan książkę o tulipanach, która powstała na potrzeby licytacji jego kolekcji. Mogę sobie wyobrazić, że chce pan więcej o nim wiedzieć. – Uśmiechnął się i dodał: – Gdyby kiedyś zechciał pan ją nam oddać na przechowanie, to myślę, że nasze muzeum miejskie byłoby tym bardzo zainteresowane.

– Będę pamiętał – powiedział Alek.

Każde z nich wzięło jedną teczkę i zaczęło przeglądać. Po kilku minutach Alek się odezwał:

– To jest interesujące. Ten artykuł mówi o historii Doelenstraat, jednej z uliczek na starym mieście. Stała tam gospoda Woutera Winckla. Napisano tutaj, że był szanowanym kupcem,

właścicielem gospody i handlarzem tulipanów. Jego gospoda nazywała się De Oude Schuttersdoelen.

– Stoi jeszcze?

– Nie, zburzono ją w latach dwudziestych, żeby zrobić miejsce na budynek szkoły. Jest tutaj coś na temat innego budynku o prawie takiej samej nazwie. De Nieuwe Schuttersdoelen. Do dwutysięcznego roku mieściło się tam Muzeum Miejskie. Poczekaj, tutaj jest mowa o innym artykule. O, mam go.

Przeczytał i powiedział:

– Dziwne, wiesz, co tam się odbyło? To tam przeprowadzono licytację cebulek tulipanów.

Emma mieszała łyżeczką kawę.

– A ile przyniosła ta aukcja?

– Dziewięćdziesiąt tysięcy florenów – odpowiedział zdyszany Harold, wchodząc do pokoju z aktami pod pachą. Położył je i ciągnął: – Nieprawdopodobnie wysoka kwota. Kiedy się na

nią natknąłem kilka lat temu, wydawała mi się tak niewiarygodna, że przeprowadziłem małe dochodzenie.

– I co? Dowiedział się pan czegoś? – zapytał Alek

– Przyczyny tak wysokiego zysku nie udało mi się znaleźć. Prawdopodobnie wynikało to z konkurencji, działania rynku. To samo dotyczy załamania, najprawdopodobniej wszystko było zbiegiem okoliczności. Dowiedziałem się natomiast tego.

Harold przysunął krzesło i usiadł.

– Wydaje się, że przed rozpoczęciem aukcji tulipanów w Alkmaar ktoś dogadał się z pryncypałem sierocińca. Kilka dni przed rozpoczęciem aukcji ta osoba zabrała niektóre cebulki, zapłaciwszy za nie olbrzymie pieniądze. Nie ma ich na liście aukcyjnej.

– A więc te pieniądze przywłaszczył sobie pryncypał sierocińca – powiedziała Emma.

Alek skinął głową.

– To duża różnica, czy się kasuje dziesięć, czy sto procent. Wie pan, ile zapłacono za te cebulki?

– Dwadzieścia jeden tysięcy florenów – odpowiedział Harold. – Niezły majątek jak na tamte czasy. I mam jeszcze coś.

Przejrzał przyniesione papiery i wyłowił z nich kilka kartek.

– To nie ma nic wspólnego z aukcją, ale dowiedziałem się, że Wouter Winckel nie zmarł na dżumę, jak sugerowano – mówił, podnosząc dokumenty. – W aktach pozostałych po koronerze, który działał wtedy w tej okolicy, znaleźliśmy jego notatki do raportów z oględzin ciała. Zapisywał wszystko porządnie w dzienniku.

Spojrzał na kartki.

– Wynika z nich, że Wouter Winckel został zamordowany w gospodzie.

– Zamordowany? Przez kogo? – zapytał Alek.

Harold wzruszył ramionami.

– Nie wiem. – Spojrzał na zegarek i wstał. – Przepraszam, muszę iść. Mam spotkanie, ale potem przyjdę się dowiedzieć, jak państwu idzie.

Kiedy zamknął za sobą drzwi, Alek powiedział:

– Założmy, że pryncypał sierocińca miał z tym coś wspólnego.

– Pryncypał sierocińca? – Emma spojrzała na niego zdziwiona. – Ze śmiercią Winckla?

– Nie, nie, mam na myśli przebieg aukcji. Wszyscy cały czas mówią, że dziewięćdziesięciotysięczny dochód jest nienormalnie wysoki. Nie tylko Dick, ale i Wolters o tym napomknął, i van Benthum też. Jeśli wszyscy tak uważają, to może to jest naprawdę nienormalna kwota?

– Masz na myśli, że to nie było tylko działanie rynku?

– Jeśli ten pryncypał był taki chciwy, to dwadzieścia jeden tysięcy florenów, które trafiło

do jego kieszeni, pewnie mu nie wystarczyło. Może tak manipulował całą aukcją, że ostateczny dochód był znacznie wyższy i tym samym część, którą on miał otrzymać, też? – Alek chwycił Emmę za ramię. – Em, załóżmy, że tak było, że w sali znajdowały się osoby, które na jego zlecenie podbijały cenę każdej cebulki. Jedyne, co ci ludzie musieli zrobić, to w ostatnim momencie wycofać się z licytacji.

– Możliwe, ale ryzykowali, że zostaną z taką cebulką – powiedziała Emma.

– Widocznie się z tym liczyli.

– Może masz rację. Bo to samo dotyczy sprzedaży.

W jej głosie dało się wyczuć napięcie.

– Jeśli ta wiadomość rozeszłaby się wśród handlarzy, jeśli byłaby celowo rozpowszechniana w Republice, to zdarzyłoby się to samo co na giełdzie. Kupcy wiedzieliby przed rozpoczęciem aukcji, że ceny będą gigantyczne.

Skinął głową.

– Jeśli to prawda, to zanim licytacja by się zaczęła, byłoby wiadomo, że wywoławcze i ostateczne ceny cebulek będą olbrzymie.

– I pryncypał mógł być pewien, że przychód z aukcji będzie znacznie wyższy.

– Ale musieli wiedzieć, że prawdopodobnie rynek się załamie, choćby na chwilę. Jeśli nasze przypuszczenia są słuszne, to pryncypał osobiście się do tego przyczynił.

– Ale dlaczego miałyby mu na tym zależeć? Jaką miałyby z tego korzyść?

– Nie mam zielonego pojęcia.

Wiał silny wiatr, większość handlarzy przykryła książki przezroczystą folią i przycisnęła ją kamieniami. Oprócz zabłąkanego turysty targ książkowy na Spui był praktycznie pusty, w przeciwieństwie do kawiarni. Damian popchnął drzwi.

Ciężki zapach kawy i tostów wisiał w dużym, ciemnym pomieszczeniu. Rozejrzał się dookoła. Zupełnie z tyłu dostrzegł Dicka, podszedł do niego. Dick był tak pogrążony w myślach, że nie zauważył Damiana stojącego obok stolika.

– Dick?

Podniósł głowę. Na jego zmartwionej twarzy pojawił się niepewny uśmiech. Oczy miał przekrwione.

– Ach, Damian, siadaj, chłopcze. – Głos miał zmartwiony. Zdjął torbę z krzesła obok i poklepał siedzenie.

Damian powiesił płaszcz na oparciu i usiadł. Dick patrzył przed siebie i kiwał się lekko w tę i z powrotem. Osłonił się rękoma.

– Dick? O co chodzi? Przez telefon byłeś jakiś inny.

– Byłem.

Kelner podszedł do stolika. Złożyli zamówienie i Dick pochylił się do Damiana. Położył rękę na jego kolanie i powiedział:

– Zanim zacznę, powinieneś się czegoś dowiedzieć. Wszyscy, którzy to wiedzą, są w niebezpieczeństwie. Niech to do ciebie dotrze. Widziałeś, co się stało z Frankiem i Simonem. Jeśli nie będziecie uważać, może wam się przytrafić to samo.

Damian przymrużył oczy.

– A więc wiesz o wiele więcej, niż nam zdradziłeś? Dlaczego nie powiedziałeś nam wcześniej, co wiesz? I dlaczego musiałem przyjść sam?

– Bo chcę, żebyś sam zdecydował, ile z tego chcesz przekazać dalej. Frank nigdy by mi nie wybaczył, gdybym sprowadził na Alka jakieś niebezpieczeństwo. Alek był jego oczkiem w głowie, był dla niego jak syn. Więc to od ciebie zależy, co zrobisz z tym, co ci teraz...

– Czyli zrzucasz odpowiedzialność na mnie?

– Całkowicie. – Dick nagle chwycił Damiana za ramię i spojrzał na niego uważnie. – Możesz się wycofać. Możesz nie słuchać mojej historii.

– Na to jest już za późno. Nie ma odwrotu. W takim razie od początku nie powinniśmy się w to angażować.

Dick przytaknął. Puścił Damiana. Kelner postawił dwie filiżanki cappuccino. Kiedy poszedł, Dick powiedział:

– A więc chcesz wysłuchać mojej historii?

– Nie tylko ja, Alek też.

Skinął głową. Westchnął głęboko i zaczął:

– Przejdę do rzeczy. Rzeczywiście przemilczałem kilka informacji. Od początku wiedziałem, czym zajmuje się Frank.

– Tego tymczasem dowiedzieliśmy się i my.

Dick podniósł brwi.

– Domyślam się, że masz na myśli SCF? – zapytał Damian.

– Kto ci o tym powiedział?

– Tara.

– A zatem rozmawiałeś z nią? Wiesz wobec tego, jakie były przesłanki założenia funduszu.

– Tak, wiem – odparł Damian i opowiedział to, co usłyszał od Tary.

– Wiedziała, kto oprócz Franka i Simona był zaangażowany w działalność SCF?

– O tym nic nie mówiła.

– Czyli nie wiesz, że ja też jestem jego członkiem.

– Ty? Członkiem SCF? Przepraszam, ale myślałem, że członkowie...

– ...to są biznesmeni mający dużo pieniędzy i siatkę kontaktów. Zgadza się. Ja zostałem członkiem funduszu jako naukowiec, badacz.

Nagle pochylił się do przodu. Miał strach w oczach.

– Damian, wszystko się wali, nie idzie tak, jak zaplanowaliśmy. Nie przewidzieliśmy tego.

– O to chodzi? Dlatego jesteś taki spięty, boisz się, że będziesz następny?

– To zależy.

– Od czego?

– Od tego, oczywiście, czy Simon lub Frank wymienili moje nazwisko. Jeśli je przemilczeli, to myślę, że jestem bezpieczny i nie mam się czym martwić.

Zapatrzył się ponuro przed siebie, zagryzając usta.

Damian poczuł, że ogarnia go zniecierpliwienie. Oparł łokcie na kolanach i powiedział:

– Czego ode mnie chcesz, Dick? Powiesz mi coś jeszcze czy nie? Jeśli nie, to tracę tutaj czas. Przecież chciałeś ze mną porozmawiać, prawda?

Dick popatrzył na niego.

– Jeśli dasz mi chwilę, będziesz miał trochę cierpliwości, żeby mnie wysłuchać, to zrozumiesz. Przynajmniej mam taką nadzieję. Nie myśl, że robimy to dla własnej przyjemności. Frank i Simon przekonali się o tym na własnej skórze. Jeśli nie zdajesz sobie sprawy z powagi sytuacji, to lepiej teraz skończmy. To ja wyjdę.

Wstał i powiedział cichym, ale rozeźlonym głosem:

– Zdecyduj się. Chcesz wiedzieć, dlaczego Frank został zamordowany, czy na tym skończymy? No?

– Przepraszam, naprawdę przepraszam – powiedział Damian, wstając i kładąc rękę na ramieniu Dicka. – Nie chciałem cię urazić. Ale możesz sobie wyobrazić, że można od tego oszaleć, mam na myśli zwłaszcza Alka. Dowiadujemy się, że Frank prowadził podwójne życie, o którym Alek nic nie wiedział. Gdyby Frank z nim kiedyś porozmawiał, gdyby go poinformował, to może nie doszłoby do tego wszystkiego. Może by jeszcze żył. Dlatego tak reaguję. Przepraszam. – Rozejrzał się dookoła. – Może jednak usiądziemy? Wszyscy na nas patrzą.

Dick niechętnie usiadł na krześle.

– Zapomnij o tym. Nic nie moglibyście zrobić. Gorzej, może ciebie by tutaj też nie było. Może ciebie też by dopadli.

Zamilkł, zwiesił głowę i bawił się swoimi palcami. Potem spojrzął na Damiana i powiedział:

– Rozumiem twoją reakcję, ale pamiętaj o jednym. Frank nic nie powiedział Alkowi, bo

nie chciał, żeby mu się coś stało, chciał go chronić. Dotyczy to nas wszystkich. Nikt z naszych bliskich, z rodziny i przyjaciół o tym nie wie. I dobrze, bo widzisz, co się może stać. My też się martwimy o swoje życie.

– W takim razie dlaczego Tara wiedziała?

Dick wzruszył ramionami.

– Zależy, co Simon jej powiedział, do jakiego stopnia ją wtajemniczył. Prawdopodobnie nie wie nawet połowy tego, co się tam dzieje.

– Ale Frank nie bez powodu włączył w to Alka. Pewnie uważał, że Alek może coś zrobić, żeby pomóc. Zakładam, że chodzi o SCF.

– Może tak myślał, ale w tamtym momencie nie miał innego wyboru. Dlatego chcę, żebyś dokładnie wiedział, o co chodzi.

Alek i Emma podnieśli wzrok, kiedy Harold wszedł do pokoju.

– Widzę, że jeszcze ciężko pracujecie – powiedział. – Czy mogę wam jeszcze czymś służyć?

– Szukamy więcej informacji o morderstwie Winckla. Wie pan coś o tym? Zna pan motyw? Nazwisko sprawcy?

Harold pokręcił głową.

– Wiem tylko to, co napisano w raporcie z autopsji. Roztrzaskany mózg, a w ustach miał pamflety.

– Pamflety? Jakie pamflety? Coś takiego? – zapytała Emma, podsuwając mu skoroszyt.

– Tak, to są kopie pamfletów z tamtego roku.

– Pamflety pełniły funkcję gazet, tak? – upewnił się Alek

– Właściwie tak. W siedemnastym wieku w pamfletach rozpowszechniano informacje. I wyrażano swoje zdanie na różne tematy. Można je porównać do współczesnych felietonów lub listów do redakcji.

Wyjął teksty ze skoroszytu.

– Niełatwo je zrozumieć, ale te są przetłumaczone na język współczesny przez studenta badającego siedemnastowieczny język niderlandzki. Tłumaczenie jest dołączone do akt.

– A pamflet Winckla? Który to jest?

Harold popatrzył na kopie i wyciągnął jedną.

– To ten. Nie ma na nim, co prawda, jego nazwiska, ale to musi być pamflet napisany przez niego.

– Skąd ma pan tę pewność?

– Proszę zobaczyć podpis.

Emma przysunęła kartkę do oczu.

– Nie wiem, czy dobrze widzę, ale według mnie stoi tutaj: Augustus Semper.

Harold patrzył na nich wyczekująco. Kiedy zobaczył ich nierozumiejące spojrzenia, dodał:

– Widzę, że wiecie na ten temat mniej, niż myślałem. W Republice rozpowszechniano różne pamflety, a ten autorstwa Winckla był, delikatnie mówiąc, dość radykalny jak na owe czasy. Tutaj jest opracowana wersja, czytajcie.

Po kilku minutach Alek powiedział:

– Wiem, co masz na myśli. Z tego, co rozumiem, to on nie uznaje Boga za siłę wyższą i stawia naturę zamiast niego. Mówi nawet dosłownie: „Bóg to natura”. Nie mógł się za to spodziewać wyrazów wdzięczności.

– Przecież wtedy panowała tutaj wolność słowa, prawda? – zapytała Emma.

– Relatywnie tak, w porównaniu z innymi krajami Europy Zachodniej – odpowiedział Alek. –

Zgadza się. Rozmawiano wtedy wiele o religii i te dyskusje były ważne. Ale to nie było tak, że każdy mógł mówić, co tylko chciał. Mimo wszystko istniały ograniczenia.

– Ale w Republice Zjednoczonych Prowincji to był czas rozumu, narodzin nauki i poznania natury. Rozwoju filozofii. – Emma nie dawała za wygraną. – Twierdzi się nawet, że to tutaj, a nie we Francji, zaczęło kiełkować oświecenie i tutaj nastąpił jego rozkwit. Byliśmy tolerancyjni, przynajmniej bardziej tolerancyjni niż inne kraje.

– Tolerancyjni, ech, zdania na ten temat są podzielone – powiedział Harold. – To miało więcej wspólnego z formą rządów, republiką. Nie stał nad nami żaden monarcha, żaden władca, który by nas zmuszał do życia w taki sposób, żeby sam czerpał z tego korzyści.

– W innych krajach państwo sprawowało ścisły nadzór nad tym, czym zajmowali się

obywatele, co pisali i co mówili, tutaj tak nie było – odezwał się Alek do Emmy.

Harold wziął termos, napełnił kubki kawą i powiedział:

– Rzeczywiście w Republice można było wtedy rozmawiać na tematy, które w innych krajach były zakazane.

Alek uniósł brwi.

– Ale swoboda mówienia czy pisania czegokolwiek była względna. Tutaj też mieliśmy do czynienia z Kościołem, z namiestnikami, którzy woleli nie słuchać, jakie popełniają błędy w oczach obywateli.

– Racja. Pamfleciści, którzy wiedzieli, że posuwają się za daleko, pisali pod pseudonimami. Czasami w ogóle nie podawano autorstwa tych tekstów. Podkładano je w gospodach, naklejano w nocy na murach lub przybijano gwoździami do drzwi. – Harold wskazał na pamflet. – Nie mam pojęcia, kto zamordował

Winckla, ale całkiem możliwe, że to był motyw sprawcy.

Emma popatrzyła na niego.

– A więc zabili go za to, co napisał?

– Całkiem możliwe. Nie on pierwszy i na pewno nie ostatni został zamordowany przez fanatyków religijnych.

– Jak patrzę na tekst tego pamfletu, to rozumiem, dlaczego tak uważasz – powiedział Aleks.

– Jest dosyć radykalny. Mówi nie tylko o reformach moralnych, ale także religijnych.

– No właśnie. Według jego teorii prawda o naturze i wszystkich jej tajemnicach wyjdzie na jaw tylko wtedy, kiedy będzie istniała wolność myślenia nieograniczona dogmatami religijnymi. Uważał, że człowiek, jako naukowiec i badacz, musi mieć wolność eksperymentowania, żeby móc podważyć obowiązujące teorie.

– Idee i teorie, które do tamtego czasu opierały się na wierze w Boga – dopowiedziała Emma.

Harold skinął głową.

– Ale to był wiek siedemnasty, jeśli czyjeś poglądy za bardzo odbiegały od idei Kościoła, to ich wyznawca naprawdę musiał się obawiać o swoje życie. Poza tym Winckel kładł nacisk na duchową stronę wiary, prawo jednostki do wyboru wiary, w co jej się podoba, i wyznawania jej na własny sposób, o ile dobrze się z tym czuje i jeśli taka wiara pomaga jej w jakikolwiek sposób. Dążył do prawdziwego braterstwa ludzi, niezależnie od płci i pochodzenia, i uważał, że różne religie mogą istnieć obok siebie. Nie było ważne, do jakiego Kościoła się należało. Chodziło o humanizm. Człowieczeństwo i empatię.

– A więc fundamentaliści religijni bali się jego teorii jak ognia – podsumował Alek.

– Nie tylko jego teorii – odpowiedział Harold.
– Jego pieniędzy również. Wouter Winckel nie bogacił się dla siebie. Gromadząc kapitał zarobiony na sprzedaży cebulek, miał przed oczami

inny cel. Dużą część pieniędzy przeznaczył nie dla rodziny czy znajomych, ale na...

– ...rozwój nauki – dokończył Damian.

– Właśnie tak, panie Vanlint, na rozwój nauki.

Tak jak Frank, pomyślał Alek. To nie był przypadek. Frank świadomie wybrał katalog ce-
bulek tulipanów z aukcji Woutera Winckla, aby ukryć tam kartkę. Czy Winckel był dla niego in-
spiracją? Czy Frank chciał wspomóc rozwój nauki, handlując tulipanami, tak jak Winckel w siedemnastym wieku? Z tego, co wiedział, Frank nie w ten sposób zdobył pieniądze. Do tej pory nie znaleźli nic, co by na to wskazywało.

* * *

W samochodzie w drodze powrotnej Alek powiedział:

– Wyobraź sobie, że to wszystko ktoś wymyślił, wiedział od początku, jaki będzie bieg wydarzeń.

– Co masz na myśli?

– Według mnie wszyscy wiedzieli, że po śmierci Winckla dzieci trafią do sierocińca.

– Tak, no i co z tego?

– To, że wiedzieli też, że jego kolekcja cebulek zostanie zlicytowana, a pryncypał sierocińca stanie się jej współwłaścicielem. Dick opowiadał, że w tamtym czasie to była normalna praktyka. Jeśli dzieci tam trafiały, to jakiś procent ich majątku otrzymywał sierociniec. Wyobraź sobie, że to wszystko zostało wcześniej zaplanowane.

– Ale van Benthum mówił, że prawdopodobnie chodziło o motyw religijny. Winckla udusili jego własnymi pamfletami.

– A może było inaczej, może to tylko miało wyglądać na morderstwo z przyczyn religijnych, ale tak naprawdę chodziło o kolekcję cebulek tulipanów, która miała wpaść w ręce pryncypała sierocińca? Może chodziło wyłącznie o pieniądze? Następnym krokiem było sztuczne

zawyżenie cen cebulek, żeby aukcja przyniosła większe zyski...

– ...i rozpowszechnienie informacji o cenach, jakie cebulki osiągnęły w przedsprzedaży.

Alek skinął głową.

– Chcesz powiedzieć, że twoim zdaniem motyw religijny odpada? Chodziło tylko o pieniądze? To był w końcu czas świetności protestantów. Oszczędność była bądź co bądź dewizą protestanckich radykałów.

– Cały handel tulipanami opierał się na chciwości – powiedział Alek cicho do siebie.

– Mogę sobie wyobrazić, że dążenie do skromności trudno było pogodzić z handlem cebulkami. Z pieniędzmi, które się z tym łączyły, z bogactwem i przepychem, jakim otaczali się spekulanci. Fanatykom religijnym było to solą w oku.

– Emma, jeśli tak naprawdę było, to wszystko staje się jasne. Od razu wiadomo, dlaczego cały

rynek się załamał. Przypuśćmy, że rzeczywiście znalazło się kilka osób, które chciały powstrzymać ten cały handel, którym się to wszystko nie podobało.

– Pewnie coś by to wyjaśniało – powiedziała cicho Emma.

– Em, właśnie sobie coś przypomniałem. Ten pseudonim Winckla, którym podpisał pamflet. Augustus Semper. Zapomnieliśmy zapytać, jak na tej podstawie udało im się dojść, że ten pamflet był napisany przez niego.

Emma wzięła telefon.

– Mam w torbie wizytówkę van Benthuma.

Wybrała numer podyktowany przez Alka. Archiwista odebrał prawie natychmiast.

– Panie van Benthum, przepraszam, że panu przeszkadzam, ale zapomnieliśmy o coś zapytać. Chodzi o pseudonim „Augustus Semper”, którym podpisał się Winckel – wyjaśniła Emma.

– Tak?

– Dlaczego użył takiego przezwiska?

– Wouter Winckel nawiązał w ten sposób do tulipana o nazwie *Semper Augustus*.

– Do tulipana? – powtórzyła Emma. Patrzyła na Alka, podnosząc brwi.

– Tak, do najcenniejszego tulipana wszech czasów. Chodziły słuchy, że Winckel posiadał jedną jego cebulkę. Dlatego wiadano, że to on napisał ten pamflet, właśnie przez ten pseudonim.

– Czy tę cebulkę sprzedano podczas aukcji w Alkmaar?

– Nie, to jest dziwna historia. Lista sprzedaży znajduje się w naszym archiwum. Tulipana *Semper Augustus* na niej nie ma. Aha, jeszcze jedna sprawa: kiedy państwo odjechali, pomyślałem jeszcze o czymś i od razu to sprawdziłem. Już wcześniej, kilka lat temu, był tutaj ktoś o nazwisku Schoeller, interesował się Wouterem Wincklem. Sam z nim wtedy nie rozmawiałem,

ale mój kolega mi o tym przypomniał. Znalazłem jego kartę czytelnika.

– Wszystko zaczęło się od śmierci Paula Rijena, mojego przyjaciela. Znałem go od czasów studenckich – powiedział Dick.

– To Frank też go znał.

– Spotkali się kiedyś, tak. Jakiś czas temu otrzymałem straszną wiadomość, że popełnił samobójstwo. To był szok. Szanowałem jego wybór, ale z jakiegoś powodu ta śmierć nie dawała mi spokoju. Uważałem, że nie był osobą, która mogłaby się na to zdecydować. Kochał życie, miał rodzinę i obsesję na punkcie swojej pracy. Oczywiście nigdy nie wiadomo, co się dzieje w czyjejś głowie, ale... To samobójstwo zawsze wydawało mi się dziwne, wcale do niego nie pasowało. No właśnie tak, nie pasowało – powiedział zamyślony. – Ale ponieważ Paul żył

swoją pracą, to życie nie było nic warte, kiedy w pracy przyszły niepowodzenia. Zrozumiałem to dopiero później.

Dick wypił łyk cappuccino.

– Jakies dwa miesiące po śmierci Paula dostałem wiadomość od jego żony z prośbą o spotkanie. Pokazała mi list pożegnalny i dała płytę. Opowiedziała, w co Paul się zaangażował, a o czym nikomu nie mówił. Na płycie znajdował się dokument.

Pochylił się, otworzył teczkę i wyciągnął z niej raport. Zacisnął usta i zaczął rysować palcem kółka na okładce.

– Czy to ten dokument? – zapytał Damian.

Dick skinął głową.

– Naprawdę się przestraszyłem tego, co przeczytałem, i uznałem, że trzeba coś zrobić. Wpadłem na głupi pomysł, żeby przeczytać to Frankowi. Gdybym tego nie zrobił, nic by się nie wydarzyło. Może by żył i wszystko byłoby

dobrze. – Otarł twarz dłonią. – Powiniennem wiedzieć, że Frank na tym nie poprzestanie. Znałem go dostatecznie dobrze. To był początek nieszczęścia. Od tego wszystko się zaczęło.

Damian wziął raport.

– „W drodze do pokoju na świecie” – przeczytał. – Dobra intencja, ale co to ma wspólnego z...

Dick wyciągnął rękę.

– Poczekaj, wytłumaczę ci. Paul angażował się w naukę całym sercem. Jako antropolog specjalizował się w religii. Religii w najszerszym tego słowa znaczeniu, a więc także w wydaniu, które my, chrześcijanie, uważamy za przesady lub czystą obrzędowość, a które dla niektórych ludów są właśnie religią. Był zafascynowany potrzebą i skutkami wiary w różnych grupach społecznych na całym świecie i wiedział jak nikt inny, do czego to wszystko może prowadzić.

– Do wojny – powiedział Damian z ironią.

Dick pokręcił głową.

– Paul patrzył na to inaczej. Był humanistą. Wierzył w miłość, kontakty międzyludzkie, tolerancję i wzajemne zrozumienie. Te wartości znajdował w humanizmie chrześcijańskim. Praca dawała mu przekonanie, że wiara może wzmocnić społeczność i dzięki temu doprowadzić do utworzenia pokojowej wspólnoty, gdzie ludzie będą sobie nawzajem pomagali, będą dla siebie dobrzy.

– To samo mogłoby dotyczyć społeczności ateistycznych.

– Zgadzam się z tobą, Paul też tak myślał do roku dwa tysiące pierwszego. Ataki na World Trade Center przyczyniły się do tego, że zmienił zdanie – on i wielu innych. Jednym z efektów tych zamachów, nie tylko w Ameryce i Europie Zachodniej, było przekonanie, że coś trzeba zrobić, żeby chronić zachodnie normy i wartości,

żeby zachować naszą wolność i zasady demokratyczne.

Dick pokręcił głową.

– W tej chwili naszym światem rządzi strach, Damian, wiesz to tak samo dobrze jak ja. A świat pełen strachu jest podatny na religię. Ludzie szukają w życiu oparcia, czegoś spójnego i zrozumiałego, czegoś, co daje nadzieję.

– Przecież nic złego w tym nie ma?

– Nic złego w tym nie ma. Jeśli o mnie chodzi, mogą wierzyć, w co chcą. W „coś”, w „inteligentny projekt” czy w dziadka z siwą brodą, który spogląda na nas z nieba. *Whatever*.

– A Paul?

– Był jednym z ludzi, którzy uznali, że coś trzeba zrobić, trzeba zorganizować akcję. Zdecydował się na założenie think tanku.

– Think tanku? Niezależnej agencji naukowej?

– Tak, i Paul założył taką agencję na wzór amerykański. W Stanach think tanki są często finansowane przez firmy, które wykorzystują wyniki badań publikowanych przez te agencje. Biznes w Ameryce bardzo chętnie posiłkuje się pracą takich agencji.

Dick pokazał trzy palce.

– Mają tam trzy możliwości, żeby wpłynąć na politykę rządu. Pierwsza: finansowe wsparcie kandydata na prezydenta. Druga: lobbowanie polityczne, żeby tą drogą rozpowszechnić koncepcje korzystne dla danej korporacji. I trzecia metoda, najbardziej lukratywna, przekazywanie pieniędzy na think tank, pieniędzy koniecznych do finansowania ich badań. Ale nie tylko to. Czasami think tanki są zakładane przez jakąś branżę.

– Sprytny pomysł.

– Jeśli think tank pisze raport, to jest on poparty argumentami naukowymi, statystykami i badaniami, udokumentowanymi

i uzasadnionymi – kontynuował Dick. – Tak więc wydaje się, że raport pochodzi z niezależnego źródła, ale to nieprawda. Ponadto think tanki mogą prowokować debaty.

– Mądry plan. W ten sposób docierają nie tylko do świata polityki, ale i do opinii publicznej.

– Właśnie. Paul jako naukowiec podjął tę inicjatywę samodzielnie, nie na zlecenie polityków lub biznesmenów. Ale tam znalazł wsparcie, kiedy budował sieć kontaktów. Znał bardzo wiele osób. Nie tylko ze środowiska naukowego, ale także ze świata sztuki, polityki, mediów i biznesu. Część z nich zaprosił do udziału w think tanku, aby pomogli znaleźć pokojowe rozwiązania, które przywróciłyby w kraju poczucie wspólnoty. Do nich należało obmyślenie nowej formy misji.

– Misji?

– Tak, ponieważ według Paula i jego otoczenia humanistyczne wartości chrześcijańskie są podstawą do zbudowania świata bez wojen i agresji. Poza tym te wartości stanowią już część kultury Zachodu, tylko ciągle się zmieniają i rozmywają. Oprócz ludzi, którzy wraz z nim myśleli nad tą misją, Paul potrzebował środków, aby ją przeprowadzić. Dzięki jego znajomościom grupa badawcza miała stały dopływ pieniędzy. Wszyscy zdawali sobie sprawę z ważności projektu, dlatego można było połączyć siły.

Dick spojrzał na Damiana.

– Mogę sobie wyobrazić, że zastanawiasz się, co Frank miał wspólnego z Simonem. Chcę, żebyś zrozumiał, jaki sposób myślenia doprowadził do założenia SCF. Zależy mi, żeby to do ciebie dotarło. Dlatego ci to wszystko opowiadam.

Podniósł raport.

– W tym raporcie opisali rezultat wspólnych wysiłków. Ogólnie rzecz ujmując, doszli do wniosku, że aby osiągnąć swoje cele, muszą wywierać wpływ na trzy tradycyjne instytucje stanowiące podstawę cywilizowanego społeczeństwa: rodzinę, Kościół i szkołę.

– Trudno ludzi zmuszać do wiary w coś, z czym nic ich nie wiąże. Jak oni sobie to wyobrażali? – zapytał Damian.

– Psychologia tłumu była punktem wyjścia całej strategii, nie można zapominać o obecnej niepodatności ludzi na religię. Ale masz rację. Właściwie prowadzili wojnę religijną, tylko ta wojna nie miała ofiar w ludziach i była niewidoczna. Toczyła się etapami. Na początek starali się promować w mediach ważność naszych chrześcijańskich norm i wartości. Następnie rekrutowano kluczowe osoby, ludzi zajmujących wysokie pozycje społeczne, wpływowych i cieszących się szacunkiem. Te osoby

miały głosić w swoim środowisku zasady humanizmu chrześcijańskiego w formie wypracowanej przez think tank. Wtedy Paul odkrył, że ktoś nadużywa jego dobrych intencji, że wykorzystuje je do własnych celów, z którymi się całkowicie nie zgadzał.

Zakurzony figowiec drapał ją w szyję. Dawn obróciła się na krześle i nogą przesunęła doniczkę do tyłu. Kiedy rozejrzała się dookoła, zastanowiło ją, jak Ben może tutaj pracować. Nie tylko figowiec był zakurzony. Wszystko było szare i brudne. Ściany, komputery, drzwi, nawet ludzie. To właśnie jest dziwne w Holendrach, pomyślała, kontrast między tym, jak zachowywali się w wolnym czasie i jak prezentowali się w pracy. Na wakacjach siedzieli długo przy stole, próbowali nawzajem swoich dań i starannie wybierali wino do obiadu. Ale w życiu codziennym sprawiali wrażenie, że muszą pokutować za ekscesy, na które pozwolili sobie w czasie urlopu. Na stole stawiali garnki z mdłym holenderskim jedzeniem, wino pili do obiadu tylko w weekendy. I te ich urodziny. „Prawie jak

mały. Siedzą w kręgu i zajadają w milczeniu orzeszki ziemne” – opowiadała jej kiedyś przyjaciółka.

Patrzyła na Bena ciągle jeszcze gapiącego się w ekran. Nad monitorem jego komputera stały trzy zdjęcia. Na pierwszym – ruda kobieta w krótkiej fryzurze, wesoła i beztroska. Na następnym – chłopczyk z wypłowiałymi od słońca włosami ostro odcinającymi się od niebieskiej wody w basenie. Na ostatnim zdjęciu widniała rodzina w komplecie. Wszyscy ubrani od stóp do głów na pomarańczowo, śmiejąc się, patrzyli w obiektyw. Ben miał nawet pomarańczowa perukę. Stali pośrodku wielkiego parku ze straganami. Niektórzy sprzedawcy wyłożyli swój towar na trawie.

– Co to, mecz piłki nożnej? – zapytała, wskazując na zdjęcie.

– Co? Nie, to urodziny naszej królowej. Obchodzimy je trzydziestego kwietnia. Wszyscy mają wtedy wolne i bawią się na festynach.

– A ci sprzedawcy? – zapytała. – Oni przecież pracują.

– To nie są zawodowi sprzedawcy. W tym dniu wszyscy mogą sprzedawać, co chcą. Stare i niepotrzebne rzeczy ze strychu, bułki i kanapki, napoje w puszkach i takie tam rzeczy.

– Aha, więc zarabiacie forszę na urodzinach królowej?

– Tak, właściwie tak.

Bardzo dziwny naród, pomyślała Dawn.

– O, i proszę. Tyle wiemy o Versteegenie. Wydrukuję ci.

51

– Ale kto i w jaki sposób nadużył dobrych intencji Paula? – zapytał Damian.

– Jak już mówiłem, Paul nie pracował sam. Wiele osób tworzyło plany razem z nim, było też sporo darczyńców.

– Mówiłeś przed chwilą, że wszyscy dążyli do tego samego celu.

Dick nachylił się do niego.

– Posłuchaj, właśnie w tym punkcie coś poszło nie tak. Paul dowiedział się, że nie wszyscy zaangażowani w ten projekt byli nastawieni pokojowo i dzielili jego ideały. Ci ludzie mieli sekretny plan.

– O co im chodziło?

– O rozpowszechnianie fundamentalistycznego chrześcijaństwa w Europie Zachodniej.

Wykorzystywali do tego plan opracowany przez think tank. Chrześcijaństwo miało być środkiem, dzięki któremu zamierzali doprowadzić do wszechstronnej, globalnej dominacji Zachodu. A gdzie są ku temu lepsze warunki niż w naszym kraju? Mamy chrześcijańskie szkoły, uniwersytety, szpitale, domy opieki społecznej, stacje telewizyjne, gazety, partie polityczne. Chociaż żyją u nas katolicy, luteranie i zreformowani, to wszyscy oni wyznają tę samą religię. Na tym chciano się oprzeć. Należało nie tylko rozszerzyć grupę wierzących, ale i zradyzalizować wiarę.

– A więc byli w to zamieszani chrześcijańscy fundamentaliści?

Dick spojrzał na niego z troską w oczach.

– Paul próbował ich powstrzymać. Kiedy zdał sobie sprawę z tego, że nie kontroluje już sytuacji, popełnił samobójstwo.

– Ale nie mógł jeszcze próbować temu przeciwdziałać?

Dick potarł twarz rękami i powiedział:

– Kiedy Paul zobaczył, że jego wielkie dzieło zostało w ten sposób wykorzystane, zawałała się podstawa jego życia. Rozumiał, jak każdy myślący człowiek, że fanatyzm religijny prowadzi do ograniczenia wolności. Do powstania świata, w którym kobiety są wyzyskiwane, który zwraca się przeciwko homoseksualistom, w którym zakazane jest czytanie niektórych książek i oglądanie określonych filmów, w którym cenzuruje się nawet muzykę. Do powstania świata, w którym nie ma miejsca dla ludzi myślących inaczej. Nie takiego świata chciał Paul. Jemu chodziło o wzmocnienie poczucia solidarności, wspólną religię uważał za jedyne sposob, żeby osiągnąć ten cel.

– Dick, naprawdę myślisz, że w Holandii mogłoby do czegoś takiego dojść? Do palenia książek i tym podobnych incydentów? Nie

oszaleliśmy przecież. Poza tym religia już od wielu lat jest w odwrocie.

– Jeśli mówisz o sekularyzacji, to masz częściowo rację, ale religia wypełnia olbrzymią lukę. To jest w porządku, dopóki ta potrzeba nie jest reżyserowana, a tak się właśnie dzieje, Paul też się do tego przyczynił.

Potem popatrzył smutno i dodał:

– W najgorszym przypadku odrodzą się radykalne grupy religijne, które będą walczyły ze wszystkimi swobodami wypracowanymi przez wieki. Frank tak się tym zaniepokoił, że postanowił rozpocząć intensywną współpracę z kilkoma bogatymi biznesmenami, żeby te plany powstrzymać. Był inicjatorem, mózgiem kontrofensywy.

– Założył SCF.

– Otóż to. Myślę, że Frank i Simon zostali zamordowani właśnie przez chrześcijańskich fundamentalistów, którzy w perfidny sposób dostali

się do think tanku Paula. Dlaczego? Ze względu na cel, który obydwaj chcieli osiągnąć za pomocą SCF. Chcieli przeciwdziałać radykalnemu ruchowi powstałemu z inicjatywy Paula. Chcieli oddać hołd nauce i nie chcieli pozwolić, żeby niezależnie myślący zostali sprowadzeni do roli stada owiec, którym religia dyktuje, jak mają żyć. Fundusz miał bardzo dużo pieniędzy, Frank i Simon chcieli ich użyć, aby udowodnić, że teoria ewolucji jest prawdziwa. W ten sposób mieli agitować przeciwko fundamentalistycznym ruchom wyznaniowym. – Popatrzył przed siebie i dodał: – Kiedy Frank dowiedział się, jak wieki wcześniej próbował temu przeciwdziałać – w pokojowy sposób – Wouter Winckel, postanowił pójść w jego ślady.

– Winckel? Ten sam, który handlował tulipanami?

– Tak, właśnie on był jego inspiracją. Winckel musiał to, co robił, przypłacić życiem.

– Co musiał przypłacić życiem?

– Dążenie do swobody działania, do wolności słowa. I mam tu na myśli swobodne wyrażanie własnych poglądów, ale nie prawo do obrażania w prosty sposób ludzi myślących inaczej, które obecnie bywa mylone z wolnością słowa. Moim zdaniem nie ma to z nią nic wspólnego.

Dick wziął do ręki papierową podstawkę pod kufel, zaczął ją drzeć na drobne kawałki i wrzucać je do pełnej popielniczki.

– Jesteśmy tylko ludźmi i musimy jakoś ze sobą żyć, musimy żyć razem – powiedział. Popatrzył na Damiana. – Frank znalazł coś, co należało kiedyś do Winckla, coś o nieoszacowanej wartości. – Pokazał Damianowi, żeby się do niego przybliżył, i wyszeptał: – *Semper Augustus.*

– *Semper Augustus?*

Dick skinął głową.

– Cebulkę najcenniejszego tulipana. Tak cenną, że przez wieki wątpiono w jej istnienie. Podobno w siedemnastym wieku były tylko trzy takie cebulki. Nikt nie wiedział, do kogo należą.

– Jeśli było ich tak mało, to można je było po prostu rozmnożyć, prawda?

– Nie, nie w tym tkwił problem. Tulipanów z katalogu, który ci pokazywałem, z płomiennymi smugami na płatkach, nie dało się rozmnożyć. Dlatego były tak rzadkie i tak kosztowne. Hodowcy w tamtych czasach nie rozumieli, dlaczego nie mogli uzyskać takich kwiatów jak te, które wyrastały z cebulki matki – z jej cebulek przybyszowych wyrastały zwykle tulipany – jednokolorowe albo z bardzo cienkimi smużkami. Nie wiedzieli, że płomienne smugi powstają za sprawą wirusa. Odkryto go dopiero w dwudziestym wieku. To jest wirus mozaikowy przenoszony przez mszyce.

– Wirus, a więc coś szkodliwego, przyczynił się do powstania najpiękniejszych tulipanów i jednocześnie do tylu nieszczęść – odezwał się Damian, patrząc przed siebie.

– Wieść niesie, że cebulki *Semper Augustus* miało troje ludzi. Jednym z nich był Wouter Winckel, ale nigdy tego nie udowodniono.

– Gdyby ją miał, zostałaby sprzedana na aukcji wraz z resztą kolekcji.

– O to właśnie chodzi, że nie została sprzedana. Zakładano więc, że była to plotka. Dopóki Frank nie znalazł tej cebulki ponad trzysta lat później.

Dick położył rękę na ramieniu Damiana.

– Możesz sobie wyobrazić, co by było, gdyby udało się wyhodować na nowo *Semper Augustus*? Jeśli za pomocą najnowszej techniki, dzięki obecnemu stanowi nauki, udałoby się sklonować ten tulipan?

– Można by zarobić miliony.

– Dziesiątki milionów. O to chodziło Frankowi. – Dick podniósł palec. – Nie chciał ich dla siebie, przypominam. Te pieniądze miały stanowić olbrzymi zastrzyk finansowy dla nauki. Góra pieniędzy na rozmaite badania. – Dick patrzył zamyślony przed siebie. – Według mnie mordercy Franka i Simona szukają cebulki. Wiedzą, ile jest warta, i chcą ją wykorzystać do własnych celów. Chcą użyć tulipana *Semper Augustus* do realizacji swoich planów, do finansowania światowej ekspansji chrześcijańskiego fundamentalizmu.

– Ale kim oni są?

– W tym tkwi problem. Jeszcze się tego nie dowiedziałem. W liście pożegnalnym do żony Paul opisał całą tę historię. Zaznaczył, że wie, kim są ci ludzie, ale ich nazwiska zabierze do grobu.

Damian skinął głową.

– Żeby chronić swoją rodzinę?

– Tak. Ale ja się dowiem, kto to jest, kto ma to wszystko na sumieniu. Tylko ja mogę ich powstrzymać.

* * *

Przed Coetzerem stała trzecia filiżanka kawy, gazeta była wciąż otwarta na trzeciej stronie. Przesunął krzesło w stronę Dicka i Damiana, najbliżej, jak się dało bez zwracania na siebie uwagi. Przez głośniczek w uchu mógł się swobodnie przysłuchiwać całej rozmowie.

Przestraszyła się przeraźliwego dźwięku dzwonka rozlegającego się w pustym domu. Przeszła do pokoju wychodzącego na ulicę i ostrożnie wyjrzała przez okno.

Mężczyzna stojący przed drzwiami był niski, przez chwilę myślała, że to dziecko. Czarny płaszcz sięgał mu do kostek. Miał czarne, błyszczące buty i czerwony szal z dzianiny zawiązany pod stojącym kołnierzem. Walizeczka, którą trzymał w ręku, pamiętała lepsze czasy. Kiedy Tara zobaczyła, że wyciąga palec do dzwonka, uznała, że wygląda na tyle niegroźnie, żeby podjąć ryzyko. Podeszła do drzwi i otworzyła je.

W jego oczach zobaczyła błysk zdumienia.

– Dzień dobry pani. – Mężczyzna wyciągnął rękę. – Nazywam się Wolters. Szukam pana Vanlinta.

– Nie ma go w domu. Powiedział pan: Wolters?

– Tak.

– Mam na imię Tara, jestem dziewczyną Alka Schoellera. Zdaje się, że pan pracuje w domu aukcyjnym?

Powoli skinął głową.

– Proszę wejść, wiem o wszystkim.

– Ja... yyy... nie wie pani, o której wróci pan Vanlint? Powinienem był wcześniej zadzwonić, ale akurat byłem w pobliżu, dlatego wstąpiłem.

– Potrwa trochę, zanim wróci, ale proszę wejść, domyślam się, że chce pan coś powiedzieć o kodzie z kartki ukrytej w książce o tulipanach?

Popatrzył na nią z ulgą.

– Tak, o to chodzi.

– Czy kluczowym słowem był wyraz „tulipa”?
Skinął głową.

– Proszę za mną.

Kiedy wszedł, obejrzała się jeszcze za siebie.

– Kawy?

– Bardzo chętnie.

Wolters zdjął płaszcz i usiadł za stołem kuchennym. Ujął w dłonie kubek, który Tara postawiła przed nim chwilę potem, i upił porządny łyk. Kiedy usiadła naprzeciwko niego, powiedział:

– Mielicie rację, kluczowym słowem jest rzeczywiście „tulipa”.

– Domyślaliśmy się tego. Nie mogło być inaczej.

– Przepraszam za ciekawość, ale jak na to wpadliście?

– Udało się panu odcyfrować? – zapytała Tara.

Wolters włożył rękę do wewnętrznej kieszeni marynarki i wyjął kawałek papieru.

– Przeczytać?

– Proszę.

Popatrzył na nią uważnie.

– Czy na pewno przekaże pani tę wiadomość panu Vanlintowi?

– Dam mu tę notatkę do ręki, jak tylko się zjawi, może pan być pewien.

Rozwinął kartkę.

– Dobrze, oto, co udało nam się odcyfrować:

Jego boską urodę

Ledwie nieliczni nosić mogą

W tym srebrnym domu z duszą,

Póki do życia nie wróci.

Semper Augustus.

Popatrzył na Tarę.

– Mówi to coś pani?

Tara próbowała zachować neutralny wyraz twarzy. Serce biło jej mocno, bała się, że Wolters to usłyszy. Cieszyła się, że posłuchała swojej intuicji, czuła, że musi się znaleźć w pobliżu Alka, żeby się dowiedzieć, gdzie ukryto cebulkę. Ale jeszcze nie wszystko wiedziała. Jeszcze nie wszystko.

– Posunęliśmy się do przodu o tyle, że wiemy, co to znaczy, że nie jest to już dla nas czarna magia. Serdecznie dziękuję. Damian i Alek na pewno bardzo się ucieszą.

Przesunęła krzesło do tyłu i wstała.

Wolters popatrzył na nią.

– *Semper Augustus* to odmiana tulipana, prawda?

– Bardzo panu dziękuję, panie Wolters. Zaraz im to pokażę, jak tylko wrócą do domu – odpowiedziała wymijająco. Wyciągnęła rękę, żeby wziąć kartkę.

– Co nam pokażesz?

Odwróciła się zaskoczona do Alka i Emmy stojących w drzwiach. Wzięła się w garść i odpowiedziała:

– Pan Wolters był uprzejmy przyjść, żeby poinformować nas, że odkodowali tekst. Tutaj, proszę.

Alek skinął głową w kierunku Woltersa. Patrząc na Tarę, wziął kartkę z jego rąk.

– Panie Schoeller... – Rzecznawca wstał i niespokojnym ruchem zgarnął płaszcz. – Pójdę już. Mam nadzieję, że nie ma pan do mnie pretensji, że opowiedziałem wszystko pana dziewczynie.

Alek spojrzał na Tarę i otworzył usta, żeby coś powiedzieć, ale powstrzymał się, kiedy napotkał jej wzrok.

– Nie, skądże. Odprowadzę pana – zwrócił się do Woltersa.

Kiedy wrócił, podszedł prosto do Tary. Cofała się przed nim i z hałasem opadła na krzesło.

– Co ty próbujesz nam wmówić? Jaka moja dziewczyna? O co ci chodzi?

– Nie rozumiesz? Chodzi o *Semper Augustus*. Cebulka jest ukryta w jakimś srebrze – odparła Tara. Miała szeroko otwarte oczy, a jej policzki płonęły niezdrowym rumieńcem.

– Odpowiesz mi, do cholery? Znałaś Franka lepiej, niż nam mówiłaś. Znałaś go bardzo dobrze. Proszę, czytaj.

Wyjął z kieszeni spodni kartkę z mejlem i rzucał jej w twarz. Upadła Tarze na kolana. Rozwinęła ją. Chwilę później spojrzała na niego obojętnie.

– Teraz wiecie, jak blisko byliśmy, teraz rozumiecie, dlaczego to jest takie ważne. Czy Frank ma jakieś srebra w domu? Może ma gdzieś jakiś sejf?

– Przestań chrzanić o tym srebrze. Chcę, żebyś mi wyjaśniła, o co chodzi, co ty masz z tym wszystkim wspólnego.

Wzruszyła ramionami i milcząc, patrzyła przed siebie.

Alek przykucnął przed nią i położył ręce na jej kolanach.

– Okej, zawrzemy umowę. Powiesz mi wszystko o swoim udziale w tej sprawie. A ja opowiem ci potem o kolekcji sreber Franka. Dobrze?

Oczy jej się zaświeciły.

– Aha, więc miał srebra? Może wiesz, czy miał też jakieś egzemplarze z siedemnastego wieku?

Alek skrzyżował ręce i patrzył na nią w milczeniu.

– Okej, dobrze. *Semper Augustus*. Słyszałeś kiedyś o nim?

– Tak, nawet dzisiaj. Najcenniejszy tulipan na ziemi – powiedziała Emma. – Pytanie, czy naprawdę kiedyś istniał.

– Istniał, istniał. Powinniście wiedzieć, że Frank zlecił mi poczynienie przygotowań do odtworzenia tego tulipana.

– Odtworzenia? Masz na myśli: wyhodowania?

– Nie, Em, wiem dokładnie, o czym ona mówi – odpowiedział Alek. – Miała go sklonować.

– Sklonować? – powtórzyła zdziwiona Emma.
– Przecież to niemożliwe, konieczne byłyby żywe komórki.

Tara spojrzała na nią, uśmiechając się.

– Ja to potrafię. Potrafię wykonać dokładną kopię genetyczną. Kiedy Frank zwrócił się do mnie z pytaniem, czy chciałabym się tego podjąć, zaoferował mi wielkie pieniądze, żebym zbadała możliwości w tym zakresie. Udało mi się.

– I ta cebulka jest ukryta w srebrnym domu z duszą? – zapytała Emma.

– Dlatego pytałam o kolekcję sreber. Możesz mi odpowiedzieć?

– Zaraz – odparł Alek. – Jeszcze nie skończyłem. Dlaczego Frank chciał sklonować tego tulipana?

– Żeby zarobić na nim pieniądze.

– Miał ich wystarczająco dużo.

– Ale nie dosyć. Można na tym zarobić kilkadziesiąt milionów. Po latach prób w końcu wyhodowano tulipany ze smugami na płatkach, które można kupić za kilka euro, przypominają tamte. Ale nie mają z nimi nic wspólnego. Są sfalszowane, to podróbki. Co będzie, jeśli na rynek trafi prawdziwy *Semper Augustus*? Odmianna z tak bogatą przeszłością? W siedemnastym wieku prawie nikt nie widział jej na żywo. Dzięki klonowaniu możemy sprawić, że stanie się znana. To nie będzie słaba podróbka, ale bezpośredni potomek tamtego tulipana. Prawdziwy *Semper Augustus*.

Emma spojrzała na nią.

– A co ty będziesz z tego mieć?

– Szacunek, uznanie. Ale przede wszystkim poważanie w świecie nauki. Może nawet dostanę jakąś prestiżową nagrodę? W końcu wyrobię sobie nazwisko. Nie macie pojęcia, jak funkcjonuje ten mój światek. Nikomu nie można ufać, pomysły i wyniki badań są wciąż kradzione. I wykończą cię, jeśli nie udowodnisz, ile jesteś warta. – Załamał się jej głos. – Wszystko przygotowałam, wszystko opisałam, zrobiłam próbne badania, przeanalizowałam wyniki. Wszystko było gotowe, brakowało tylko cebulki – ciągnęła cicho. – Frank ją miał. I potem go zamordowano. Tylko on wiedział, gdzie ona jest. Powiedział mi kiedyś, że ukrył ją w miejscu, gdzie nikt jej nie znajdzie. Więc kiedy zobaczyłam, jak idziesz do domu Simona, pomyślałam, że bez wdawania się w szczegóły zaprowadzisz mnie do tej cebulki.

– Nieźle to wykoncypowałaś – skwitował Alek.

– Tak – odpowiedziała w zamyśleniu.

– Kto cię śledzi?

Spojrzała na niego pytająco.

– Mnie? Ach, to masz na myśli. O ile wiem, nikt.

– Nikt? – Alek zaklął. – To kto nas ścigał, kiedy cię zabieraliśmy?

– A kto powiedział, że ktoś nas ścigał? – Wzruszyła ramionami. – Gdybym nie udawała, że ktoś nas śledzi, Damian nie pozwoliłby mi tu zostać.

* * *

Dick w zamyśleniu schodził po schodach. Wiatr wciskał się w podziemne przejścia stacji metra i pchał go w kierunku opuszczonego peronu. Zagubiony liść zaszeleścił pod stopami. Plastikowa torebka przefrunęła obok niego z wdziękiem.

Spojrzał na zegarek i zagapił się na brudny, czarny mur po przeciwnej stronie peronu.

Uchwyt teczki lepił mu się do dłoni. Oderwała się taśma, którą był sklejonny. Dick postawił teczkę między nogami i wydrapywał resztki kleju z dłoni.

Usłyszał, że ktoś wchodzi na peron. Kroki ucichły tuż za nim. Nagle ktoś wykopał teczkę spomiędzy jego nóg. Patrzył z otwartymi ustami, jak zatacza łuk i otwiera się po uderzeniu o szyny. Kartki pofrunęły nad torami i zostały wessane do tunelu.

– Co...

Odwrócił się oszołomiony. Ktoś zasłonił mu usta ręką. Wizg zwalniającego metra zbliżał się coraz bardziej. Ostatnim dźwiękiem, który usłyszał, był mrozący krew w żyłach krzyk. Ostatnim pytaniem, które sobie postawił, było, czy to jego krzyk.

Usłyszeli trzask drzwi. Chwilę potem Damian wszedł do pokoju.

– Wolters przyszedł, Tara była uprzejma go przyjąć i wypytać, co go tutaj sprowadziło – poinformował Alek. Damian wyczuł w jego głosie ironię. Zerknął na nią. Alek wyjaśnił, czego się dowiedzieli.

– A więc słowo klucz się zgadzało – powiedział Damian.

– Tak, czytaj, zobacz, co odcyfrowali.

Po kilku sekundach podniósł oczy. Wzrok miał niespokojny.

– *Semper Augustus*. Dick właśnie mi o nim opowiadał. A więc to prawda, Frank posiadał jego cebulkę. Szczerze mówiąc, nie chciało mi się wierzyć, kiedy Dick o tym mówił.

– Dick chciał z tobą o tym rozmawiać? – zapytała Emma.

– I jeszcze o kilku innych sprawach, zaraz wam opowiem. Alek, Frank posiadał kolekcję sreber, prawda?

– Kolekcja to za duże słowo, miał jakieś dwadzieścia przedmiotów. Kilka bardzo ładnych.

– Z siedemnastego wieku? – Tara patrzyła na niego w napięciu.

– Tak, wydaje mi się, że tak.

Po kilku krokach była przy nim. Chwyliła go za ramię tak mocno, że Alek poczuł jej paznokcie przez tkaninę marynarki.

– Musimy jechać do Londynu, zobaczymy, czy uda się coś znaleźć. – Pociągnęła go za rękaw. – Czy rzeczywiście gdzieś jest ukryta.

Alek uśmiechnął się szyderczo.

– Chyba nie myślisz poważnie, że w jednym z tych przedmiotów ukryta jest cebulka?

Sposób, w jaki na niego patrzyła, zamienił niedowierzenie w wątpliwość.

– Ale z ciebie zarozumiały dupek! – wykrzyczała. – Przecież tutaj jest napisane, na tej kartce, czarno na białym.

– Mam ci chlusnąć w twarz szklanką wody czy sama przestaniesz histeryzować? – Emma patrzyła na nią zimnym wzrokiem. Potem spojrzała na Damiana. – Przywieziemy tę kolekcję tutaj?

Skinął głową.

– Alek, zadzwoń do Tibbensa, niech zawiezie srebra na lotnisko i przekaże naszemu pilotowi. Możemy je tutaj mieć w ciągu kilku godzin.

– A jeśli ją znajdziemy, jeśli ta cebulka jest rzeczywiście gdzieś ukryta, to co wtedy? – zapytała Emma Alka.

– Nie wiem jeszcze.

– Ja wiem – odezwała się Tara.

Twarz Alka spochmurniała.

– Zapomnij. Jesteś ostatnią osobą, która by ją dostała. Frank i Simon przez nią zginęli. Z tego, co widać, zupełnie cię to nie dotknęło. Nic cię to nie obchodzi. Interesuje cię tylko ta cebulka. Myślałem, że chcesz nam pomóc, że chcesz wiedzieć, kto ma śmierć Franka i Simona na sumieniu. Zastanawiałaś się kiedyś nad sobą, popatrzyłaś kiedyś dobrze w lustro? Brzydzę się tobą.

Tara patrzyła na niego z wściekłością.

– To, że nie pokazuję, co czuję, nie znaczy, że nic nie czuję. Naprawdę uważasz, że jestem bezdusznym potworem? Dotknęło mnie to bardzo, ale teraz mam inne priorytety – wycedziła. Wciągnęła ręce i dodała: – Chyba możesz sobie wyobrazić, co to dla mnie znaczy? Wcale mi nie chodzi o pieniądze, chodzi mi o tulipana *Semper Augustus*.

– Gdyby chodziło ci właśnie o to, byłbym w stanie zrozumieć. Ale tak nie jest. Chodzi ci tylko o siebie, o twoje ego.

Tara powoli pokręciła głową i przymknęła oczy.

– Mogłam mu pomóc w osiągnięciu celu – powiedziała drżącym głosem.

Alek zaśmiał się szyderczo.

– Pomóc? Nie udawaj, że jesteś taka szlachetna. – Odwrócił się od niej. – Rzygać mi się chce, jak na ciebie patrzę.

Tara wybiegła z pokoju. Drzwi zamknęły się za nią z trzaskiem.

* * *

Damian wziął walizkę od szofera. Postawił ją w salonie na podłodze. Alek przykucnął i podniósł wieko. W środku leżało dwadzieścia pakunków zawiniętych w folię bąbelkową

i oklejonych taśmą. Po kwadransie wszystkie srebra stały na podłodze.

– Cholera, w którym z nich mógł schować tę cebulkę?

Alek patrzył na wszystkie przedmioty.

– Taka cebulka jest za duża, żeby się zmieściła w którymś z tych sreber.

Wszyscy spojrzeli na Tarę wchodzącą do pokoju. Z przekrwionymi oczami podeszła nieśmiało do Alka i powiedziała:

– To wszystko, co mi powiedziałaś, jest prawdą. Masz rację. Trzeba było mną potrząsnąć, żebym się obudziła. Zachowałam się okropnie.

Obronnym gestem skrzyżowała ręce na piersiach.

– Chodzi przede wszystkim o to, żeby złapać mordercę, i o nic innego. Ja... ja nawet nie potrafiłabym pracować z tą cebulką. Jest splamiona krwią. – Potrząsnęła głową. – Nawet nie chcę jej już mieć.

– Chodź – odezwała się Emma. – Pomożesz nam. Zdaje się, że musi być ukryta w jednym z tych sreber.

Każdy z nich wziął coś do ręki. Tara chwyciła świecznik, obróciła go do góry nogami i zaczęła zdzierać ochronny filc z podstawki. Potem zajrzała do środka. Potrząsnęła przecząco głową.

– Tutaj nic nie ma, ale gdzieś musi być.

Po jakimś czasie odezwała się Emma:

– Zdaje się, że tutaj coś jest. Popatrzcie.

Podniosła klamrę i pokazała jej najszerszą część.

– Tutaj jest wyryty tulipan.

– Pokaż – poprosił Damian.

Podniósł klamrę do oczu. W najszerszym miejscu widać było mały tulipan wygrawerowany w srebrze. Przejechał po nim palcem i nacisnął. Ku jego zdziwieniu górna część klamry się uniosła.

– A więc jednak – powiedziała cicho Tara.

Patrzyli na klamrę, Damian podniósł ją wyżej. Zajrzał w szparę i potrząsnął przecząco głową.

– Nie, nic nie ma, pusto.

– A ta? Są dwie. – Alek wziął klamrę do ręki i powtórzył wszystkie czynności. Druga klamra też się otworzyła. Włożył palce do środka. Chwilę później trzymał w ręku maleńki brązowy woreczek.

– Mój Boże! – krzyknęła Tara.

Alek otworzył go i wytrząsnął zawartość na dłoń. Leżało na niej coś brązowego, wyglądało jak rodzynek i miało nie więcej niż centymetr.

– Całkiem wyschnięta – powiedział cicho Alek. – Nie ma w niej już życia.

– Nawet nie wiesz, ile życia potrafię z tego wydobyć! – powiedziała Tara podnieconym głosem.

- A co z tą drugą klamrą? Dlaczego jest pusta?
- W głosie Emmy było słycać zadumę.
- Myślę, że tam była ukryta kartka ze słowami „W tym srebrnym domu z duszą” – powiedział Alek.
- A więc Frank wyjął tę kartkę z klamry i włożył ją do księgi o tulipanach.

Londyn, 2001

– Proszę tu poczekać – powiedział Frank Schoeller do kierowcy, wysiadając z samochodu.
– Zaraz wracam.

Poranki były ostatnio chłodne, ale temperatura stopniowo rosła i teraz słońce grzało dość intensywnie. Asfalt na Kings Road wchłaniał ciepło. Frank czuł, jak fala gorąca przenika przez nogawki spodni.

Otarł twarz chusteczką. Przystanął przed wystawą salonu z antykami i podziwiał wyeksponowaną na niej komodę. Była pokryta błyszczącą skórą płaszczy, mysioszarą w jasne kropki. Uchwyty z kości słoniowej przy drzwiczkach i szufladach wyglądały jak nowe.

Zadzwoił. Usłyszał brzęczenie i popchnął drzwi.

– Panie Schoeller, jak pan się czuje? – przywitał go antykwariusz, podchodząc.

– Znakomicie, a co u pana słychać? Jak interesy?

– Dobrze, nie może być lepiej. Czym mogę panu dzisiaj służyć? Szuka pan czegoś specjalnego?

– Nie, niczego specjalnego, chcę trochę pomyszkować.

– Proszę bardzo, wie pan, jak mnie znaleźć.

Frank przechodził obok gablot i oglądał kolejne przedmioty. Figurki Netsuke z kości słoniowej – małpki, kwiatki i wojownicy. Miniaturowe zegarki z delikatnymi malunkami na emaliowanych tarczach. W olbrzymiej chińskiej wazie obok stołu na środku pomieszczenia pływały złote rybki. Poszedł na tyły salonu, gdzie

stały meble. Wciągnął głęboko zapach woskowej pasty. Nagle stanął obok niego właściciel.

– Panie Schoeller, chyba mam coś interesującego... chodzi o to... pan pochodzi z Holandii, prawda?

– Tak, z Holandii.

– Oczywiście nie wiem, czy to pana zainteresuje, ale to są holenderskie wyroby, z siedemnastego wieku, więc może... Proszę poczekać, zaraz przyniosę.

Frank usłyszał szuranie w sąsiednim pokoju.

– Proszę zobaczyć – powiedział właściciel, trzymając coś w ręce. Otworzył dłoń i rozwinął bibułkę. – Kupiłem to ostatnio na aukcji w Holandii. Doskonała robota.

– Sygnowane?

– Tak, proszę za mną, pokażę panu.

Zapalił lampę ze szkłem powiększającym przy biurku i położył pod nią klamry. Frank pochylił

się i spojrział przez szkło. Były piękne w swojej prostocie, eleganckie. Tylko górną część każdej z nich zdobił pojedynczy tulipan.

– Tutaj widać sygnaturę. Widzi pan? – Palec antykwariusza ukazał się w powiększeniu. Paznokciec dotykał prawie niewidocznego znaku wybitego z boku klamry.

– Wyszukałem. To jest znak siedemnastowieczny, nie mogę powiedzieć dokładnie, z którego roku, ale wyryto go około tysiąc sześćset trzydziestego, może troszkę później. Klamry są wykonane przez złotnika z Alkmaar. Zna pan to miasto?

– Oczywiście, to piękne, stare miasto w północnej Holandii.

– Aha.

– Mogę obejrzeć?

– Oczywiście, proszę bardzo.

Frank usiadł. Dokładnie oglądał obie klamry pod szkłem powiększającym. Kiedy jeszcze raz

przyjrzał się wygrawerowanemu tulipanowi, dostrzegł pod nim jakiś napis. Litery były tak małe, że z trudem dało się go przeczytać pod szkłem powiększającym.

– Tulipa – powiedział cicho.

Gładząc palcami srebro, wyobrażał sobie, jak przed wiekami bogaty kupiec dumnie nosił te klamry przy butach. Nie wszyscy byli tym pewnie zachwyceni. W tamtym czasie bogactwem nie należało się chwalić.

– Ach, ci kalwiniści... „Normalność jest już dostatecznie szalona” – mruzczał pod nosem, wstając z krzesła.

– Podobają mi się te klamry, chociaż nie są jakieś wyjątkowe. O, tutaj, widzi pan, tutaj mają wgniecenie. Ale ja jestem już starszym, sentymentalnym człowiekiem. Może pan to wykorzystać. Jaką cenę pan proponuje?

Przy stole kuchennym Frank wziął szklanę, nalał do niej trochę koniaku i wypił. Włożył rękawicę impregnowaną środkiem do czyszczenia srebra i zaczął polerować klamrę. W miejscu grawerunku szorował mocniej, żeby usunąć czarny nalot. Nagle poczuł jakiś ruch pod palcami. Położył klamrę na stole, zdjął rękawicę i ze zdumieniem przyglądał się otwartej klamrze. Wziął ją do ręki i przysunął do twarzy. Z trudem dostał się do wąskiego otworu. Kiedy cofnął dłoń, trzymał w palcach rolkę papieru w kolorze sepii.

Mechanicznie brzmiący głos Dicka poinformował go, że wiadomość można zostawić po usłyszeniu sygnału.

– Dick, tutaj Damian. Zadzwoń do mnie jak najszybciej. Znaleźliśmy coś. To bardzo ważne, zadzwoń, jak tylko będziesz mógł.

Nie zdążył nawet odłożyć telefonu, kiedy znowu usłyszał dzwonek. Rozpoznał numer.

– Cześć, Dick, słuchaj, ja...

– Przepraszam – odezwał się kobiecy głos. – Dzwonię ze szpitala, zobaczyłam, że próbował się pan połączyć z tym numerem. Czy jest pan spokrewniony z panem Beerensem?

– Słucham? Nie, jestem jego przyjacielem. O co chodzi? Leży w szpitalu?

– Przykro mi, że muszę to panu powiedzieć, ale niestety, pan Beerens zmarł kwadrans temu.

– Co pani mówi? Zmarł? To niemożliwe! Rozmawiałem z nim przed godziną!

– Przywieziono go tutaj godzinę temu. Spadł z peronu prosto pod metro. To był wypadek. Zdaje się, że jego teczka spadła na tory i próbował ją odzyskać, ale nie zdążył wejść z powrotem na peron. Albo się potknął. Nikt tego nie widział. Był nieprzytomny, kiedy go przywieziono.

Damian odłożył telefon. Oblał go zimny pot. To znaczy, że morderca jest niedaleko, pomyślał. Jeśli to prawda, to bardzo możliwe, że wie, kim jesteśmy i gdzie nas znaleźć.

Wbiegł przez korytarz do pokoju.

– Musimy uciekać. Natychmiast. Dick nie żyje.

Tara i Alek patrzyli na niego z niedowierzaniem. Emma krzyknęła i zasłoniła usta dłońmi.

– Dzwonili ze szpitala. Powiedzieli, że wpadł pod metro. Według szpitala upadł, uważają, że to był wypadek. To, oczywiście, nieprawda. Nie jesteśmy tu bezpieczni. Musimy uciekać. Razem z cebulką.

– Uciekać? Dokąd? – zapytała Tara.

– Na wyspę.

Po raz trzeci tego wieczoru Dawn otworzyła akta sprawy Simona Versteegen. Nie potrafiła się skoncentrować. Gdzieś słyszała nieustające stukanie. Do pokoju hotelowego docierały głębokie basowe dźwięki co chwila przerywane czymś, co przypominało muzykę. Zauważyła, że wychwytuje tę melodię, czyniła ona monotonne stukanie bardziej znośnym.

Podeszła do okna, uchyliła je i wyjrzała na zewnątrz. Kiedy stała na palcach, mogła dostrzec z daleka fragment kanału. Pod nią szły ulicą rozbawione grupki ludzi. Zobaczyła, jak jeden z chłopców odłącza się od przyjaciół i wymiotuje na ganku kamienicy naprzeciwko hotelu. Wyobraziła sobie, jak jej mieszkaniec, wychodząc jutro rano do pracy, wdeptuje w wymiociny.

Zamknęła okno. Kiedy zaciągała zasłony, zauważyła, że ktoś otwiera drzwi budynku naprzeciwko. Zamachnął się mocno i wylał wiadro wody na miejsce, gdzie chłopak zwymiotował.

Wróciła do łóżka, położyła się i znowu wzięła do ręki akta sprawy. Versteegen miał siedemdziesiąt trzy lata, kiedy go zamordowano. Pochodził z licznej rodziny, studiował prawo, karierę zawodową zakończył jako dyrektor dużej firmy farmaceutycznej. Był członkiem kilku rad nadzorczych. Poszedł na emeryturę w wieku sześćdziesięciu lat. Nie dlatego, że dopiero wtedy mógł sobie na to pozwolić, rodzina była zamożna, ale dlatego, że wcześniej nie chciał. Ożenił się dwa razy, sam nie miał dzieci, ale miał pasierbicę. Adoptował ją po śmierci drugiej żony. Była jego jedynym spadkobiercą.

Dawn rozłożyła przed sobą fotografie z miejsca zbrodni.

– Musi tu coś być, po prostu musi – szeptała do siebie.

Po kolei brała je do ręki i odkładała z powrotem. Przy zdjęciu, o którym opowiadał jej Ben, ze smugami krwi Versteegen na ścianie nad łóżkiem, usiadła prosto. Trzymała je przed sobą i przymrużyła oczy. Miał rację, smugi przypominały tulipana. Wzięła zdjęcie ze zbliżeniem malunku i zmarszczyła brwi. Wydawało jej się znajome. Widziała je gdzieś wcześniej? Pokręciła głową i zamknęła segregator. Może niepotrzebnie wierzyli, że jest jakiś związek między morderstwem Schoellera i Versteegen. A jeśli są to dwie zupełnie oddzielne sprawy?

Położyła akta sprawy na podłodze i włączyła telewizor. Kiedy znalazła kanał BBC, wstała i podeszła do minibarku. Ukucnęła przy lodówce. Nagle coś przemknęło jej przez głowę. Wzięła torbę i wyjęła zdjęcia Schoellera.

– Gdzie to jest? No, musi gdzieś tu być – mruzczała do siebie, przeglądając stosik. – A! Mam!

Schoeller leżał na stole sekcyjnym. Ciało było umyte, ale sekcja jeszcze się nie rozpoczęła.

– Wiedziałam, wiedziałam!

Krew została wytarta, ale rysunek był wyraźny. Rany na ciele przypominały smugi na ścianie u Versteegen. Dwie górne układały się w literę U. Między nimi widać było głębokie nacięcie prosto w dół, które wyglądało jak łodyga kwiatu. Dwie rany kłute biegły ukośnie po obu stronach pionowego nacięcia.

– Tulipan? – wyszeptała.

Zadzwoił telefon. Podniosła go, nie odrywając oczu od zdjęcia.

Wyboista, piaskowa droga przez fryzyjskie łąki została wytyczona specjalnie po to, żeby móc dotrzeć na wyspę. Deszcz zamienił ją w błoto. Damian powoli manewrował samochodem, wymijając głębokie dziury i podmokłe pobocza. Półtora kilometra dalej droga kończyła się niewielkim asfaltowym placykiem służącym za parking.

Zimny wiatr wył na otwartych równinach. Kiedy wysiadali, zacinający deszcz zaczął kłuć ich w twarze jak szpilki. Wyjęli bagaże z samochodu i szli wąską ścieżką do pomostu. Daleko bujało się w tę i z powrotem jakieś światełko.

– Damianie, macie dosyć światła?

Przez silny wiatr głos był ledwie słyszalny.

– Tak, stój tam, gdzie stoisz – krzyknął Damian.

Weszli na pomost, do którego przywiązano niewielką białą łódź.

Obok stał rosły mężczyzna. Blond włosy przyklejały mu się do czoła, a przemoczony sweter żeglarski zwisał ciężko z szerokich ramion.

– Dobrze, że mogłeś przyjechać, Sytse.

– Oczywiście, Damianie. Chodźcie, wsiadajcie, panie będą całkiem przemoczone.

Trzymał łódź, która chwiała się niebezpiecznie na falach kanału, a oni po kolei wsiadali. Damian stanął obok Sytsego, który włożył kluczyk do stacyjki. Dieslowski silnik zapalił z charkotem.

– Wszystko przygotowane – zawołał Sytse, próbując przekrzyczeć dźwięki silnika i szum deszczu. – Jedzenie jest w lodówce, wiesz, jak znaleźć resztę. Jeślibyście czegoś potrzebowali, to dajcie znać, przywiozę.

Przepłynęli przez przesmyk i dziesięć minut później zacumowali po drugiej stronie.

Wyspa zajmowała około kilometra kwadratowego. Damian kupił ją okazynie przed wielu laty. Zburzył stojącą na niej starą zrujnowaną stodołę. Potem przez wiele lat ziemia leżała odłogiem, aż w końcu się zmobilizował i postawił tam duży dom. Miejskowa komisja do spraw estetyki z oporami przełknęła nowoczesny projekt, ale ostatecznie gmina udzieliła pozwolenia na budowę.

Sytse wysadził ich na pomoście, przywiązał łódź, wsiadł do własnej i odpłynął w ciemną, burzową noc. Patrzyli za nim. Wkrótce zniknął im z oczu.

Rozdzierający ból przeszył mu głowę i przez kręgi szyjne dotarł do kręgosłupa. Pod mężczyzną ugięły się kolana. Próbował powstrzymać ciało przed upadkiem, ale nie potrafił ustać. Upadł ciężko na bok. Deszcz wlewał mu się prosto do uszu i oczu, zacisnął powieki, żeby pozbyć się wody. Ktoś chwycił go za nadgarstek i ciągnął za palce. Nie, tylko nie klucz, pomyślał. Zacisnął dłoń w pięść, czuł jak ząbki klucza wpijają mu się w rękę. Uchylił powieki. Napastnik w kapturze naciągniętym na głowę pochylał się nad nim jak niewyraźny cień. Nagle puścił jego dłoń. Poczował mocne szarpnięcie za sznurek, do którego był przyczepiony klucz, a który wystawał spomiędzy palców. Tarmoszenie ustało. Rozluźnił na chwilę mięśnie. Musiał się skoncentrować, ale przeszkadzało mu

ból głowy. Skoncentruj się, Sytse, skup się. Nagły palący ból w ręce stał się nie do zniesienia. Mężczyzna zaczął krzyczeć. Dwa uderzenia w głowę zakończyły sprawę. Opadł w płytkie błoto, dłoń rozwarła się sama.

* * *

Z każdym powiewem wiatru niewielka łódź dryfowała na lewo. Coetzer coraz bardziej oddalał się od swojego celu: niewielkiego przesmyku, który miał go zaprowadzić na wyspę. Nie widział nawet ręki wyciągniętej przed twarzą. Deszcz padał z siłą i intensywnością tropikalnej ulewy. Pokręcił sterem i łódź znowu zmierzała w dobrym kierunku. Wiedział, że jeśli teraz uda mu się utrzymać kurs, to powinien dotrzeć prosto do celu.

Nagle z wody coś się wyłoniło. Wyrosło przed nim całkiem nieoczekiwanie. Jednym szarpnięciem pociągnął ster do siebie. Łódź skręciła od

razu w prawo, lecz nie mógł już wyminąć boi. Uderzył w nią z głuchym odgłosem. Jego ciało poleciało do przodu, trafił brodą w krawędź małej kabiny sterowej. Podniósł się, przeklinając i wycierając krew.

Patrzył przez strugi deszczu i zorientował się, że jest po dobrej stronie przesmyku. Po lewej widać było kontury domu. Kiedy opuścił dźwignię, ryk silnika zmienił się w delikatny szum. Kilka minut później ostrożnie przycumował łódź do pomostu.

– Dobrze – powiedział Damian, kiedy rozgościli się w salonie. – Teraz, kiedy tu bezpiecznie dotarliśmy, mogę wam powiedzieć, czego się dowiedziałem od Dicka. Potem musimy podjąć decyzję, co zrobimy z cebulką.

Po wysłuchaniu całej historii Alek oświadczył:

– Wiem, co z nią trzeba zrobić. Przynosi nieszczęście. Już troje ludzi przez nią zginęło. Czego chcemy? Żeby pojawiły się następne ofiary? Albo żeby wpadła w niepowołane ręce? Poza tym czy stałoby się jakieś nieszczęście, gdybyśmy o niej już więcej nie usłyszeli? Jeśli *Semper Augustus* na zawsze pozostanie mitem? Kto będzie za nim tęsknił? Nikt, zupełnie nikt. – Alek popatrzył na nich. – Musimy zniszczyć tę cebulkę.

– Jak śmiesz proponować coś takiego! – krzyknęła Tara ze złością. – Człowieku, przecież nie o to chodzi! Chyba nic nie rozumiesz! Chodzi o cel, który wyznaczył sobie SCF. Jeśli zniszczysz cebulkę, to ich zdradzisz. To by znaczyło, że Frank, Simon i Dick zginęli na darmo!

– Nie do mnie z taką gadką! Pieniądze można zbierać zewsząd. Teraz, kiedy Franka już nie ma, poszukają sobie nowych donatorów. Nie, ja dokładnie wiem, co trzeba zrobić z tą cebulką.

Alek otworzył klamrę, wytrząsnął z niej woreczek i podszedł do kominka. Płomienie były wysokie i lizały poczerwiałe ściany. Pomarańczowy blask odbijał się w srebrze.

– Nie! – krzyknęła Tara i rzuciła się do przodu. Całym ciężarem ciała uwiesiła się na jego ramieniu.

Damian podszedł i chwycił ją za rękę.

– Pozwól mu to zrobić – powiedział, odciągając ją siłą. – On ma rację, już dosyć tych nieszczęść.

Próbując się uwolnić, wydyszała:

– Poczekaj, posłuchaj. Nie rób tego. Nie możecie tak po prostu zniszczyć tej cebulki. Nie możesz tego zrobić choćby ze względu na Franka. On chciałby, żeby jego praca była kontynuowana. Znałam go, był większym zapaleńcem, niż myślicie. Nie macie pojęcia, jakie to było dla niego ważne. To był jego jedyny cel.

Alek nie ruszał się od kominka.

– Poza tym ona należy do mnie. – Tara podniosła głos. – Ja decyduję, co z nią zrobić. *Semper* jest i będzie mój!

Damian potrząsnął nią z całej siły.

– Obudź się, do cholery! Ten idiotyczny tulipan przynosi same nieszczęścia. Chcesz, żeby zginęło jeszcze więcej ludzi? Nie rozumiesz, że

jeśli tak się stanie, to będziesz za to współodpowiedzialna?!

Nagle schyliła się i ugryzła go mocno w dłoń. Krzyknął i puścił ją. W tym samym momencie drzwi salonu otworzyły się z hukiem.

Przerażeni patrzyli na stojącego w wejściu mężczyznę z pistoletem skierowanym w ich stronę. Był wysoki i wyglądał na silnego. Miał ogorzałą twarz. W uśmiechu pokazał rząd białych, równych zębów. Wolną ręką otarł krew z brody. Wzrok miał spokojny. Przyglądał się im po kolei, wreszcie jego jasnoniebieskie oczy spoczęły na Alku. Kąciki ust podniosły się w grymasie.

– Dobry wieczór. Pan ma na imię Alek? Właśnie pana szukam. A właściwie tego, co ma pan w rękach.

Oczy Alka skierowały się w stronę kominka.

– Nie próbowałbym na pana miejscu. Chyba że chce pan tutaj jatki. Mogę ją urządzić, jeśli panu na tym zależy. Widział pan, jak wyglądali pana stryj i Versteegen? A Beerens to też nie był przyjemny widok, mogę pana zapewnić. To samo może się przydarzyć pana przyjaciołom. Chce ich pan mieć na sumieniu? Powoli, do przodu, dobrze. Jeśli byłby pan uprzejmy stanąć tam... Proszę usiąść, wszyscy. Siadać, siadać.

Słuchali rozkazów, którym towarzyszyły ruchy broni.

– Szkoda, że nie było pana, kiedy pana stryj dostał się w moje ręce – dodał, kiedy wszyscy usiedli. – Powinien pan to widzieć. Muszę przyznać, że prawie poczułem do niego szacunek. Pierwszy raz miałem do czynienia z kimś, kto nie chciał puścić farby.

Alek skoczył, ale Damian szarpnął go z powrotem.

– Aaa, tu mamy pana Damiana Vanlinta. Dowiedziałem się już o panu wszystkim. Dobrze się bawiliście?

Coetzer przejechał dłonią po twarzy, żeby zetrzeć krople deszczu spływające mu z włosów, i wszedł dalej do salonu.

– Kim jesteś? – zapytał Damian.

– Nieważne.

– Jak się tu dostałeś?

– Pożyczyłem łódź. On jej teraz i tak już nie potrzebuje.

– Co mu zrobiłeś, draniu!?! – krzyknął Damian.

– Teraz to jest najmniej ważne. – Coetzer się uśmiechnął. – Mam inne priorytety. Wszyscy wiemy, o co chodzi. *Semper Augustus* na mnie czeka.

Alek zaśmiał się szyderczo.

– To jedziemy na tym samym wózku. Pewnie ktoś ci wmówił, że ta cebulka jest warta fortunę?

– Alek wskazał na kominek. – Wiesz co, weź ją! Zabierz ją jak najdalej ode mnie!

Oczy Tary skierowały się na Alka.

– On ma rację – powiedziała. – Nie jest nic warta. Wiem, bo zostałam wynajęta do sklonowania tej cebulki.

– Nie musisz mi mówić, kim jesteś. Kłamiesz.

Tara potrząsnęła głową.

– Wiem dobrze, co mówię. Obejrzałam ją dokładnie. Teraz zobaczyłam ją dopiero po raz pierwszy. Jest całkowicie wysuszona. Nic się z nią nie da zrobić.

– Poczekaj, pokażę ci ją. – Alek wstał i zrobił kilka kroków w kierunku kominka.

Coetzer skierował w niego pistolet.

– Stop. Słyszałem, jak o niej rozmawialiście, widziałem, jak chciałaś mu ją odebrać. Bezsensowne działanie, jeśli cebulka nie byłaby nic warta, prawda?

Alek zaklął.

– Kim jesteś? Dla kogo pracujesz?

Sardoniczny śmiech odbił się echem od ścian salonu.

– Ależ jesteś żałosny. To nie twoja sprawa. Mówię jeszcze raz: siadaj. Albo nie, mam lepszy pomysł.

Zrobił dwa kroki i stanął przy Emmie. Chwycił ją za włosy, pociągnął jej głowę do tyłu i przycisnął pistolet do skroni.

Dawn wysiadła z samochodu. W ciągu kilku sekund była przemoczona do suchej nitki. Wiatr wiał jej w twarz i pchał w stronę wody. Chwiejąc się, włożyła na siebie płaszcz przeciwdeszczowy, który ktoś wcisnął jej do ręki, i nasunęła kaptur. Szła szybko za detektywami w kierunku pomostu. Buty grzęzły w błocie i z każdym krokiem zdawały się coraz cięższe.

Pomost nie leżał prostopadle do wąskiego wybrzeża, ale rozciągał się na całą jego szerokość. Zanim detektywi do niego doszli, zatrzymali się. Dawn zobaczyła, że Ben pokazuje coś z lewej strony i przyspiesza. Pobiegnęła do nich najszybciej, jak mogła.

– Co się stało? – zapytała, dysząc, kiedy stanęła za nimi. Siedzieli w kucki i nad czymś się

pochylali. Jakiś mężczyzna leżał na boku, twarzą w kałużę. Ben przekręcił go na plecy. Odsunął kołnierz swetra i przycisnął palce do szyi.

Spojrzał na niego.

– To szyper, którego Vanlint załatwił, żeby przewiózł nas na drugą stronę. Jest nieprzytomny, musimy wezwać pogotowie.

Popatrzył na kolegę i wskazał kciukiem wodę burzącą się przy pomoście.

– Jadę z nią na drugą stronę. Ty zostań tutaj, poprowadzisz pogotowie. Inaczej nas nie znajdą.

Dawn nie usłyszała ani słowa, ale dokładnie zrozumiała jego gest. Spojrzała przez wzburzoną wodę na drugi brzeg, gdzie w oddali paliło się nikłe światełko.

– Jak tam dotrzemy? Tu nie ma żadnej łodzi.

Ben wstał. Razem podeszli do pomostu. Przechylił się do przodu, wzrokiem lustrował brzeg.

– Tędy. Tutaj coś leży – krzyknął.

Przedarli się przez trzciniowe zarośla. Dawn próbowała unikać kontaktu z ostrą trawą bijącą ją po twarzy. Kiedy dogoniła Bena, stał już jedną nogą w żelaznej łódce. Chwyliła jego dłoń i wskoczyła do środka. Łódka chwiała się niebezpiecznie.

– Uważaj! – krzyknął Ben, trzymając się burt dwiema rękami. – Nigdy nie skacz! Do łódki zawsze trzeba wchodzić. Usiądź, odepchnę ją. Bierz wiosło, ja wezmę drugie.

– Jasne, dla was to zwyczajna rzecz – krzyknęła. – Staram się, jak mogę!

Ben odepchnął łódkę i usiadł obok niej.

– Dobrze, na mój znak zaczynamy, okej?

Ruszyli powoli, ale kiedy złapali rytm, nabrali tempa. Wkrótce pomost zniknął im z oczu.

– Raz, dwa. Raz, dwa – krzyczał Ben prosto w jej ucho.

Teraz parli szybko do przodu. Dawn spojrzała za siebie. Spod kaptura dojrzała wyspę. Zbliżali

się do niej z każdym uderzeniem wiosł, metr za metrem.

60

Coetzer tak silnie przycisnął lufę do skroni Emmy, że jej twarz wykrzywił ból. Głową wskazał Alka.

– Weź ten woreczek i podaj mi go, inaczej strzelę jej w głowę.

Damian poczuł, jak adrenalina przepływa przez jego ciało. Nie ruszać się, spokojnie. Wziął głęboki oddech i podniósł ręce.

– Spokojnie, dostaniesz ją. Alek?

Oczy Coetzera śledziły Alka, który odwrócił się do kominka i wziął cebulkę do ręki. Nagle Damian skoczył do przodu. Całą siłą pociągnął ze sobą mężczyznę. Upadli. Damian przydusił go do ziemi i chwycił za uszy. Z całej siły uderzył głową Coetzera o kamienną podłogę. Ten

z krzykiem puścił pistolet. Damian postawił go z powrotem na nogi.

– To potrafisz, ty pieprzony tchórze! – Kopnął Coetzera w krocze, mężczyzna upadł z jękiem na podłogę, krzyżując ręce między nogami. – Mam! – pisnęła Tara, kiedy Damian chciał go przytrzymać. Trzymając broń w dwóch rękach, skierowała ją na Coetzera. Damian puścił go i wstał. Kiedy zrobiła krok w kierunku napastnika, ten płynnym ruchem wyciągnął z pochwy na kostce nóż i podniósł rękę.

Nagle rozległ się strzał. Głowa Coetzera poleciała do tyłu. Lewe oko było szeroko otwarte i patrzyło z najwyższym zdumieniem w sufit, w miejscu prawego ziała krwawa rana. Głowa powoli opadła na bok.

Alek i Damian stali z otwartymi ustami, patrząc na Tarę. Przyglądała się pistoletowi jak zahipnotyzowana, zaciskała go z taką siłą, że aż

zbielały jej kostki. Alek podszedł do niej powoli i wyciągnął rękę.

– Już dobrze, daj mi to, już dobrze.

Gwałtownie potrząsnęła głową. Popatrzyła na Alka i Damiana i wymierzyła do nich. Trzęsącymi się rękami celowała raz w jednego, raz w drugiego.

– Emma, chodź tutaj, stań obok nich. Okej. Alek, bądź tak uprzejmy...

– Nie!

– Nie? – spytała. – Więc nie pozostawiacie mi wyboru – dodała, kiedy się nie ruszył.

Jej palce powoli zaciskały się wokół spustu.

– Stop! Policja! Rzuć broń! Ręce do góry!

Detektyw trzymał Tarę na muszce. Od razu otworzyła dłoń. Z rewolwerem dalej skierowanym na nią kopnął leżący na ziemi pistolet w stronę Dawn.

Alek spojrział na nią zdziwiony.

– Co ty tu robisz?

– Zadzwoił do nas – powiedziała Dawn, wskazując Damiana. – To jest Van Dongen, holenderski detektyw.

– Miło pana poznać – rzucił Ben.

– Co z szyprem? – zapytał Damian.

– O ile wiem, jest w drodze do szpitala. Był nieprzytomny, kiedy go znaleźliśmy.

– Niech pan chwilę zaczeka – odezwał się Alek. – Damian? Przecież umówiliśmy się, że nie zawiadomimy policji.

– Kiedy usłyszałem, że Dick nie żyje, zadzwoniłem do Scotland Yardu, poprosiłem do telefonu Wainwrighta i powiedziałem mu wszystko, co wiedziałem. Naciskałem na niego, żeby spróbował zwabić mordercę do nas. On skontaktował się z detektyw Williams, która akurat była w Amsterdamie.

Alek zaklął.

– Użyłeś nas jako przynęty! Co ci przyszło do głowy! Mogliśmy wszyscy zginąć!

– Gdyby nie załatwił Sytsego, policja przybyłaby na czas.

– Och, nie! – Tara patrzyła oszołomiona na swoje dłonie. Czy to była ona? Czy to ona mierzyła z pistoletu do ludzi? Zaczęła się trząść i szcząkać zębami. Powoli opadła na podłogę. Ktoś ją przykrył. Spojrzała. Obok niej przykucnął Alek.

– Lepiej się czujesz?

Tara zaprzeczyła ruchem głowy. Oparła się dłonią o podłogę i zwymiotowała. Łzy płynęły po jej twarzy, a skurcze co chwila wstrząsały ciałem. Ktoś położył jej na czole mokrą szmatkę i przycisnął ją ręką. Woda ściekała po twarzy.

– Co ja zrobiłam? – wyszeptała.

– Cicho, cicho, wszystko będzie dobrze.

Podniosła na niego zapłakaną twarz.

– Przepraszam, zupełnie inaczej sobie to wyobrażałam.

Alek skinął głową.

– Nie szkodzi, wszystko się dobrze skończyło.

– Alek, i co my zrobimy z tą cebulką? Grzechem byłoby ją ot tak wyrzucić albo zniszczyć. Chyba się ze mną zgadzasz?

61

Kew Gardens są idealnym miejscem wypoczynku dla londyńskich turystów szukających spokoju. To dawny ogród prywatny króla Jerzego III położony na obrzeżach miasta. Pod koniec dziewiętnastego wieku wybudowano tu ogrody botaniczne i otwarto je dla zwiedzających. Na stu trzydziestu dwóch hektarach ziemi posadzono czterdzieści tysięcy gatunków różnych wyjątkowych roślin. W ogrodzie rozrzuconych jest też kilkadziesiąt zabytkowych budowli. Tara i Alek zameldowali się przy bramie po lewej stronie żeliwnego parkanu. Zbliżał się czas zamknięcia. Spotkali kilkoro turystów zmierzających do wyjścia.

– Uważam, że to doskonale rozwiązanie – powiedział Alek.

Tara przytaknęła.

– *Semper Augustus* znajdzie się tu w dobrych rękach. Cieszę się, że się ze mną zgodziliście.

Tara nie odezwała się ani słowem w drodze z wyspy do Amsterdamu. W domu poszła od razu na górę.

Następnego dnia oświadczyła im, że wymyśliła, co należy zrobić z cebulką *Semper Augustus*. Rano skontaktowała się z Karlem Petersonem, dyrektorem Kew Gardens. Podczas sympozjum wysłuchała jego wykładu na temat Milenijnego Banku Nasion, projektu, który został zapoczątkowany przez niego w dwutysięcznym roku. Była pod dużym wrażeniem entuzjazmu, z jakim opowiadał o swoim pomysle. W Wakehurst w hrabstwie West Sussex, niedaleko Kew Gardens, w olbrzymich podziemnych magazynach przechowywano nasiona kwiatów i roślin z całego świata. Stanowiły źródło wiedzy dla

następnych pokoleń, ale w wypadku klęsk żywiołowych i katastrof spowodowanych przez człowieka mogły także służyć do odtworzenia zasobów żywności. Wśród nasion wielu roślin, w tym kwiatów, w bunkrach przechowuje się też nasiona zbóż, owoców i warzyw.

Kiedy Tara powiedziała mu, o co chodzi, nie mógł uwierzyć w swoje szczęście. Peterson zapewnił ją, że *Semper Augustus* będzie u niego bezpieczny na zawsze.

Zatrzymali się na skrzyżowaniu.

– W lewo czy w prawo? – zapytał Alek.

– Chwileczkę, zaraz zobaczę, nie przechodziliśmy jeszcze obok tego... Tak, już widzę, musimy iść tędy, biuro jest naprzeciwko Temperate House, tej wielkiej szklarni, którą tam widać.

Zeszli z głównej drogi i ruszyli ścieżką między kilkusetletnimi drzewami i krzewami, szli w kierunku olbrzymiej szklarni w stylu wiktoriańskim.

Pierwsza kondygnacja została zbudowana z kamienia otynkowanego na biało. Okna były tak wielkie, że ściana zdawała się cała ze szkła. U góry kończyły się na metalowej belce nośnej. Z tego punktu szklane płyty były ułożone na skos aż do belki nośnej na drugim piętrze gmachu o łącznej wysokości piętnastu metrów.

Tuż przed wejściem do szklarni skręcili w lewo i zatrzymali się przed budynkiem z czerwonej cegły. Między drzwiami a framugą wisiała skórzana torebka obciążona piaskiem, która nie pozwalała drzwiom się zamknąć. Alek przepuścił Tarę w wejściu.

Duży stojący zegar tykał cicho. Pachniało woskiem i kadzidełkiem. Wiekowy parkiet błyszczał. Ściany wzdłuż schodów były zawieszane sztychami kwiatów i roślin w wąskich złotych ramkach.

Alek wskazał na górę i spojrzał na Tarę, podnosząc brwi.

– Nie mam pojęcia, jeszcze nigdy tutaj nie byłam.

– Może powinniśmy zadzwonić? Przecież on wie, że będziemy, prawda? Halo? Jest tu kto?

Podłoga na górze zaskrzypiała. Usłyszeli odsuwanie krzesła i chwilę potem różne kroki, które zatrzymały się na szczycie schodów.

– Państwo przychodzą do naszego dyrektora, pana Karla Petersona? – wycedził jakiś człowiek. – Oczekuje państwa, proszę wejść na górę, pierwsze drzwi na prawo.

Pokój był urządzonej nowocześnie. Na dużym białym biurku stał monitor, a obok okazała mięsożerna roślina. Zwisały z niej kokony, do których zwabiała małe owady. Za biurkiem zobaczyli szafę z aktami. Obok wisiały dyplomy i certyfikaty. Kiedy drzwi się zamknęły, mężczyzna odwrócił się do nich.

– Alek Schoeller i Tara Quispel?

Skinęli głowami. Mężczyzna miał prawie dwa metry wzrostu. Rzadkie siwe włosy przylegały do czaszki. Spojrzał na nich uważnie zza okularów. Miał bliznę biegnącą skosem od przegrody nosowej w stronę górnej wargi.

– Dyrektor prosił mnie, żebym państwa przyjął i coś od państwa odebrał – wyjaśnił nosowym głosem. – Zdaje się, że przywieźli państwo coś na przechowanie w Milenijnym Banku Nasion?

Alek skinął głową.

– A jego samego nie ma?

– Jest, jest, zaraz przyjdzie, ma jeszcze spotkanie. Możemy na niego poczekać, jeśli państwo wolą.

– Przepraszam, ale rzeczywiście wolę mu to oddać do rąk własnych, jeśli pan nie ma nic przeciwko temu.

– Jak pan sobie życzy, w takim razie poczekamy na niego. – Wskazał na krzesła naprzeciwko biurka. – Proszę siadać.

Sam stanął obok biurka i założył ręce na piersiach.

– A więc przynoszą państwo cebulkę *Semper Augustus*? To będzie wspaniały okaz w naszej kolekcji, sami państwo rozumieją. Jesteśmy bardzo zadowoleni.

– Mam nadzieję, że tak zostanie. Nam nie przyniosła wiele szczęścia – odpowiedziała Tara.

Mężczyzna uniósł brwi. Zaśmiał się krótko i usiadł za biurkiem.

– Czyżby ciążyła na niej jakaś klątwa?

– Nie, oczywiście że nie – zapewnił Alek. – Cieszymy się tylko, że się jej pozbędziemy. Jeśli pan coś o niej wie, to chyba pan rozumie dlaczego.

– Ma pan na myśli jej wartość?

– W rzeczy samej.

– Jutro cebulka zostanie zanesiona do banku nasion, do Wakehurst Place. Będzie tam

zamknięta na dobre – powiedział mężczyzna, grzebiąc w szufladzie. – Nikt by się o niej nie dowiedział... a to byłoby ogromną szkodą.

Tara chwyciła Alka za rękę. Tłumik był już zamontowany na lufie pistoletu skierowanego wprost na nich. Klamra ukryta w wewnętrznej kieszeni marynarki Alka wydawała się pulsować przy sercu jak żywa istota.

– To co, które z was ma ją przy sobie?

Alek opanował strach i próbował zachowywać się jak najbardziej nonszalancko. Przechylił się do tyłu.

– Chyba nie myślisz, że przekażemy ją byle komu, ty arogancki draniu?! Po tym wszystkim, co przeżyliśmy? Oddamy ją tylko dyrektorowi!

– Dyrektor nie przyjdzie, tyle chyba już zrozumiałeś? Widocznie jesteś jeszcze głupszy, niż myślałem. Zdaje się, że nie za dobrze wiesz, z kim masz do czynienia.

– Zgadza się, nie wiem i wcale nie chcę wiedzieć. Mam tego wszystkiego dosyć! – powiedział Alek

– Oddaj mi cebulkę. – Mężczyzna wyciągnął rękę i zrobił krok w jego kierunku.

– Nie, nie oddam! – Tara wstała i przycisnęła do siebie torebkę. Mężczyzna odwrócił się do niej. W tym momencie Alek zerwał się z krzesła i uderzył go ramieniem ruchem doświadczonego rugbysty. Ten upadł do tyłu i uderzył głową o ścianę. Pistolet wypadł mu z rąk i przeleciał na drugą stronę pokoju.

Alek chwycił Tarę za rękę i wyciągnął z pokoju. Kątem oka zobaczył, jak długie ciało mężczyzny osuwa się po ścianie na podłogę. Jego głowa opadła do przodu, a ramiona zwisały bezwładnie wzdłuż tułowia.

– O czym myślisz?

Damian popatrzył na Emmę leżącą obok niego i uśmiechnął się.

– O tym, że Frank byłby zadowolony z tego rozwiązania. I Wouter Winckel pewnie też.

Zwróciła się w jego stronę.

– Potrafisz sobie wyobrazić, że mieszkasz w kraju, w którym za poglądy, które głosisz, grozi ci śmierć?

– Albo za same przekonania. Nie, jeśli o to chodzi, to mieszkamy w dobrym miejscu.

– Jeszcze tak.

Damian popatrzył w sufit.

– Fascynuje mnie ten fenomen, że wolność wywalczona przez ludzi może być im odebrana.

To przypomina ruch fali. Możemy jej przez chwilę posmakować, a następnie znowu ją tracimy.

– Kiedy tylko osiągniemy ostateczną granicę wolności?

Popatrzył na nią.

– Osiągnęłaś kiedyś tę granicę?

– Tak, dokładnie wiem, gdzie leży. Wiesz, skąd to wiem?

– No skąd?

– Stąd, że sama musiałam ją odkryć, i to ty dałeś mi tę wolność. Dlatego tak cię kocham.

W momencie, kiedy się nad nią pochylał, zadzwonił telefon.

– Nie odbieraj – powiedziała cicho.

Uśmiechnął się i wziął ją w ramiona. Dzwonienie ustało, ale po kilku sekundach odezwała się komórka.

– Może jednak odbierz, może to ważne.

Westchnął i wziął telefon do ręki.

– Halo, tu Vanlint.

– Panie Vanlint, Wainwright z tej strony. Przepraszam, że panu przeszkadzam, ale chciałem pana o czymś poinformować. Ustaliliśmy, że zastrzelona osoba jest mordercą Schoellera i Versteegeny.

Usiadł na łóżku.

– I co?

– Trochę to trwało, ponieważ morderca posługiwał się różnymi dowodami tożsamości. Interpol szukał go od lat.

– Interpol?

– Tak, ten człowiek był płatnym mordercą.

Damian poderwał się z łóżka.

– Ale to oznacza, że...

– ...że zleceniodawca jest na wolności. Dlatego dzwonię. Gdzie jest cebulka?

– Alek i Tara pojechali z nią do Anglii. Chcą ją oddać dzisiaj wieczorem do Kew Gardens.

– Kew Gardens? Dlaczego?

– Na przechowanie do Milenijnego Banku Nation – odpowiedział Damian. – Musicie tam pojechać jak najszybciej!

Przystanął zdyszany. Zapadł już mrok i park był pusty. Z miejsca, w którym stali, słabo oświetlone ścieżki rozchodziły się na wszystkie strony.

– Którędy teraz?

Za sobą, na schodach, usłyszeli ciężkie kroki.

– Tam! – krzyknął Alek. – Chodź!

Ile sił w nogach pobiegli w kierunku Temperate House i dopadli do wejścia szklarni. Alek otworzył wąskie szklane drzwi i pociągnął Tarę do środka.

Ogarnął ich tropikalny upał. Alek rozglądał się niespokojnie dookoła, szukając czegoś do zabarykadowania drzwi. Dwoma rękami chwycił krawędź olbrzymiej terakotowej donicy

wielkości człowieka. Nie drgnęła nawet na milimetr.

Tara wyjrzała na zewnątrz.

– Idzie tu! Dokąd uciekamy?! – krzyknęła.

Mężczyzna wbiegał na pierwszy stopień schodów. Alek rozglądał się po pomieszczeniu. Szklarnia była logicznie podzielona. Przez całą jej szerokość między grządkami biegły dwie wybrukowane ścieżki. Biegły równolegle do siebie, tylko pośrodku zbiegały się w miejscu, w którym teraz stali.

– Patrz! – Alek wskazał kręcone schody z kutego żelaza. – Biegiem!

Usłyszeli strzał i brzęk tłuczonego szkła. Alek przez milisekundę poczuł ruch powietrza. Kula trafiła palmę stojącą kilka metrów od niego. Rzucili się po schodach na górę.

– A teraz? – spytała zdyszana Tara. Na jej czole błyszczały kropelki potu. Stali na wysokim metalowym pomoście wiszącym w poprzek

szklarni. Zwiedzający mogli dzięki temu oglądać rośliny z góry.

– Jesteśmy w pułapce! – krzyknęła. – Zobacz, Alek, ten pomost zatacza koło, nie mamy się gdzie ukryć!

Alek wyjrzał przez poręcz i spojrzął na dół. Mężczyzna biegł z naprzeciwka. Z przerażeniem zobaczył z daleka między zielenią drugie schody. I tak go spotkają. Mogli biec już tylko na dół, ale to też nic nie dawało. Napastnik szybko to zauważy i równie szybko znajdzie się tam razem z nimi.

Echo ciężkich kroków niosło się po metalowych stopniach. W kilka sekund stał naprzeciwko nich. Z odległości kilkudziesięciu metrów patrzyli na siebie ponad koronami drzew, czekając, kto pierwszy zrobi jakiś ruch. Nawet z tej odległości było widać, że mężczyzna oddycha z trudem. Pierś Alka falowała. Podjął decyzję i chwycił Tarę za rękę.

– Na trzy biegniemy co sił w nogach prawą stroną pomostu!

– I co potem? On tam będzie stał i czekał na nas.

– Zaufaj mi.

Skinęła głową. Odliczyli do trzech i rzucili się do biegu. Ich stopy dudniły po metalu. Alek dostrzegł z daleka, że mężczyzna puścił barierkę i spokojnie szedł w ich kierunku z pistoletem gotowym do strzału.

– Alek, nie! – krzyknęła Tara. – Biegniemy prosto na niego!

– Teraz stop! Skaczemy!

Skoczyli z boku w korony drzew. Ześlizgnęli się po liściach i gałęziach szesnastometrowej palmy i spadli z hukiem na ziemię. Oszołomiona Tara popatrzyła wokół. Jęcząc, złapała się za łokieć. Alek pociągnął ją za sobą, trzymając palec na ustach. Spojrzała do góry. Odgłosy kroków się oddalały. Ruszyli na palcach w tym

samym kierunku. Alek wskazał wąską wnękę pod schodami. Wcisnęli się tam i przywarli do ściany. Słyszeli, że mężczyzna idzie na dół. Nagle się zatrzymał. Przez ażurowe schody nad sobą widzieli, jak przesuwiają się podeszwy jego butów. Stał tak chwilę, a następnie zaczął powoli schodzić ze schodów. W momencie, kiedy jego stopy dotknęły ziemi, Alek przechylił się do przodu, złapał go za kostki i pociągnął. Mężczyzna krzyknął i upadł. Twarzą uderzył o ziemię. Pistolet wypadł mu z ręki.

– Tara, pistolet! – krzyknął Alek, kładąc się na leżącym mężczyźnie i przyciskając go z całej siły do ziemi. Podała mu pistolet. Alek podniósł się powoli i skierował w niego broń.

– Wstawaj!

Mężczyzna patrzył na niego. Krew spływała z nienaturalnie wykrzywionego nosa. Podparł się dłońmi o ziemię i podniósł na kolana. Wtedy znowu upadł. Z jękiem zakrył twarz rękami.

– Teraz nasza kolej – powiedział Alek. – Kim jesteś?

Mężczyzna pokręcił głową i zachichotał. Alek kopnął go w nogę.

– Kim jesteś i co zamierzałeś zrobić z cebulką?

Kiedy się uśmiechnął, Alek zobaczył, że brakuje mu zęba. Z ust płynęła krew. Wypluł ją i powiedział:

– Mam pieniądze. Chcesz? Trzydzieści dwa miliony euro. Mam je, mogą być twoje, tylko oddaj mi cebulkę.

– A, to ty? Ty jesteś tym, który zwiął z całą forszą funduszu?

Mężczyzna powoli skinął głową. Krople krwi tworzyły plamy na wilgotnym podłożu.

– Zgadza się, potrzebowałem pieniędzy na zakup cebulki *Semper Augustus*.

– Byłeś może założycielem funduszu?

– Tak, byłem jednym z pomysłodawców.

– Chciałeś mieć cebulkę, żeby zwrócić pieniądze inwestorom? – zapytała Tara.

Mężczyzna zaśmiał się krótko.

– Oczywiście że nie, idiotko. Nie brakuje im forsy, wszyscy są nadziani. Uważałem, że to niezła oferta za jedną cebulkę. Kiedy Frank zorientował się, skąd mam pieniądze, nie chciał się na nią zgodzić.

– I za tę odmowę zapłacił życiem.

Mężczyzna przytaknął.

– Za dużo wiedział i chciał wszystko rozgadać.

– Naprawdę myślisz, że ja się zgodzę na twoją ofertę?

– Ludzie są różni.

– A Simon? – zapytała Tara.

Spojrzał na nią.

– Simon wpadł w kłopoty finansowe, bo zainwestował w fundusz. Nie wiedział, że to ja zdefraudowałem tę kasę. Myślał, że ja też zostałem

oszukany, tak jak on. Że ja też straciłem pieniądze.

– Pracowaliście razem, żeby zdobyć cebulkę?
– zapytała Tara łamiącym się głosem.

Kiwnął głową.

– Na początku tak. Dopóki Simon nie zmienił zdania. Chciał się wycofać, ale za dużo wiedział.

– I wtedy jego też kazałeś zamordować?
A gdzie jest dyrektor? Gdzie Peterson? Jego też...

Mężczyzna oparł się o ziemię i powoli podciągnął do góry. Chwiejnie wyprostował plecy i rozłożył ramiona.

– Wiesz co? Mam inny pomysł. Dam wam te pieniądze, a wy pozwolicie mi odejść. Cebulkę możecie zatrzymać. Taro, wiesz, co z tymi pieniędzmi można zrobić? Możesz je wykorzystać na badania. Masz je teraz na wyciągnięcie ręki.

Tara potrzaskała głową.

– Za późno – powiedziała. – Gdybyś zjawił się tydzień temu, przyjąłabym tę propozycję bez mrugnięcia okiem. Teraz już nie.

– Dlaczego nie? Co się zmieniło?

– Ja się zmieniłam.

Nagle na twarz mężczyzny padła wiązka światła. Odruchowo zakrył oczy ręką. Alek przyciągnął do siebie Tarę. Ktoś krzyczał, złapał ich i wyciągnął na zewnątrz. Wyminęli ich policjanci uzbrojeni po zęby, którzy skierowali broń na mężczyznę stojącego w blasku światła z podniesionymi rękami.

Wychodzili ze szklarni pod strażą. Ku swojemu zdziwieniu Alek zobaczył, że czeka na nich Wainwright.

– No co, panie Schoeller, chyba pan nie przypuszczał, że kiedyś ucieszy się pan na mój widok.

Dawn stała z tyłu i patrzyła na niego z uśmiechem.

Damian przycumował łódź Sytsego i wszedł do środka. Ostrożnie otworzył butelkę i rozlał szampana do kieliszków.

– Trochę czasu minie, zanim Sytse będzie mógł pływać łodzią, ale cieszę się, że tak szybko dochodzi do siebie po tym uderzeniu. Mam nadzieję, że tym razem nikt nas nie zaskoczy niespodziewaną wizytą.

– A ja mam nadzieję, że to już koniec kłopotów – powiedziała Emma. – Alek, ten facet mówił tylko o pieniądzach?

– Tak. Okazuje się, że ci, o których Dick rozmawiał z Damianem, ludzie zaangażowani do think tanku, nie mają nic wspólnego ze śmiercią Franka i Simona. Tak przynajmniej wynika z tego, co mówi Wainwright. Coetzera wynajęto,

żeby się dowiedział, gdzie jest cebulka. Kiedy Frank nic nie chciał powiedzieć, Coetzer go zamordował i razem wymyślili, że pewnie ja wiem, gdzie Frank ją ukrył.

– Teraz wiem, dlaczego Simon sugerował, że jeśli ktoś coś wie, to tylko ty – powiedziała Tara.
– Nabrałam się na to. Chciał się przeze mnie dowiedzieć, gdzie jest schowany *Semper Augustus*.

– Tara, Simon był zrozpaczony – odezwał się Damian. – Absolutnie nie chciał cię narażać, jestem pewien. Poza tym żałował tego, co zrobił. Inaczej by go nie zamordowali.

– Może masz rację. W każdym razie cieszę się, że *Semper Augustus* jest bezpiecznie zamknięty w banku nasion przez Karla Petersona. Znajduje się tam, gdzie powinien być.

– Całe szczęście, że on przeżył. Był w ogóle zadowolony z tej cebulki?

Tara uśmiechnęła się.

– Naturalnie. To wyjątkowy nabytek dla instytutu. Kazał ją natychmiast przenieść do Wakehurst Place.

– Wracając do tulipanów, nie rozumiem, dlaczego Coetzer zostawił rysunki tulipana na piersi Franka i na ścianie u Simona. Po co mu to było? – zapytała Emma.

– Też się nad tym zastanawiałem – dodał Damian. – Wainwright uważa, że chciał w ten sposób wprowadzić w błąd policję, zasugerować, że zabójstwa dokonał jakiś seryjny morderca podpisujący się znakiem tulipana.

Alek się przeciągnął.

– Mam tylko nadzieję, że *Semper Augustus* na zawsze zostanie w Wakehurst Place.

Tara przytaknęła.

– I tym razem nie w „domu ze srebra”, ale w sejfie z solidnej stali.

Wakehurst Place, West Sussex, 2009

Koledzy jeden po drugim opuszczali swoje stanowiska pracy i zostawili go samego w ściśle chronionej części kompleksu. Przez ostatnie tygodnie zawsze wychodził do domu ostatni, więc nikt się temu nie dziwił.

Kiedy był pewien, że wszyscy wyszli, otworzył drzwi laboratorium i znalazł się w szerokim korytarzu, na który wychodziły drzwi do sejfów. Staął przy drugim. Wystukał kod znany tylko kilku pracownikom Milenijnego Banku Nation. Kiedy zapaliła się zielona lampka, pchnął ciężką dźwignię i wszedł do środka.

Na wszystkich ścianach znajdowały się szuflady. Każda z nich była opatrzona etykietką z numerem. Przyklęknął przy prawej ścianie. Wiedział dokładnie, którą szufladę należy wyciągnąć. Podszedł z nią do stołu stojącego pośrodku pomieszczenia, przejechał palcami po etykiecie i wyszeptał: „Jesteś moją przyszłością”.

Ostrożnie postawił szufladę. Wstrzymał oddech. Oto ona. Trudno było sobie wyobrazić, że w tej niepozornej brązowej kulce kryła się taka moc, że była tyle warta. Uśmiechnął się. Dumą napęłniała go myśl, że właśnie jego poprosili, żeby postarał się odzyskać cebulkę. Powiedzieli, że bardzo długo musieli czekać, że szukali jej już dwa lata i nie przypuszczali, że kiedyś jeszcze uda im się ją zdobyć. Przekonali go, że tylko on jest w stanie im pomóc.

Znał ryzyko, wiedział, że grozi mu utrata pracy, ale perspektywa uczestnictwa w tym projekcie i pokaźna suma, którą mu zaproponowano,

przekonały go. Zdawał sobie sprawę, że taka szansa w karierze zdarza się tylko raz.

Poklepał kieszeń fartucha laboratoryjnego i włożył do niej rękę. Palce obejmowały wyschniętą cebulkę. Na pierwszy rzut oka niczym się nie różniła od cebulki *Semper Augustus*. Nie, lata miną, zanim ktoś odkryje, że cenna roślina została podmieniona na jakiś banalny okaz.

Po podmianie podszedł z powrotem do ściany. Uklęknął i wsunął szufladę z powrotem na miejsce. Pomyślał o sumie, która wkrótce trafi na jego tajne konto bankowe. Od tego momentu będzie wolny. Będzie mógł założyć własne laboratorium, prowadzić własne badania i kupować sobie, co zechce.

Drzwi były ciężkie, musiał użyć całej siły, żeby zamknąć sejf. Rozejrzał się po korytarzu. Szybko wrócił do laboratorium.

– Co, chłopie, jeszcze pracujesz?

– Ale mnie przestraszyłeś!

Strażnik popatrzył na niego z sympatią.

– Widać po tobie. Przepraszam, właśnie robię obchód. Powiedz, nie czas wracać do domu? Rzucić się w życie nocne? Jest piątkowy wieczór. W twoim wieku nie można bez przerwy pracować! Trzeba cieszyć się życiem!

Strażnik rozłożył ramiona i znowu je opuścił. Uniósł palec.

– Bo życie minie, zanim się zorientujesz. Zapamiętaj słowa starszego, mądrego człowieka. Trzeba się cieszyć życiem z całych sił!

Przytaknął strażnikowi z uśmiechem i włożył rękę do kieszeni marynarki.

Pogłaskał cebulkę.

– Rozumem, co masz na myśli, z pewnością posłucham. Z pewnością!

Podziękowania

Bez wsparcia, słów zachęty i zaufania mojego męża, rodziców, teściowej, pozostałych członków rodziny i przyjaciół nigdy bym tej książki nie ukończyła. Jestem im bardzo wdzięczna. Jestem także wdzięczna pierwszym czytelniczkom rękopisu, Godelieve i Liliane, których krytyczne uwagi świadczą o prawdziwej przyjaźni dla mnie. Jestem niebywale wdzięczna mojemu agentowi, Paulowi Sebesowi, i redaktorce tekstu, Juliette van Wersch, za wsparcie, poprawki i cierpliwość.

Inspiracją do napisania tego kryminału była fantastyczna książka Mike'a Dasha *Tulpomania*. Korzystałam ze źródeł drukowanych i cyfrowych, ale również z wiedzy kilku osób, które poświęciły sporo czasu, żeby odpowiadać

na moje pytania. Dziękuję serdecznie Bertowi Stoopowi i Simonowi de Waalowi z komendy policji Amsterdam Amstelland, Harry'emu de Raadowi z Archiwum Regionalnego w Alkmaar i Janowi Pelsdonkowi z Geldmuseum.

Tulipanowy wirus jest powieścią. Konstruując bohaterów i fabułę, oparłam się częściowo na wydarzeniach historycznych i współczesnych, ale wykorzystałam je na swój sposób. Na mojej stronie internetowej www.daniellehermans.nl można znaleźć więcej informacji na ten temat, a także źródła, z których korzystałam przy pisaniu.



Semper Augustus na anonimowej akwareli z XVII wieku

Przypisy

- [1] Poszukiwany żywy lub martwy (ang.) – przyp. tłum.
- [2] Szkoła (przeważnie żeńska), której głównymi zadaniami były nauka dobrych manier i szlifowanie umiejętności plastycznych i muzycznych. Jej uczniami byli ludzie prawie dorośli, absolwenci zwykłych szkół – przyp. red.
- [3] Moneta bita w Niderlandach od szesnastego wieku, od 1816 do 2002 roku oficjalna waluta Holandii. Nazwami „gulden” i „floreń” określano wymiennie tę samą walutę – przyp. red.
- [4] Republika Zjednoczonych Prowincji – państwo utworzone w 1581 roku przez siedem północnych prowincji historycznych Niderlandów w wyniku wojny wyzwoleńczej prowadzonej przeciwko Habsburgom – przyp. red.
- [5] Jan van Goyen, Holender, 1596 – 1656, Pejzaż z wydymami, 1634, olej na desce (ang.) – przyp. tłum.
- [6] Jedzenie! Szybko! (wł.) – przyp. tłum.
- [7] Dosł. bukiet kwiatów (łac.) – przyp. tłum.

